

Prószynski i Ska



Wspominam i niczego nie żałuję

# HELENA VONDRÁČKOVÁ

Ali-Baba

**Helena Vondráčková**  
**i wydawnictwo Daranus dziękują:**  
**Państwu Vlašcie i Josefowi Launovom,**  
**Panu Janowi Růzha, wyłącznemu przedstawicielowi firmy**  
**Fiskars na Czechy i Słowację,**  
**Panu Pawłowi Exnerowi,**  
**Agencji MM Praha**  
**i firmie fonograficznej Universal Music**

# HELENA VONDRÁČKOVÁ

Wspominam i niczego nie żałuję

Przełożyła  
Justyna Wodzisławska

Prószyński i S-ka

W przedmowie do pierwszego wydania moich wspomnień odpowiadałam na często zadawane mi przez dziennikarzy pytanie: „Czego pani w swoim życiu żałuje najbardziej?”. I teraz, po roku, odpowiem niemal tak samo: bardzo mi żal, że nie mogłam być z matką w jej ostatnich chwilach i że moje relacje z bratem tak się skomplikowały. I że nie mam trójki dzieci, jak to sobie kiedyś wyobrażałam. Ale poza tym... niczego nie żałuję.

W ciągu tych dwunastu miesięcy moje życie jednak nieco się zmieniło. Przede wszystkim jest spokojniejsze, jakby zaczynała się spełniać przepowiednia żyżkowskiej wróżki Zdenički, której poświęciłam rozdział „Herbatka z czarownicą”. I na odwrót - nie zrealizowała się żadna z mnóstwa przepowiedni dziennikarzy z bulwarówek. Nie pokłóciłam się z całym światem, nie rozwodzę się, nie wybieram się na emeryturę, nie żegnam się z karierą...

Chociaż miałam mnóstwo pracy przy nagrywaniu płyty, znalazłam czas na wspomnianie. I powstały dwa nowe rozdziały, które znajdą Państwo na końcu tej książki.

A więc stwierdzam po raz drugi:

**WSPOMINAM I NICZEGO NIE ŻAŁUJĘ.**

### **MÁMIN PRVNÍ BÁL**

**KDYŽ DEN JE POUŠTÍ  
KDYŽ MĚ SMULA NEOPUŠTÍ  
NOC JE SMUTNÝ BOLESTÍN...  
A KOYŽ MĚ SOUŽÍ  
PRUDKÝ DĚŠŤ A BLÁTO LOUŽÍ  
KDYŽ MĚ VÍTÁ JEN MŮJ STÍN  
JÁ TAJNĚ SNÍM  
O TOM ŽE SMÍM  
NA MÁMIN BÁL  
ZNÍ EVERGREEN.  
JÁ VCHÁZIM S NÍM  
NA MÁMIN BÁL...**

**BOHUSLAV ONDRÁČEK . ZDENĚK RYŘÍŘ  
„MÁMIN PRVNÍ BÁL“**

### **PIERWSZY MAMY BAL**

**GDY DZIEŃ SIĘ SNUJE.  
GDY PECH MNIE PRZEŚLADUJE  
NOC JEST SMUTKU TCHNIENÍ...  
GDY MNIE POGRAŻA W ŻALU  
CWAŁTOWNY DESZCZ I BŁOTO KALUŻ.  
KIEDY MNIE WITA TYLKO CIEŃ.  
JA WIERZĘ W BUJDĘ.  
MARZĄC, ŻE PÓJDĘ  
NA MAMY BAL  
BRZMI EVERGREEN.  
JA WCHODZĘ Z NIM  
NA MAMY BAL...**

## BIAŁY KAMIEŃ MAMY

Obudził mnie powiew świeżego powietrza. Do pokoju wdzierało się słońce. Poranek musiał być piękny, ale w tej chwili było mi wszystko jedno. Czułam się dość marnie.

Przy otwartym oknie stała pielęgniarka, bacznie coś obserwowała, czasem kręciła głową i cmokała ze zgorzeleniem. Potem, ciężko wzdychając, zaciągnęła zasłonę, więc w pokoju znowu zrobił się półmrok. Wzięła z parapetu tacę, na której były termometr, plastikowy kubeczek z lekami i szklanka wody. Odwróciła się w moją stronę.

- Pani już na nogach, pani Heleno? - zapytała wesoło.

- Chwilkę więc panią podręcę, bo już szósta.

Próbowałam się do niej uśmiechnąć, ale nie bardzo mi to wyszło. Bolało mnie jeszcze całe ciało, a poza tym było przecież bardzo wcześnie. A ja przed siódmą niechętnie wstaję z łóżka.

Siostra pochyliła się nade mną i przyłożyła mi dłoń do czoła.

- Wygląda na to, że nie ma pani temperatury... Ale lepiej zmierzę. Proszę popić solidnie ten proszek. O tak, jeszcze, żeby nie było problemów z żołądkiem.

- Dziękuję - wydusiłam z siebie i przestraszyłam się swojego głosu. Brzmiał jak obcy - płytko i ochryple, jakbym była porządnie zaziębiona.

Rozpaczliwie starałam się sobie przypomnieć, kiedy mam najbliższy koncert. Jeszcze tydzień w szpitalu, potem tydzień w domu, a potem... Potem mam przecież występ w Niemczech! Jadę wprawdzie tylko tam i z powrotem z jedną piosenką, ale nie mogę i nie zamierzam tego odwoływać.

Chciałam coś powiedzieć, ale z mojego gardła wydo-  
było się tylko jakieś charczenie. Przypomniałam sobie, że poprzedniego dnia w ogóle się nie odzywałam. Prawie cały dzień przespałam. Obudzili mnie dopiero wtedy, gdy musieli przenieść mnie z oddziału intensywnej terapii tutaj. Wydaje mi się, że wczoraj w południe przez chwilę był tu Martin. Siedział obok na łóżku i trzymał mnie za rękę, ale możliwe, że to mi się tylko śniło. Na intensywnej terapii nie ma przecież wizyt.

- Proszę się nie odzywać bez potrzeby. Ma pani trochę podrażnione struny głosowe, ale to nic dziwnego. Jutro już będzie lepiej, zobaczy pani - uspokajała mnie siostra.

- Podczas operacji musieli pani wsadzić do przełyku taki wężyk, żeby nie połknęła pani języka. Zawsze tak się robi...

Nie rozwiała moich obaw. Wręcz przeciwnie. Wsadzili mi do gardła jakiś wąż! Na dwa tygodnie przed koncertem! Pomyślałam o mamie i serce zaczęło mi bić jak szalone. Wypuścili ją ze szpitala z zapewnieniem, że wspaniale wraca do zdrowia, że wszystko jest na najlepszej drodze i że drobne dolegliwości są zupełnie normalne. A potem z dnia na dzień wszystko się pokomplikowało...

Jak tylko człowiek przekroczy próg szpitala, nigdy nie może być pewien, jak to się skończy. Tę gorzką prawdę odkryłam podczas choroby i śmierci mojej mamy. Wcześniej jako pacjent byłam w szpitalu tylko raz, wiele lat temu, kiedy wycinali mi wyrostek robaczkowy. Tamtej operacji chyba się nie bałam. Doktor mi wyjaśnił, że wyrostek to banalna rzecz, najprostszy zabieg, z którym poradziłyby sobie nawet niezły student medycyny, więc dałam się pokroić.

Interesowało mnie tylko jedno: czy blizna szybko się zagoi i czy będę mogła chodzić w bikini. Ale po śmierci mamy wiem już, że nie ma banalnych zabiegów i że życie nie jest takie oczywiste.

Chyba było po mnie widać, że się boję, ponieważ pielęgniarka pogładziła mnie po ramieniu i powiedziała łagodnie:

- Niech się pani nie obawia, przyjdzie do pani lekarz i coś na ten głosik znajdzie...

Pokiwałam z rezygnacją głową. Pielęgniarka wyciągnęła mi spod pachy termometr.

- Trzydzieści sześć i pięć kresiek. - Uśmiechnęła się.  
- Sama pani widzi.

Nie chciało mi się już spać. Sięgnęłam po discmana, założyłam słuchawki i nacisnęłam przycisk „start”. Zabrałam ze sobą do szpitala kilka płyt Arethy Franklin. Jej głos już wiele razy dodawał mi otuchy. Na początku mojej kariery chciałam się wzorować na tej cudownej Murzynce. Mam niemal wszystkie jej nagrania i mogę słuchać jej na okrągło.

W chwili, kiedy otwieram oczy,  
Zanim jeszcze zacznę się malować,  
Odmawiam za ciebie krótką modlitwę.  
Kiedy włosy rozczesuję,  
Kiedy zastanawiam się, co włożyć,  
Odmawiam za ciebie krótką modlitwę...

Śpiewałam więc z Arethą przynajmniej w duchu, skoro na głos się nie dało. Starłam się myśleć o czymś pięknym, ale wciąż wracały do mnie przykre wspomnienia... Pod koniec życia mama dużo czytała o medycynie naturalnej, numerologii i astrologii, zbierała zioła i zachęcała mnie, żebym ćwiczyła razem z nią pięć tybetańskich kroków do wiecznej młodości. Wierzyła również w leczniczą moc kamieni. Na szyi na rzemyku nosiła biały krzemień i pewnie nie zdejmowała go nawet na noc. Twierdziła, że



odpowiada jej astrologicznie i dodaje energii. Podobny kamień dała także mnie, tylko mój był pomarańczowy, bo rzekomo ten kolor bardziej odpowiada mojej duszy. Mam ten biały kamień po mamie do dzisiaj. Strzegę go jak oka w głowie i nawet jeśli nie ma żadnej wartości, droższy mi jest niż wszystkie klejnoty. Może to dziwne, ale nigdy nie odważyłam się go powiesić na szyi. Czuję, że nadal należy do mamy, a ja dostałam go tylko na przechowanie. Wożę go więc ze sobą jako talizman, który ma mnie chronić przed chorobą, wypadkiem, czyjąś złością czy zawiścią. Oczywiście wzięłam go także do szpitala, leży na dnie szuflady.

Wtedy, pięć lat temu, kiedy mama czekała w szpitalu na operację serca, występowałam w Kanadzie. Operacja była ciężka, a ja do końca życia nie wybaczę sobie, że musiałam wyjechać. Co najmniej kilka razy dziennie dzwoniłam z duszą na ramieniu do domu, aby zapytać, czy wszystko w porządku. Bałam się najgorszego. Na szczęście mama szybko wracała do zdrowia. Wzięłam więc ją do siebie, do domu w Ritce, i wyobrażałam sobie, jak to będę się nią opiekować i jak to jej wszystko wynagrodzę. Ale nie upilnowałam jej. Poślizgnęła się w łazience na marmurowej posadzce i złamała rękę oraz szyjkę kości udowej. Dla wielu starszych ludzi to wyrok, mama jednak walczyła dzielnie. Była przyzwyczajona do tego, że w życiu o wszystko trzeba się bić. Nie dopuszczała do siebie problemów, bo twierdziła, że każdy można rozwiązać. Teraz też postanowiła się nie dać. Właściwie starała się rozchodzić złamania. Nie wytrzymała leżenia w łóżku i całymi dniami kuśtykała o kulach po szpitalnym korytarzu. Kiedy wypisali ją z oddziału rehabilitacyjnego, wierzyłam, że najgorsze ma za sobą. Ale właśnie to dążenie do jak najszybszego wyzdrowienia ostatecznie ją zabiło. Lekarze powiedzieli mi potem, że tymi długimi spacerami zamęczyła serce...

Trzy dni przed jej śmiercią odwiedziłam ją w chrudimskim szpitalu. Jak tylko ją zobaczyłam, wiedzia-

łam już, że jest źle, i musiałam bardzo nad sobą panować, żeby tego po sobie nie pokazać. Niemal jej nie poznałam. Była chudziutka jak patyczek, prawie się nie odzywała, nawet nie chciała już nosić tego białego kamienia. Zrezygnowała, przestała walczyć, nie chciała dalej żyć. Gładziłam ją po głowie i powtarzałam, że wszystko będzie dobrze, ale nie jestem pewna, czy mi uwierzyła.

Pożegnałam się, bo musiałam jechać na koncert na Morawy. Postanowiłam, że wracam natychmiast na drugi dzień i odwołuję wszystkie inne występy. Machnęła ręką i spróbowała się uśmiechnąć. Na pewno wiedziała, że widzimy się po raz ostatni.

Z Jiřim Korném mieliśmy plenerowy koncert w Hodoninie. Czułam się fatalnie. Nie mogłam się skoncentrować, bez przerwy myślałam o mamie i zmuszałam się do każdego uśmiechu rzuconego w stronę publiczności. Liczyłam minuty do końca, a w nocy w hotelu męczyły mnie przerażające sny. Właściwie nie sny, lecz jakieś obrazy pojawiające się w półśnie. Z ciemności wypływały geometryczne kształty, które wirowały i pulsowały, by ostatecznie przemienić się w udręczone, wyczerpane i nieszczęśliwe ludzkie twarze. Odganiałam je od siebie, próbowałam się modlić, przekonywałam siebie, że przecież nie śpię, więc nie są to żadne zmyły, i usiłowałam mrugać, żeby przegonić ten budzący grozę łańcuch twarzy. Czułam się jak w tunelu, o którym pisał Raymond Moody w książce „Zycie po życiu”. Tylko że po drugiej stronie nie czekało żadne ciepłe i życzliwe światło, ale lodowata ciemność.

Rano obudziłam się zaskakująco wcześniej i od razu włączyłam komórkę, aby zadzwonić do szpitala. Zanim jeszcze wystukałam numer, przyszedł SMS: „mama umarła wczoraj o ósmej wieczorem”. O ósmej wieczorem... Stałam wtedy na scenie i śpiewałam...

Do sali wszedł uśmiechnięty lekarz, ale jak tylko zobaczył, że błyszczą mi oczy, trochę się zaniepokoił. Powiedział

coś, ale nie usłyszałam co, bo do ucha śpiewała mi Aretha Franklin. Zdjęłam słuchawki.

- Jak się pani czuje?

- Jakoś leci - wychrypiałam i przetarłam oczy. - Tylko gardło mnie boli.

- Proszę pokazać język - powiedział i wsadził mi do ust szpatułkę. - Ma pani trochę podrażnione gardło, nic więcej. Mogę dać pani leki, ale myślę, że za dwa, trzy dni samo przejdzie.

- Panie doktorze, a męża tu wczoraj nie było? - zapytałam. - Za nic nie mogę sobie tego przypomnieć...

- Był, kiedy pani spała. A do mnie dzwoniли z jakiejś gazety i interesowali się, co u pani, więc powiedziałem, że wszystko dobrze.

Dziennikarze... Przez trzy dni ani razu o nich nie pomyślałam. Co znowu o mnie piszą? Dzisiaj na pewno przyjdzie Martin i zaraz w drzwiach zaczną mnie przeproszać, że zapomniał wziąć gazety. To taka nasza gra. On udaje, że ma złą pamięć, a ja udaję, że mu wierzę, chociaż dobrze wiem, że ostatnio chowa gazety przede mną. Nie chce, żebym się niepotrzebnie denerwowała. A ja nie mogę wytrzymać z ciekawości. Niedawno pod materacem znalazłam czasopismo, w którym przeczytałam, że jestem na dnie, że będę się rozwodzić i że chodzi za mną armia windykatorów... Dobrze wiem też, że moja siostra Zdena trzyma pod kanapą pudło z wycinkami z gazet pełnymi największych kłamstw i obrzydliwości.

Kiedy lekarz sobie poszedł, spróbowałam wstać. Zanurkowałam w szufladzie nocnego stolika, wyciągnęłam biały kamień i mocno ścisnęłam go w dłoni. Zrobiłam kilka kroków w stronę otwartego okna. Dlaczego siostra je zasłoniła? Przecież jest lato, na dworze musi być pięknie!

Odsunęłam ostrożnie kotarę i wychyliłam się przez okno. Krew odpłynęła mi z twarzy.

Tuż przed oczami błysnął mi olbrzymi obiektów aparatu fotograficznego.

A więc znowu! Co wymyślą tym razem? Że niby „Vondráčková walczy o życie”? Ale przecież... przecież walczę o życie przez całe życie. I właśnie teraz nic nie może mi się stać. Bo mam biały kamień po mamie.

## KLUSEM

HÁZEL HLAVOU PLAVOU,  
HOŘEL HŘÍVOU,  
SOTVAS UHNUL KOPYTŮM!  
PROLÍT LOUKOU JAK JÍL,  
A HOUSLISTŮ  
SE STRANIL S HRŮZOU,  
MANDEL ŽÍNÍ  
BYL BEZ SMYČCŮ RÁJ.  
KLIDNĚ SE PÁS...

MARTIN KRATOCHVÍL, OSKAR PETT, „KLUSEM“

## KŁUSEM

RZUCAŁ PŁOWĄ GŁOWĄ,  
GRZYWĄ PŁONĄŁ,  
LEDWIE USZEDŁ KOPYTOM!  
PRZEMKNAŁ ŁĄKĄ JAK WIATR,  
A SKRZYPKÓW  
UNIKAŁ Z LĘKIEM,  
MENDEL WŁOSIA  
BYŁ BEZ SMYCZKÓW RAJEM,  
SPOKOJNIE SIĘ PĄSŁ.

## STADO SLATIŇAŇSKICH KONI

Do sali sądowej wchodziłam z dziwnymi uczuciami. Stanowczo jednak nie można powiedzieć, żeby były mieszane. Wtedy bowiem niepokój musiałby walczyć z nadzieją na wielki triumf, strach z pragnieniem zadośćuczynienia, a zażenowanie ze złudzeniem, że po odczytaniu wyroku wszystko będzie jak dawniej. Niczego takiego nie czułam. Właściwie byłam tylko bardzo nieszczęśliwa.

Dlaczego to się musiało tak skończyć? Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że kiedyś będę musiała walczyć o swój honor w sądzie. Mnóstwo ludzi myśli sobie, że mam jakąś perwersyjną przyjemność w wytaczaniu procesów albo że zasypiam z kodeksem cywilnym pod poduszką. Niedawno w radiu powiedzieli o mnie złośliwie: „Stara Helenka znowu ciąga kogoś po sądach”. Gdyby mieli pojęcie, że jak tylko słyszę słowa: „sąd”, „zeznanie”, „akt oskarżenia”, „dowody”, to w żołądku mi się przewraca...

Sędzia poprosiła mnie o dowód osobisty. Gdy sprawdzała moje dane i wpisywała je do akt, starałam się wyczarować rozluźnioną minę. Natychmiast, jak tylko wyjdę na korytarz, dopadnie mnie chmara fotoreporterów czyhających na zdjęcie, na którym będę wyglądać cierpiętniczo albo przynajmniej dziwnie.

Choćby taki „Rytmus života” - niemal co tydzień dają na okładkę najgorsze moje zdjęcie, jakie uda im się zdo-

być. Nie zależy mi, żeby o mnie pisali. Razem z mężem już od dawna nie rozmawiamy z dziennikarkami tego tygodnika, ale one mnie z jakiegoś powodu potrzebują. Czytelniczki zapewne tęsknią za historiami jak z telenoweli, z gwiazdą pop u szczytu sławy w roli głównej, która nieszczęśliwie wychodzi za mąż, traci wszystkie pieniądze i kończy tragicznie, a kiedy czuje, że leci głową w dół, zaczyna niszczyć ludzi dookoła siebie i sądzić się z całym światem. W ten wymyślony schemat wpisano właśnie mnie i moje życie... Czy którykolwiek z dziennikarzy spytał mnie, jak jest naprawdę? Gdyby tak było, mogłabym teraz pielić chwasty w ogródku, zamiast stać w tym sądzie.

Poczułam słabą woń ozonu i jakiejś pasty do podłogi. Nic wyraźnego. To dobrze, pomyślałam, przynajmniej szybko zapomnę o tym wszystkim.

Już od dzieciństwa bowiem jestem szczególnie wrażliwa na zapachy. Dzięki nim udało mi się przechować mnóstwo wspomnień i przeżyć, które inaczej dawno by mi wyleciały z pamięci. Kiedy na przykład poczuję zapach świeżych trocin, natychmiast staje mi przed oczami obraz dziadka ze strony mamy, który kręci się po swoim warsztacie stolarskim, zmiata wióry i kawałki drewna do wielkich koszy, ubija je, a potem wpycha do pieca, żartobliwie się przy tym drocząc ze mną i moim bratem: „Przychodźcie tylko po klucz od strychu. Dziadka traktujecie jak powietrze. Ciągłe tylko ten przeklęty strych i strych. Kiedyś wreszcie połknę ten klucz i będzie po sprawie”.

Oczywiście nigdy go nie połknął, a ja z bratem Jiřim cały weekend łąziłam po poddaszu, gdzie dziadek trzymał próbki materiałów obiciowych, stoliki, krzesła, taborety i pięknie rzeźbione ludwiki...

- Dziękuję. - Sędzia oddała mi dowód osobisty. - Proszę na razie poczekać na korytarzu, wezwiemy panią w odpowiedniej chwili. Czy na sali są jacyś goście? - spytała i rozejrzała się.

Podszedł do niej wytworny, szpakowaty starszy pan i nieznacznie się uklonił.

- Jestem ojcem redaktor Wolf - powiedział cicho i podał sędzi dowód.

Skądś znalazłam ten głos. Ojciec redaktorki z czasopisma »Spy»! Jednej z tych, które wypisują o mnie te kosmiczne bzdury.

Elegancki pan wziął z powrotem dowód, odwrócił się w moją stronę, uśmiechnął zmieszany i kiwnął głową na powitanie. Stałam jak wryta. Przecież to Milan!

- Dzień dobry, Heleno - powiedział przyjaźnie i skierował się do ostatniego rzędu.

Helena... To imię pochodzi z greki i znaczy podobno „światło”. „Wszystkie kobiety o tym imieniu mają duszę skapaną w słońcu” - napisał mi kiedyś jeden z fanów w liście. Nie wiem, może naprawdę znał wiele Helen, a może cytował tylko dowcipny slogan, z jakim występowaliśmy z Golden Kids pod koniec lat sześćdziesiątych: „Helena ma w głosie słońce, Vašek ma w głosie śmiech, Marta ma w głosie łzy...”.

Niespecjalnie wierzę w magię imion, jestem na to zbyt racjonalna, ale wiem jedno: Helena Procházková, po której noszę to imię, naprawdę należała do słonecznych ludzi.

Mówiliśmy o niej „ciocia Hela”, chociaż nie była z nami spokrewniona. Była najlepszą przyjaciółką mamy i z mężem oraz dziećmi przyjeżdżała co roku na lato do Slatiňanów. Nie było dnia, żeby do nas nie zajrzała. Czasem pomagała mamie przy gotowaniu albo szyciu, czasem stała w otwartym oknie, kopciła papierosa za papierosem i opowiadała co jej ślina na język przyniosła. Słuchaliśmy jej z otwartymi ustami. Była niezwykle dowcipną i zabawną kobietą. Zresztą zawsze przywoziła jakieś nowinki z Pragi, a dla nas, dzieci ze Slatiňanów, Praga była dalekim i tajemniczym miastem, którego może nigdy w życiu nie zobaczymy na własne oczy.

Ciocia Hela mogła całe wakacje przesiedzieć w naszym dużym pokoju. Przychodziła wcześniej rano, paplała przez wiele godzin i wszędzie jej było pełno. Przed trzecią zaczynała się w połowie anegdutki, z przerażeniem patrzyła



na zegar, gasiła szybko czterdziestego już pewnie papierosa i zaczynała się żegnać: „Jezu, już trzecia? To ja lecę! Za godzinę wracają konie ze stadniny, a nie daj Boże spotkać się z nimi po drodze!”.

Koni bała się strasznie. Sądzę, że nigdy nie przyzwyczała się do nich, chociaż spędzała obok nich całe lato. Państwo Prochádzkowie mieli bowiem domek blisko alei kasztanowej za zamkiem, którą co rano pomocnicy ze stadniny gnali na pastwisko stada koni starokladrubskich. Za każdym razem, kiedy ciocia Hela o nich mówiła, podnosiła głos i gwałtownie gestykulowała, jakby opowiadała jakąś przerażającą historię. „Są jak wzburzone morze albo - czy ja wiem - dywizja czołgów, która chce człowieka staranować. Rano to straszliwe stado pędzi aleją na łąkę, a o czwartej leci z powrotem. Dziesiątki, setki koni... W całej Pradze nie ma chyba nawet tylu samochodów!”.

Dobrze wiedzieliśmy, o czym mówi, bo od małego chodziliśmy oglądać hodowlę w Slatinanach. „Helenko, nie kręćcie się lepiej z naszą Zuzką po tej alei”, przestrzegala mnie. „Koń to wprawdzie piękne zwierzę, ale bardzo niebezpieczne. Raz gnali je z pastwiska jakoś wcześniej i natknęłam się na nie w alei. Przycisnęły mnie do płotu zamkowego i kto wie, jak by się to skończyło, gdybym nie... Jezu, już trzecia? To ja już zmykam...”.

Spojrzałam na zegarek. Do trzeciej jeszcze daleko, ale i tak ten proces tak szybko się nie skończy. Te wszystkie przesłuchania świadków, rozprawy, posiedzenia, odwołania będą się ciągnąć pewnie przez wiele miesięcy. Ile czasu upłynęło przecież, nim policja wezwała na pierwsze przesłuchanie te dwie redaktorki! Martin prowadził raz długą dyskusję ze śledczym, który prosto z mostu powiedział mu: „Panie Michał, ja panu powiem otwarcie: po prostu nie zgadzam się z paragrafem dotyczącym publicznego szerzenia oszczerstw, więc nie chce mi się rozpoczynać żadnego śledztwa”. Martin się zdenerwował i powiedział prasie,

że ma dowody na to, że policja kryje dziennikarzy brukowców. Dopiero wtedy zaczęło się coś dziać.

Otworzyły się drzwi sali sądowej i na korytarz wyszedł elegancki Milan Wolf. Skierował się w moją stronę, ale szedł nieprawdopodobnie wolno, jakby chciał mi dać czas na decyzję, czy mam wstać z ławki i zacząć z nim rozmowę. Wstałam.

- Milan, to ty? - uśmiechnęłam się.

Kiwnął głową i też się starał uśmiechnąć. Przez chwilę ogarnęła nas konsternacja. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, nikomu z nas nie przyszło do głowy, że ponownie spotkamy się w takich okolicznościach.

- Helenko... - zaczął z trudem - chciałem ci tylko powiedzieć. .. Chciałem cię zapewnić, że z mojej strony nic się nie zmieniło. Ale jeśli ty masz inne zdanie...

- Nie, nie. - Pokręciłam szybko głową. - Z mojej strony też się nic nie zmieniło. Przecież to nie twoja wina, co robi twoja córka.

Milan usiadł obok mnie na ławce i zgarbił się nieznacznie. Posiwiął wprawdzie, ale wciąż miał w sobie grację. Przez lata pracował jako reżyser dźwięku w karlińskim studiu Czechosłowackiego Radia i nagraliśmy wspólnie wiele rzeczy. Świetny muzyk o bezbłędnym słuchu, który potrafił wspaniale dobrać mi tonację i zaproponować interpretację piosenki. Nigdy się nie denerwował, nie okazywał wyższości i myślę, że mnie zawsze lubił.

- Pytałem córkę, co się stało, że tak zgłupiała - powiedział smutno. - Powtarzałem jej, żeby sprawdzała informacje, zanim je opublikuje, bo stąpa po cienkim lodzie... Ale jest już dorosła i nie mogę za nią decydować.

Nie miałam żadnego powodu, żeby się na niego irytować. Ale powodów, żeby złościć się na jego córkę i tygodnik „Spy”, było wystarczająco wiele. Nawypisywali o mnie mnóstwo bredni, a dwa z ich oszczerczych artykułów naprawdę mnie dotknęły. Jak wtedy gdy zamieścili wstępną fotomontaż z Martinem w stroju więziennym i napisali, że musiałam zapłacić za niego wielomilionową kaucję, żeby wyszedł z aresztu. Nie mam pojęcia, skąd to wzięli! Potem

znowu przeczytałam, że Martin zdradza mnie z naszą doradczynią podatkową. Znam dobrze oboje, a zdradę kobieta zawsze wyczuje szóstym zmysłem. Gdybym się dowiedziała, że mąż rzeczywiście mnie zdradza, puściłabym go z torbami. Nie wybaczyłabym.

- To ja już pójde - westchnął Milan i podał mi rękę.
- Mam nadzieję, że między nami nic się nie zmieniło...  
Miał łzy w oczach.

Znowu głębiej wciągnęłam powietrze. Niczego nie poczułam. To dobrze, przynajmniej szybko o tym zapomnę.

Oczywiście ostrzeżeń cici Heli nie brałam poważnie. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam straszliwą historię o tym, jak jej niemal nie zdeptało stado slatinańskich koni, mogłam mieć jakieś dziesięć lat. A dzieci w tym wieku nie uświadamiają sobie zagrożeń. Wręcz przeciwnie, marzą o tym, aby przeżyć coś niebezpiecznego.

Podniecało mnie wyobrażanie sobie, jak idę sama aleją kasztanową, przez gałęzie drzew prześwieca niskie popołudniowe słońce, u świętego Marcina dzwonią na czwartą, a wprost na mnie pędzi wielogłowa kohorta czarnych koni...

Jasne, że przechodziłam tamtędy pewnie z tysiąc razy, ale zazwyczaj przy okazji naszych tradycyjnych niedzielnych spacerów, kiedy mama zakładała bratu krótkie spodenki na szelkach, mnie zaś odświętną białą sukienkę, a włosy przewiązywała czerwoną kokardą. Schemat był zawsze ten sam: najpierw krótki spacer brzegiem Chrudimki, potem przez drewniany mostek na drugi brzeg i przez park do zamku. Przechodziliśmy przez tak zwaną grzechotkę

- lichutką wyrwę w bramie zamkowej, przez którą człowiek ledwo ledwo się przecisnął - a później aleją obsadzaną kasztanami aż do Monako, gdzie spacer najczęściej się kończył. Na Monako znajdowała się knajpka z parkietem do tańca, gdzie latem tata przygrywał. Spotykało się w niej z dziesięć, piętnaście rodzin. Ojcowie zamawiali po piwie

albo po kieliszku rumu, matki popijały białe wino, dorośli gadali o pogodzie, polityce i o tym, kto umarł, i wracaliśmy do domu. Dla nas, dzieciaków, nudy na pudy.

Gdyby tak móc być raz w kasztanowej alei, kiedy pędzi nią stado slatinańskich koni!

Pewnego dnia podjęłam decyzję. Serce waliło mi już od rana. Po południu wyszłam z domu, przebiegłam przez mostek, park koło zamku, wyrwę w bramie i kawałek alejki. Potem stanęłam. Nic nie było takie, jak sobie wyobrażałam. Przez gałęzie nie przeświecało popołudniowe słońce, bo padało. Chociaż przemokłam do suchej nitki, czekałam odważnie. Może trwało to tylko kilka minut, ale dla mnie to była cała wieczność.

Potem w oddali, gdzie droga skręca i schodzi na pastwiska, dostrzegłam coś, co wyglądało jak czarna burzowa chmura. Slatinańskie stado! Chmura zbliżała się do mnie. Wyraźnie słyszałam tętent i parskanie, rozpoznawałam pojedyncze konie. Nie biegly wprawdzie cwałem, ale i tak dość szybko. Dokładnie tak, jak opisywała to ciocia Hela: niczym wzburzone morze...

Były tuż przy mnie, kiedy poczułam ogromny strach. Uskoczyłam z drogi, przywarłam plecami do płotu zamkowego i mocno zacisnęłam powieki. Broda mi się trzęsła, po twarzy płynęły mi łzy i krople deszczu. Konie biegly kilka centymetrów ode mnie i wzbijały tumany kurzu, tak że niemal nie mogłam oddychać. Odważyłam się otworzyć oczy dopiero, gdy tętent umilkł, a stado zniknęło za zakrętem. Było po deszczu, niebo się rozjaśniło.

W powietrzu czuć było zapach końskiego potu, wilgotnej trawy i ozonu...

- Proszę stanąć w miejscu dla świadków - poprosiła sędzia i zaczęła czegoś szukać w aktach.

Między papierami dostrzegłam kolorową gazetę. Musiał to być ten przeklęty „Spy” z kwietnia 2003 roku. Kiedy wtedy go czytałam, myślałam, że wyjdę z siebie ze złości. „Heleno, Twój mąż trafił za kratki!” - grzmiał tytuł, a potem:

„W niedzielę 20 kwietnia do domu Heleny Vondráčkové zapukała policja. «Samochód policyjny widziałem gdzieś tak przed jedenastą. Kiedy odjeżdżał, zobaczyłem, że z tyłu siedzi Martin Michal», powiedział tygodnikowi «Spy» jeden z sąsiadów Heleny. Martin Michal rzeczywiście trafił na trzy dni do aresztu. Gdyby jednak nie jego niedawno poślubiona żona, siedziałby tam do dziś. Kochająca żona jak najszybciej wpłaciła za niego kaucję. Według informacji naszego tygodnika wynosiła ona aż pięć milionów koron! Michal przebywa teraz pod dozorem policyjnym. Grozi mu podobno nawet dziesięć lat więzienia...”.

A dalej jeszcze pisali, że szukam najlepszego adwokata i mogę zapomnieć o wakacjach za granicą, bo Martinowi zabrano paszport.

- Pani Vondráčková, proszę nam powiedzieć, czy dnia 20 kwietnia 2003 roku do państwa domu przyjechała policja? - dobiegi mnie zmęczony głos sędzie.

- Nie. To zwyczajne kłamstwo. Wszystko, co zawiera ten artykuł, to kłamstwo! Policja do naszego domu nie przyjechała i mojego męża nigdzie nie zabrała.

Sędzia pokiwała głową i zerknęła w akta. Dlaczego w kółko mnie o to pytają? - pomyślałam. Przecież odpowiadałam na to już wiele razy na przesłuchaniach, a ostatecznie ci wszyscy śledczy powinni wiedzieć przecież lepiej ode mnie, czy Martin zrobił coś karalnego!

Odwrociłam się dyskretnie, niby do mojej pani adwokat, ale tak naprawdę poszukałam oczami Milana Wolfa. Siedział w ostatnim rzędzie, podpierał brodę rękami i musiał czuć się okropnie. To nie powinno się nigdy wydarzyć!

- krzychało coś we mnie. Przyszłam do sądu, żeby bronić swojego dobrego imienia, a chyba czułam się gorzej niż te dwie pozwane redaktorki, które siedziały obok z miną, jakby to wszystko ich nie dotyczyło.

- I nigdy przed tą datą albo po niej nie przyjeżdżała do państwa policja? - kontynuowała przesłuchanie sędzia.

Nabrałam powietrza w płuca, żeby odpowiedzieć, i nagle poczułam smród pasty do podłóg zmieszanej z silnym zapachem ozonu. To mi coś przypomniało.

Mocno zacisnęłam powieki. Przez głowę przebiegło mi stado slatinańskich koni, ogromnych czarnych kłaczy i ogierów, parskających, rżących, wałących kopytami i wzbijających tumany kurzu, że niemal nie można było oddychać. Znowu byłam małą dziewczynką, która tuli się do płotu zamkowego, a po jej twarzy spływają łzy i krople deszczu... Która czeka, aż przemknie obok niej olbrzymie stado i przestanie padać, a zza gałęzi kasztanów znów wyjrzy niskie popołudniowe słońce.

NEW YORK, NEW YORK

KDYŽ MÍJÁM BROOKLYN BRIDGE,  
ZAS K ŠTĚSTÍ DÁ MI KLÍČ  
TEN SKVOST, TEN KÝČ –  
NEW YORK, NEW YORK!

JOHN KANDER, ZDENĚK BOROVEC,  
„NEW YORK, NEW YORK“

NEW YORK, NEW YORK

GDY MIJAM BROOKLYN BRIDGE,  
DO SZCZĘŚCIA DĄ MI KLUCZ  
TEN KLEJNOT, TEN KICZ –  
NEW YORK, NEW YORK!

## DZIENNIK AMERYKAŃSKI

Jechałam autostradą z Brna do Pragi, na liczniku miałam sto pięćdziesiąt albo i więcej. Zadzwoiła komórka.

- Cześć, tu Karel - odezwał się Gott.

- Co słyhać? - spytałam trochę od niechcienia, bo właśnie wyprzedzałam ciężarówkę. Jechała wprawdzie dość szybko, ale kopciła tak, że rzucało mną z jednej strony na drugą.

- Słuchaj, co robisz za rok we wrześniu? - dopytywał się Karel.

Postawiłam oczy w ślup. Znam te jego żarty. W tym jest ekspertem. Odzywa się zawsze, kiedy mam ręce pełne roboty, i zanim przejdzie do sedna, zdąży jeszcze opowiedzieć kilka żydowskich anegdot.

- Nie umiem ci powiedzieć z pamięci.

- A dokładniej dwudziestego dziewiątego? - nie dawał za wygraną. - Nie jestem pewien, to piątek albo może sobota...

- Słuchaj, ale o co ci właściwie chodzi?

- No wiesz, chciałbym... Chciałem tylko zapytać, czy nie zaśpiewałabyś gościnnie na moim koncercie. Na takim jednym koncercie... Może ze dwie piosenki. A może nawet tylko jedną... - płątał się.

Co za świetna propozycja, pomyślałam. Dwie piosenki, a może jedna zaledwie!

- Słuchaj, Karel, ja teraz prowadzę i nie za bardzo mogę rozmawiać. Zadzwoiń do ciebie z domu, dobrze?



Słyszałam, jak bezradnie dyszy w słuchawkę.

- Heleno - odezwał się po chwili. - Właściwie to najpierw chciałem zaprosić inną piosenkarkę, ale ona jakoś nie może czy nie chce... Nawet nie wiem, czy jej to w końcu ktoś powiedział...

Jeszcze lepiej! Chciał inną, ale tamta nie może albo nie chce, więc przypomniał sobie o mnie.

- Więc o co ci chodzi? Chciałeś zadzwonić do mnie czy do jakiejś innej? - wypaliłam i zaczęłam się śmiać.

- Do ciebie - odpowiedział z powagą. - Czy chcesz zaśpiewać ze mną w Carnegie Hall?

- Żarty sobie stroisz?

- Skądże. Pytam poważnie.

- Czekaj! - wrzasnęłam, zjechałam na pobocze i wcisnęłam hamulec. - Już szukam kalendarza.

\*

Długo nie wierzyłam, że to się uda. A kiedy uwierzyłam, kiedy było już niemal pewne, że zaśpiewam z Karelem Gottem w Nowym Jorku, kupiłam w sklepie papierniczym czerwony zeszyt szkolny i napisałam na okładce „Carnegie Hall”. Tak zaczęłam prowadzić dziennik. Miałam bowiem nadzieję, że tej amerykańskiej wyprawy nie będę chciała nigdy zapomnieć.

*22 września 2000. Tylko dwie próby. Zaledwie dwie próby! To całe nasze wspólne przygotowania do Carnegie Hall. Ponieważ w Pradze trwało szaleństwo związane ze światowym kongresem ekonomicznym, pojechaliśmy na dwa dni do Loučení, wioski pod Nymburkiem, gdzie można było popracować w spokoju. Bardzo tam o nas dbali, dobrze gotowali i podawali świetną kawę, a na specjalne życzenie Karela upiekli także ciasteczka orzechowe i makowe. Po próbach dostał nawet prezent. Ja nic nie dostałam.*

*Wygląda na to, że moje usilne starania, by zapewnić sobie w czasie koncertu Karela pięć solówek, przyniosły wreszcie owoce.*

*Karel najpierw wielkodusznie zaproponował mi dwie piosenki solowe i jeden duet, ale ja uważałam, że to za mało. W drugim etapie doszliśmy do dwóch solówek i jednej piosenki ekstra - pół kompozycji „New York”. Zgodził się bardzo niechętnie. Większym sukcesem skończyło się kolejne spotkanie: cztery piosenki i cały „New York”. Potem piarowiec usłyszał, że do Carnegie wybiera się spora grupa Polaków, a więc nie może zabraknąć „Nie spocznjemy”. Ostateczna wersja więc to pięć utworów solowych, potem melodie filmowe i piosenki z musicali i operetek wykonywane razem z Karem, a na koniec kilka melodii ludowych. Piękny wynik. Myślę jednak, że gość specjalny zasługuje na tyle miejsca, że nie powinien o nie jeszcze walczyć. Jak widać, z Mistrzem bywają pewne trudności.*

*Ale doceniam jego propozycję i staram się, żeby moje wystąpienie pomogło w jego show. Nie zamierzam go dobijać. Nie chcę niczego popsuć. Chodziłam na lekcje śpiewu, chociaż Karel sarkastycznie pytał, czy aby na to nie za późno. Możliwe. Tak nam dopomóż Gott!*

\*

Była to podróż w nieznaną. Wydarzyć mogło się wszystko. Koncert organizował Jiří Suchánek, właściciel restauracji Złota Praga w nowojorskiej dzielnicy Queens. W Ameryce mieszka już ponad trzydzieści lat i wie, „jak to się robi”. W dodatku dla Karela zrobiłby wszystko, ale wynajęcie Carnegie Hall nawet dla niego było twardym orzechem do zgryzienia. Pracował nad tym cztery lata. Najpierw w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać, dopiero podobno po dwóch latach hiszpańskojęzyczny portier wpuścił go poza recepcję. I w końcu Suchánek wywalczył ten koncert.

Menedżerowie z Carnegie oczywiście interesowali się także mną, chociaż byłam wyłącznie gościem. Musiałam wysłać do Ameryki całe tony ekspertyz i oficjalnych potwierdzeń. Takiej weryfikacji nie przechodziłam nawet za komunizmu, kiedy Pragokoncert puszczał mnie na pierwsze występy za granicę. Życiorys po angielsku, spis wszystkich dotychczasowych koncertów poza terytorium Czech, bilety wstępu,

plakaty, fotografie, nagrody, płyty CD, cenniki, przekłady tekstów na język angielski, wycinki z gazet...

Nie przepadam za przeglądaniem własnego archiwum. Jest duże, chaotyczne, a ja często sobie obiecuję, że jak tylko znajdę odrobinę czasu, przejrzę te wszystkie rzeczy i przynajmniej połowę z nich wyrzucę. Dobrze, że jeszcze tego nie zrobiłam. Bez tych pudeł chyba bym w Ameryce nie zaćwierkała.

\*

*26-27 września 2000. Dzień przed wylotem zaczęła boleć mnie noga w lewej pachwinie. Klasyka. Nie ma niczego za darmo. Karel już dwa dni przed podróżą jęczał, że coś go bierze. To też klasyka. „Przestań”, powiedziałam do niego. „Czy chcesz znowu dręczyć nas wszystkich przecuciem, że koncert się nie uda? Spróbuj to powiedzieć Janečkowi<sup>1</sup>”. Przestał jęczeć.*

*W noc poprzedzającą wylot nie spałam zbyt dobrze, wciąż się zastanawiałam, czego jeszcze zapomniałam. Noga bolała mnie coraz bardziej, wstałam więc o szóstej i zaczęłam ćwiczyć. Trochę się poprawiło. Śniadanie przygotował Hellmut: jajka ze słoniną, bułka i kawa z mlekiem. „Ta suknia jest na ciebie za ciasna”, ocenił mój nowy zakup.*

*Droga na lotnisko przebiegła gładko, żadnych korków, więc dzięki zapobiegliwości Hellmuta zjawiliśmy się na miejscu o godzinę za wcześnie. Ten czas minął nam jednak zaskakująco szybko. Przyszedł Zdenka<sup>2</sup>, w białej czapce z włóczki, chociaż było osiemnaście stopni. Tłumaczył się, że ma zatoki. Chyba wszyscy mamy zatoki, ale niech mu będzie. Potem zaczął się skarżyć na nadgorliwą obsługę, która jego bagaże zabiła w nieforemny klocek. A już szczytem było to, jak przy odprawie denerwował się, że w samolocie obok mnie to powinien siedzieć on, a nie Karel. Zrobił taką minę, że stewardesa zaczęła desperacko kombinować, aby spełnić jego prośbę czy też raczej rozkaz. Cwaniak z tego Zdenka! Ja za to już się zastanawiałam, co zrobi Karel, jak go teraz posadzą nie wiadomo gdzie.*

<sup>1</sup> František Janeček - impresario Karela Gotta.

<sup>2</sup> Zdeněk Fencel - wizażysta, któremu zawdzięczam swoją „cudowną przemięć” w drugiej połowie lat 90.

*Zdenda, wyraźnie zadowolony ze swojego triumfu, wymieniał walutę, ja zaś udzielałam wywiadu w saloniku CS A. Napiliśmy się whisky i kawy i weseli wsiedliśmy do samolotu. Na podróż kupiliśmy sobie magazyn „Spy”. Ito był błąd. „Czy Helenę Vondračkovą zjittką Zelenkmą łączy seks, czy miłość?” - brzmiało pytanie na stronie tytułowej. Rozśmieszyło mnie to i jednocześnie zdenerwowało.*

*Przeszliśmy przez kontrolę paszportową. Karel chciał być obok mnie, żebyśmy wspólnie błysnęli przed kamerami i ludźmi, którzy nas obserwowali. Szliśmy ręką w rękę, ale - och, jej! - w samolocie nas rozdzielili. „Pani ma miejsce SA, a pan Gott - 22B” - ponumerowała nas stewardesa. Popędziłam szybko do przedniej części samolotu, gdzie na miejscu Gotta rozsiadł się już Zdenda. Z trochę nieczystym sumieniem zabraliśmy się do jedzenia i picia, jak to ostatnio mamy w zwyczaju.*

\*

To, że w ten sposób potraktowaliśmy Karela, dręczy mnie do dzisiaj. Chociaż on może nawet jeszcze nie wie, że ta zamiana miejsc była dziełem moim i Zdenka. Nie lecieliśmy klasą biznes, więc wyobraźcie sobie tylko, co się dzieje, kiedy między zwykłymi turystami siada sam Mistrz Gott... Pomyślałam o tym dopiero, gdy samolot już kołował. Może Karel siedzi teraz obok grupy pijanych Morawiaków, usiłujących wlać w niego alkohol i zmuszających go, żeby z nimi śpiewał...?

Karel przyszedł do nas jakąś godzinę po starcie. Był błądy. Gdy poczułam od niego słaby zapach śliwownicy, zdrętwiałam.

- Karel, dobrze się czujesz? - spytałam ostrożnie.

- Ja tego lotu nie przeżyję - zaczął biadolić. - Heleno, wyobraź sobie, oni mnie posadzili na końcu samolotu, na ognie!

- To weź koc i spróbuj zasnąć - poradziłam mu.

- Tam się nie da. Z każdej strony siedzą Morawiacy i podają sobie z rąk do rąk butlę śliwownicy... Chcą, żebym z nimi pił i śpiewał.

Wybuchłam śmiechem, a zmieszany Karel przestąpił z nogi na nogę.

- Heleno! - zakwilił z nieszczęśliwym grymasem twarzy.

- Oni mnie tą śliwownicą nawet trochę oblali, sama popatrz.  
A ja nie mam tu żadnych ciuchów na zmianę!

\*

**28-29 września 2000.** Lot był spokojny i przyjemny. Było wprawdzie trochę zimno, ale koc załatwił sprawę. Potem stewardesa zaproponowała mi biznes class. Karelowi również. Dobrze się najedliśmy, a nawet nieco wyspaliśmy.

Na bntisku przeszliśmy z Karelem i Zdeną przez bramkę dla VIP-ów. W hali czekało na nas mnóstwo fanów - niektórzy nawet z transparentami - i wielu znajomych, łącznie z Karelem Štědrým, Jiřim Suchankiem z żoną, operatorem Jiřim Stredą i naturalnie także piarowcem. Natychmiast zauważyłam to, czego zauważyć nie chciałam: piarowiec był znowu na lekkim kacu. Czulałam, że będzie śle.

Organizacja trochę kulala, ale Jirka Štěředa z kamerą na plecach nie opuszczał mnie ani na chwilę. Kręcił wszystko nawet podczas długiej i męczącej podróży nowojorskimi ulicami. Jechaliśmy lincolnem: Karel, Suchanek, fotograf Tatek, ja i piarowiec. Ten ostatni upierał się, że musi usiąść obok kierowcy. Miał taką dziecinną zachciankę. Mieliliśmy bilety na ostatni koncert Barbry Streisand, ale ze względu na późny przyjazd jeszcze w limuzynie podjęliśmy decyzję, że idziemy spać.

O dziewiątej trzydzięci czasu miejscowego położyłam się do łóżka. W odróżnieniu od Mistrza Gotta, który do późna wieczór zmieniał pokoje ze względu na klimatyzację, a potem długo w nocy popijał i plotkował z muzykami. Niespecjalnie się wyspał, co było trochę widać na drugi dzień na próbie. Dwa razy zupełnie nie mógł wejść w tonację.

Rano poszliśmy ze Zdeną na śniadanie. Nie chciał jeść w hotelu, bo niby gdzieś obok będzie taniej. Restauracja miała niezły wystrój, szwedzki stół i jeszcze te owoce, kawka, bułeczki. ... Dwanaście tysięcy koron w przeliczeniu<sup>1</sup>. Bo to była restauracja należąca do sąsiedniego hotelu.

Potem wybraliśmy się na zakupy kosmetyczne. Szukałam lokówki na 120 woltów. Byliśmy w rajcu, wszędzie wokół super-

1 Czyli mniej więcej 1500 złotych - przyp. tłum.

*rzeczy, nie mogłam się oderwać. A następnie obiad w świetnej rosyjskiej restauracji: losoś, kawior, szampan...*

*O piętnastej próba w Carnegie Hall, odległej od hotelu zaledwie o trzy minuty spacerem.*

Przed Carnegie Hall wisiał ogromny plakat z głową Karela i napisem: „Karel Gott at the Carnegie”.

Nigdy wcześniej tutaj nie byłam. Właściwie zobaczyłam na własne oczy ten budynek po raz pierwszy w dzień koncertu Karela. Zawsze gdy widziałam w telewizji czy na wideo nagranie jakiegoś koncertu z tej świątyni muzyki poważnej, mówiłam sobie, że nasze praskie Rudolfinum ma równie dobre fluidy. I przyznaję się - długo nie wiedziałam, że w Carnegie występują także gwiazdy popu.

Dziwna sprawa. Jak tylko weszliśmy do środka, poczułam pierwsze oznaki tremy: suchość w gardle, bicie serca, zaskakujące drętwienie koniuszków palców. Na korytarzu w ramach wisiały plakaty Lizy Minnelli, Franka Sinatry, Tiny Turner, Madonny, Ricky'ego Martina i oczywiście Beatlesów - pierwszych *popstars*, które zdobyły Carnegie. Oni wszyscy śpiewali tutaj przed nami. Co nazwisko, to chodząca legenda. Patrzyłam na ich uśmiechnięte twarze i ogarniało mnie przerażenie.

**29 września 2000.** *Garderobę miałam piękną. Wszystko sobie przygotowałam, suknię rozwiesiłam, a następnie wzięłam kamerkę i ruszyłam na zwiedzanie budynku. Gdyby się o tym dowiedział główny menedżer, pewnie by mnie wyprowadził. Zasady panujące w Carnegie są bardzo twarde: żadnej kamery czy aparatu fotograficznego, więc wszystkie ujęcia robiłam po kryjomu. Udało mi się nawet przemycić do garderoby dziennikarza z Czech. Nikt niczego nie zauważył.*

*Gorzej było z filmowaniem w sali. Weszłam śmiało, ale po chwili bezczelnego fotografowania wszystkiego co popadnie, wliczając w to żyrandol i śpiewającego Gotta, podszedł do mnie groźnie wyglądający pan i poprosił srogo - chociaż wiedział, kim*

*jestem - żebym uprzejmie odniosła kamerę do garderoby. Udawałam, że nie rozumiem, i spakowałam ją tylko, a następnie usiadłam na widowni. Powtórzył dobitnie, że mam się natychmiast zabierać. Posłuchałam, ale z wściekłości nakręciłam całą garderobę, włączając w to toaletę. To było naprawdę długie ujęcie!*

*Próba przebiegała nieco nerwowo. Ciągłe nie byliśmy zadowoleni z dźwięku. Muzycy stali daleko od siebie, nie słyszeli się dobrze, a i mój odsluch był kiepski. Wieczorem było już o wiele lepiej.*

*Była szósta zero zero i już nas bez żadnego ale zaczęli zganiać ze sceny. Zgaszono światła, zamknięto drzwi. Nie byliśmy do tego przyzwyczajeni. W Carnegie za każdą dodatkową minutę się płaci. Wszystko musi być według ich regul. Fotografowie także mieli wyznaczone miejsce, skąd mogli robić zdjęcia, w wyznaczonym czasie oczywiście. Dotyczyło to także naszego Jirki. Kiedy potem wieczorem ludzie zastaniali mu obraz i podszedł bliżej, niż powinien, ochroniarze zaczęli go przeganiać. Ale on się nie dał. Doszło więc do przepychanek. Podczas koncertu strażnicy wyciągali ludziom filmy z aparatów, a jednego biedaka nawet wyprowadzili z sali.*

\*

Wtedy nawet rai do głowy nie przyszło, że pięć lat później znowu stanę na tej scenie. Gdyby pierwszy koncert się nie udał, pewnie mielibyśmy tu przechlapane do końca życia.

Drugą Carnegie załatwiał mój mąż Martin, który chciał, żebyśmy podzielili się z Karelem show i żeby jako gość wystąpił Waldemar Matuška. Martin marzył o tym podobno od chwili, kiedy zaczął być moim menedżerem.

Długo nie wiedziałam, że on coś takiego przygotowuje. Za każdym razem, kiedy byliśmy w Nowym Jorku, znikał gdzieś na kilka godzin, a mnie pozwalał spokojnie chodzić po sklepach, robić zakupy i bawić się. Okazało się potem, że sam w tym czasie potajemnie toczył rozmowy z Carnegie. Nie miał już tak pod górkę jak Jirka Suchánek, bo menedżerowie już nas znali i właściwie była to raczej kwestia pieniędzy niż weryfikacji talentu.

O tym, że wszystko skończyło się sukcesem, Martin zakomunikował mi w moje urodziny, które świętowałam wspólnie

z Karelem i Waldemarem w naszym ogrodzie. Wręczył wtedy całą naszą trójcę w prezencie certyfikaty oznajmiające, że możemy znowu wystąpić w Carnegie. Karel nie mógł w to uwierzyć i zaraz dzwonił do Ameryki, żeby to sprawdzić.

Za drugim razem nie miałam już takiej tremy. I trochę liczyłam na to, że tamtejsi ochroniarze nie będą aż tak czujni jak podczas naszego pierwszego występu. Już na próbie jednak okazało się, że się przeliczyłam.

- Madam, proszę natychmiast przestać! - krzyknął na mnie surowo mężczyzna w marynarce, kiedy ćwiczyłam na scenie swój ekstranumer: stepującą wstawkę do piosenki „Sir Duke” Steviego Wondera.

- Jakiś problem? - zapytałam światowo.

- *Yes, problem* - przytaknął i przeszył mnie lodowatym spojrzeniem. - Na tym parkiecie nie wolno stepować.

- W porządku. Macie tu platformę do stepowania?

- Platforma by się znalazła, ale wy jej nie zamawialiście.

- Możemy więc ją zamówić?

- Platformę do stepowania może zamówić produkcja. Na miesiąc przed koncertem - wyjaśnił lodowatym tonem, odwrócił się i odszedł.

Wpadłam na pomysł. Muzycy z sekcji dętej stali na niskich praktykablach, które były już porządnie zdarte. Na nich pewnie dałoby się stepować. Spróbowałam więc. W mgnieniu oka znów pojawił się sztywniak w marynarce.

- Madam, proszę natychmiast przestać! - rzekł surowo.

- W tej sali dzisiaj stepować pani nie będzie!

\*

**29 września 2000.** *Koncert zaczął się o ósmej. Kiedy Zdenda czesał mnie i malował w garderobie, nadstawiałam ucha, żeby usłyszeć przez głośniki reakcję publiczności na pierwszą piosenkę Karela. Szalony aplauz, krzyk, wybuch entuzjazmu... Wiedziałam już, że widownia jest nasza. Ale aż tak burzliwego przyjęcia to się nie spodziewałam.*

*Przed wejściem za kulisami nerwowo przestępowałam z nogi na nogę. Karel zapowiedział mnie naprawdę świetnie, nie skąpił*



komplementów. Kiedy w białej sukience weszłam na podium, rozległy się brawa, długie brawa. To było cudowne uczucie. Trema niemal od razu minęła. „Lásko má, jástůňnu...” [Choruję z miłości] - zaczęłam i poszło już z górki. Długo ćwiczyłam głos u profesor Smolákovej i sądzę, że było to widać. Przygotowałam sobie krótki wstęp po angielsku, niemiecku, czesku, rosyjsku i polsku - i dobrze zrobiłam. Szalone brawa. Potem „Malovaný džbánku” [Malowany dzbanek] i natychmiast stało się jasne, że na koncercie jest silna polska delegacja. Następną piosenkę, „Kam zmizel ten starý song” [Gdzie jest ten stary song], śpiewałam na zmianę po angielsku, niemiecku, czesku i francusku. Potem przyszła kolej na „New York”. Karel nie chciał, żebym go wykonywała-przekonywał, że to jak nosić drzewo do lasu. I znowu opłaciło mi się postawienie na swoim. Publiczność nagrodziła mnie niesamowitymi brawami, a muzycy przyznali potem, że takiego wykonania jeszcze nie słyszeli. Cieszyłam się bardzo. Jeszcze coś po polsku - „Nie spoczniemy”. Polacy śpiewali razem ze mną. Bomba. Wiktoria! Wreszcie suknia niebieska i utwór kończący pierwszą część - mieszanka melodii musicalowych, filmowych i operetkowych. W „Indianska pisen lasky” [Indiańska pieśń miłości] za radą profesor Smolákovej spróbowałam połączyć dwa rejestry głosowe i udało się.

Dwudziestominutowa przerwa na przebranie się w suknię srebrnoszarą. Karel w drugiej połowie żonglował gatunkami - rock and roli, kantylena, klasyka... Rzucił swoje największe hity i ludzie byli zachwyceni. Karel to jest gość! Na zakończenie wspólna piosenka i bisy. Czas niestety zleciał jak z bicza strzelił. Za kulisami widziałam, jak szefowie raz po raz zerkają na zegarek i szepczą między sobą. Suchánek czekał za podium z kwiatami, dziewczyną oraz dzieckiem w stroju ludowym. Musiał się jeszcze pożegnać z publicznością i podziękować sponsorom. Kolejny bis-pieśni ludowe z fortepianem. Karel początkowo wcale nie zamierzał ich śpiewać, ale potem przyznał, że miałam dobry pomysł. Właściwie był to pomysł mojego taty, który zawyrokował, że wyjazd do rodaków bez zaśpiewania dla nich czegoś ludowego powinien być karany.

Owacje na stojąco. Zaczęło się od Aj i Vrzáňovej, Miloša Formana z żoną Martiną oraz pijanego w sztok piarowca. Ten ostatni wdrapał się z różami na scenę, po drodze niemal prze-

wracając jakąś kobietę, i zaczął krzyczeć triumfalnie: „Nie chcieli mnie wpuścić, a mnie się i tak udało!”. Ze wstydu ugięły mi się kolana, ale nic już się nie dało zrobić, już był na scenie. Dowiedziałam się później, że przez cały koncert męczył Formana i bez przerwy coś mu tam szeptał. Ledwie się na nogach trzymał, ale w odpowiedniej chwili wstał i wzniesił burzę oklasków. Po powrocie zadzwonił Suchánek, że miał spore problemy w związku z piarowcem, bo jego zachowanie zauważyli ochroniarze. Wszędzie były bowiem kamery przemysłowe. Długi koniec koncertu. Suchánek starał się wymienić wszystkich sponsorów, ale i tak zapomniał o jednym i musiał oddawać pieniądze. Pech.

Pojechaliśmy do konsulatu, gdzie zostaliśmy przyjęci gorąco, tylko że do jedzenia nic już nie zostało. Wypiliśmy więc po kieliszku białego wina, zostaliśmy obfotografowani, popodpisywaliśmy płyty i udzieliliśmy wielu wywiadów. Przyszła Paulina Pořízková, która zapowiadała nasz koncert, Aja Vrzáňová, Karel Štědrý z żoną, pojawił się też mój kolega ze Słowacji, którego poznałam w latach sześćdziesiątych podczas pobytu z Martą Kubisovą w Bułgarii. Forman wykręcił się z bankietu i wcale mu się nie dziwię. Poza tym było tam mnóstwo czeskich dziennikarzy i fotografów. Piarowiec znowu się nie popisał: w trakcie przemówienia konsula szeleścił Gottowi przed nosem gazetami, żeby mu pokazać, kto i co o nim napisał. Potem zasłonił operatorowi Jirkowi obiektyw i nie pozwolił mu kręcić Karela. Musiałam objąć jak zawsze dowództwo i pokazać piarowcowi jego miejsce. Stał się postrachem bankietu i wszyscy staraliśmy się wyjść czym prędzej, żeby tylko nie próbował zabrać się z nami samochodem.

Pojechaliśmy jeszcze do Suchánka do Złotej Pragi. Spaliśmy niewiele, jakieś cztery godziny.

Carnegie Hall jest jak narkotyk, który uzależnia już po pierwszej dawce.

Nie sądziłam, że w moim wieku i po tym wszystkim, co przeżyłam, będę mieć jeszcze jakieś wielkie marzenia i cele do osiągnięcia.

nięcia. Po powrocie z Nowego Jorku wiedziałam, że w Carnegie muszę zaśpiewać przynajmniej jeszcze raz w życiu.

Marzenie spełniło się prawie pięć lat później. Znowu stanęłam na scenie z Karelem Gottem, teraz już jednak nie jako jego gość, ale równoważny partner. Za drugim razem nam obojgu bardziej się podobało. Śpiewaliśmy na większym luzie, już nie stresowała nas tak bardzo sława tego miejsca. Bawiłam się doskonale. Kiedy zaczęłam śpiewać piosenkę „Archiméde” [Archimedes], w której gram na kongach, publiczność jakby zapomniała, gdzie jest, i zaczęła się zachowywać niczym na koncercie rockowym. Wbrew zasadom panującym w tej sali ludzie z balkonów pchali się na parter, a kiedy na koniec podrzuciłam pałeczki, sala oszalała z radości. Ochroniarze nie nadążali zabierać aparatów fotograficznych i kamer. Potem się poddali, stanęli po bokach, zaczęli przytupywać do rytmu i śpiewać razem ze mną.

Po powrocie do Pragi czytałam w gazetach: „Nowy Jork do Vondráčkovej: Żadna tu z ciebie gwiazda, przywieź nam Gotta!”. Pisano też, że Carnegie była tym razem pustawa i koncert skończył się fiaskiem. To nieprawda. My tam byliśmy i wiemy swoje...

\*

**30 września -1 października 2000.** Wycieczka statkiem wokół Manhattanu. I znowu całkowita porażka piarowca. Z powodu zamieszania z biletami mnóstwo osób nie dostało się na pokład. Mnie też nie chcieli wpuścić, bo podobno nie było już miejsc, chociaż mieliśmy ze Zdenkiem bilety! W końcu Zdenda zrezygnował z wycieczki, a ja zażądałam od piarowca zwrotu stu pięćdziesięciu dolarów za stracony bilet Zdenka i weszłam na pokład sama. Karol też o mało nie zostałby na brzegu. Najlepsze było to, że wykupił bilety dla wszystkich dziennikarzy, a sam by nie popłynął. Zaproponowałam, że mu za nich dopłacę, ale odrzucił ten pomysł.

Na statku była świetna zabawa i niezłe jedzenie. Nareszcie zobaczyłam Statuę Wolności. Piarowiec bez przerwy przeprowadzał z nami wywiady. Nie wiem, czy to miało jakiś sens, ale walczył jak lew. Pogoda była wspaniała. Sunshine,

szampan... Potem zaczęliśmy śpiewać. Karel nie chciał, uważał, że go oszukano, bo na biletach była informacja, że podczas rejsu będzie minirecital, a z nim nikt tego nie uzgadniał. Był trochę zirytowany. A ja nie. Větrák<sup>1</sup> grał na fortepianie, a ja i Karel Štědrý śpiewaliśmy, aż się pagórki na Manhattanie zazieleniły.

Po rejsie dostaliśmy od sponsorów prezenty: piękne drogocenne zegarki z prawdziwymi brylantami. O mało się na mnie nie obrzili, ponieważ przestępowałam z nogi na nogę, gdyż spieszyłam się na helikopter, który zamówiłam i za który zapłaciłam z góry, żeby nakręcić Nowy Jork z powietrza. Karel nie chciał lecieć ze mną. Twierdził, że źle się czuje i „nie lubi helikopterów”.

Potem Polacy zaprosili mnie do swojego klubu dyskotekowego, więc zajrzałam tam na chwilę. Znowu szampan, ochroniarze, taniec z organizatorem - długowłosym dziennikarzem. O dwunastej byłam w łóżku i to była mądra decyzja. Karel też wpadł do tej polskiej dyskoteki i położył się strasznie późno. Rano był zupełnie nieprzytomny. Piarowiec oczywiście wkłęcił się tam razem z nim, nie można się było od niego opędzić.

Zaraz na drugi dzień w Złotej Pradze dałam do wiwatu Remešovej<sup>2</sup>. Jakiś czas temu robiła ze mną wywiad do „Blesku”. Chciała rozmawiać o mężczyznach i ich wadach oraz zaletach, więc jej powiedziałam parę banałów, a ona dopisała sobie nazwiska facetów, których znam. Wspomniała tam i o Zdeňku Rytířze, a potem jego żona wysłała mi bardzo ostry list. Hellmut podał mi go przy śniadaniu razem z odpowiednim egzemplarzem „Blesku”. Powiedziałam więc Remešovej kilka słów do słuchu. Wyglądała jak zbity pies. Obiecała, że osobiście przeprosi Helene Rytirovą. Wprawdzie przyznała się do błędu, ale co mi po tym? W Nowym Jorku skutecznie mnie unikała, bo się mnie podobno bała. Chyba z powodu nieczystego sumienia. Dziennikarzyna!

1 Pavel Větrovec - pianista, dyrygent KGB, ówczesnego zespołu Gotta.

2 Michaela Remešová - redaktorka dziennika „Blesk”, która w tamtym czasie najintensywniej się mną zajmowała.

- No, nie, pani Heleno, to chyba niemożliwe! Kiedy pani śpiewa w Złotej Pradze? - zagadnął mnie facet na pokładzie samolotu z Pragi do Nowego Jorku.

Był rok 1993, leciałam do Nowego Jorku po raz pierwszy w życiu - miałam tam kręcić musical „Helena na skutecznie Broadwayu” [Helena na prawdziwym Broadwayu] - i o żadnej Złotej Pradze nie słyszałam.

- W Pradze śpiewałam całe życie, teraz dla odmiany spróbuję w Nowym Jorku - spróbowałam obrócić pytanie w żart.

Facet niewyraźnie i z wahaniem się uśmiechnął, jakby nie zrozumiał.

- Okay - odpowiedział. - Ale kiedy ma pani koncert w Złotej Pradze?

Teraz ja się uśmiechnęłam niewyraźnie, a facet zaczął mi wyjaśniać. Opowiadał, że na nowojorskim Queensie, na skrzyżowaniu 30. alei i 31. ulicy mieści się całkiem zwyczajna knajpka, która nazywa się Golden Prague Restaurant. Nie jest to jakieś wyjątkowe miejsce, bo restauracja znajduje się tuż obok torów kolejki miejskiej, ale dla naszych rodaków mieszkających w Nowym Jorku to prawdziwa mekka...

- Należy do Jiříego Suchánka, który kiedyś przygrywał na pianinie Karelowi, pardon, panu Gottowi... Taak, Złota Praga to raj tutejszych Czechów. Śpiewali tam już Waldemar Matuška, Jiří Suchý z Jitką Molavcovą, Eva Pilařova...

- wyliczał i nie mógł się nadziwić, że nigdy nie słyszałam o tej czeskiej oazie w mieście drapaczy chmur.

Zanim wylądowaliśmy, wyciągnął ze mnie, w którym hotelu zamierzam się zatrzymać. Jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił do mnie restaurator Suchánek, a następnego dnia śpiewałam już w jego lokalu, z którego powynoszono stoły, żeby weszło jak najwięcej ludzi. Pierwszy recital w knajpie w moim życiu...

## A

2 października 2000. Pożegnanie na lotnisku było wspa-  
niale. Dostaliśmy zdjęcia z Carnegie Hall, fotografowaliśmy się

*i jeszcze nawet zdążyliśmy załatwić miejsca w klasie biznes dla Karela, Větrovca i dla mnie.*

*W samolocie siedziałam koło Karela. Porozmawialiśmy sobie od serca i pośmialiśmy się. Bez przerwy dowcipkował na temat mojego apetytu. Stewardesa załamywała nad nami ręce, myślała, że lecą jacyś wariaci. Obgadaliśmy ludzi z czeskiego świecznika, wszystkich, którzy nam tylko przyszli na myśl. Potem zachciało mi się spać, więc przyłożyłam głowę do poduszki i próbowałam się zdrzemnąć, ale Karel zachowywał się jak mały chłopiec. Marudził, że nie może zasnąć, a potem usiłował wyjąć słuchawki z foliowego woreczka. Nie mógł go otworzyć, szeleścił więc nim i wściekał się przy tym. Potem woreczek wreszcie jakoś rozrwał i podsumował: „Próbowałem z każdej strony, a okazało się, że trzeba z jeszcze innej”. Uwielbiam te jego powiedzonka.*

*W Pradze lało. Miasto zakorkowane, Hellmut przeklina pod nosem. Przyjechaliśmy do domu około dwunastej. Ugotowałam obiad i chciałam się położyć, ale dostałam złą wiadomość od siostry: „Wczoraj o trzeciej w nocy umarła ciocia Mila...”.*

*Zabolało bardzo. Pomyślałam sobie, że Bóg rozdziela to tak: najpierw wielka radość i wielkie szczęście, a zaraz potem ból i żal. Jestem smutna i chce mi się płakać. Przedemną leżą gazety pełne ochów i achów nad naszym amerykańskim koncertem, a ja cierpię... Dobrze, że ciocia zdążyła mnie chociaż odwiedzić przed śmiercią, że była u mnie z całą rodziną. Tak bardzo tego chciała. Mam jej ostatnie zdjęcie zrobione u mnie w ogrodzie.*

*Rozmawiałam z jej synem Hornikiem. Wyznał mi: „Bardzo mi było przykro, kiedy twój tata powiedział: «Widzisz, odprowadziłem je już obie do grobu, mamę i Milę...»”.*

*Co teraz będzie? Mila trzymała za mnie kciuki, kiedy leciałam za ocean, i zdążyła się jeszcze nacieszyć moim sukcesem. Może utrzymało ją to odrobinę dłużej przy życiu? Będzie mi jej brakować. Już nigdy nie usłyszę jej „Helinko”, nie usłyszę już, jak śpiewa w kościele Ave Maria.*

*Tata prawie mi płakał przez telefon: „Jak to dobrze, że mogłem się nimi zająć, że były w domu do końca... Tata to jest gość!”*

## RŮŽE KVETOU DÁL

KDO SE TOPÍŠ JAKO PRÁM  
V NAŠÍ ROZBOUŘENÉ DOBĚ,  
V TÉHLE CHVÍLI PRÁVĚ TOBĚ  
ZAZPÍVÁM:

PODÍVEJ, KVETE RŮŽE. . .

PODÍVEJ, KVETE RŮŽE. . .

PODÍVEJ, KVETE RŮŽE...

TA TVÁ.

GILBERT BÉCAUD, IVO FISCHER,  
„RŮŽE KVETOU DÁL“

## RÓŽE KWITNĄ DALEJ

TY, CO TOPISZ SIĘ JAK PROM  
W NASZEJ NIESPOKOJNEJ DOBIE,  
W TYM MOMENCIE WŁAŚNIE TOBIE  
ŚPIEWAM TO:

POPATZ, KWITNIE RÓŻA...

POPATZ, KWITNIE RÓŻA...

POPATZ, KWITNIE RÓŻA...

TA TWOJA.

## Za szkłem

f rzechodzę obok niej codziennie. Stara tenisowa rakietta z czasów pierwszej republiki. Dawno już zniszczyłyby ją czas, gdyby nie chroniła jej wielka dębowa rama. Powiesiłam ją na ścianie, żeby przypominała mi czasy, których nie mogę pamiętać i które znam jedynie z opowiadań. Żeby przypominała mi złotą epokę, kiedy świat był rzekomo prostszy i łatwiejszy do zrozumienia.

Bo dzisiaj już w to, że był prostszy, nie wierzę. Kiedy jako mała dziewczynka odkryłam tę rakietę na strychu, pojęcia nie miałam, co to jest i do czego może służyć. Sądziłam, że to jakaś dziwna gitara. „Odlóż to tam, skąd wzięłaś”, przykazała mi surowo mama. A kiedy dopytywałam się, co to takiego, odpowiedziała od niechcienia: „To stara i niepotrzebna już dzisiaj rzecz”. Ciekawość nie dawała mi spokoju. Mama jednak uparcie milczała.

\*

Tamta ostatnia niedziela przed początkiem adwentu była dla mnie wielkim świętem. Rodzice nareszcie pozwolili mi zostać na noc w Słatińnach u dziadków ze strony taty.

Jako mała dziewczynka słyszałam kiedyś, że dziadek służył wcześniej na zamku u hrabiego Auersperga, ale u nas w domu nigdy się o tym nie mówiło. Może dlatego,



że w czasach, kiedy na ścianach wisiały portrety Stalina, mogło to rzucić cień na całą rodzinę. Za pierwszej republiki dziadek otworzył na głównej ulicy w Slatiňanach piekarnię. Po przewrocie komunistycznym w 1948 roku nie zamknął firmy - piekarzy potrzebuje bowiem każdy reżim - tylko nad drzwiami nie mogło już widnieć jego nazwisko.

Popołudniami dziadek siadywał na ławeczce przed sklepem, plotkował z sąsiadami, a gdy oboje z bratem Jiřim przechodziliśmy obok, zaczynał nucić, nie wiadomo dlaczego:

Królu Jerzy Podiebradzki,  
Tyś ukochał naród czeski...

Lubiliśmy chodzić do dziadków, ale mama powtarzała, że nas psują i rozpieszczają.

Babcia gotowała wyśmienicie. Możliwe, że właśnie dlatego między nią a mamą, która również była doskonałą kucharką, tliła się skrywana zazdrość. Kiedy mogłam już sama chodzić do szkoły i wracać, zawsze wybierałam drogę obok piekarni dziadka. Babcia czekała na mnie przed sklepem, z chustką na głowie i w fartuszkach, brała się pod boki i zapraszała na obiad. Łazanki czy rwaki z makiem i cukrem, placki ziemniaczane z powidłami śliwkowymi, pieczona wieprzowina z duszoną kapustą i knedlikami... Same specjały, które według mamy zdrowe dla dzieci nie były. „Na pewno znowu u babci objadłaś się tłustym mięsem i słodkościami”, denerwowała się, kiedy po południu wracałam ze szkoły i nie miałam już w żołądku miejsca na jej obiad.

Ja jednak od małego miałam wstręt do tłustego mięsa. Dziadek doskonale o tym wiedział. Zawsze nadziewał na widelec kawałek głowizny albo wspaniale przerośniętego boczku, wymachiwał mi nim przed oczami i rozkoszował się tym, jak z obrzydzeniem zatykam nos i robię miny.

Ostatniej niedzieli przed adwentem nareszcie mogłam nocować u dziadków.

- Zobaczysz teraz po raz pierwszy, jak się piecze chleb - opowiada! dziadek. - Ale musisz mi obiecać, że wstaniesz o trzeciej w nocy i nie będę musiał wyciągać cię na siłę z łóżka.

- A jak nie wstanie, to się nic nie stanie, prawda? - Babcia puściła oko do dziadka i pogłaskała mnie po głowie.

- Zrobiłam wieprzowinę z kapustą, ale nie bój się, dam ci chude mięso.

-Ach, wieprzowinka... - Dziadek zatarł ręce, kiedy babcia postawiła jedzenie na stole. Nadział na widelec najtłustszy kęsek i podsunął mi pod nos. - O co zakład, że tego nie zjesz?

Potem zaczął długi wykład o tym, jak się wypieka chleb. Opowiadał, jak się wyrabia zakwas, jak się powinno formować bułki, żeby potem w piecu nie zmieniły się w nieforemne placki, jak rozpoznać mąkę doskonałą od zaledwie dobrej... Nie bardzo mnie to interesowało - miałam dopiero siedem lat - więc przerwałam:

- Dziadku, a czy to prawda, że służyłeś na zamku?

Dziadek z babcią spojrzeli na siebie.

- No, właściwie tylko chodziłem tam czasami. Mieli tam takie wielkie stajnie, mnóstwo koni, jak do dziś. A do tego jeszcze parę gorącokrwistych siwków, które zaprzęgali do powozu...

- Wystarczy na dziś - pospiesznie powiedziała babcia i zaczęła sprzątać ze stołu. - Helenko, czas już do łóżka, jeśli zamierzasz wstać razem z dziadkiem.

Leżałam i nadstawiałam ucha, żeby podслуchać ważną debatę toczącą się w kuchni za zamkniętymi drzwiami. Najwięcej mówiła babcia. Szeptala w taki charakterystyczny sposób, po którym poznaje się zawsze, że mowa jest o jakiejś tajemnicy. Dziadek czasem tylko walił pięścią w stół i mówił coś w stylu: „Więc zdradziłem jej ten wielki sekret, że oni mieli konie, i co z tego?”.

Dziadek obudził mnie o trzeciej, jak obiecał. Nie chciało mi się wstać z łóżka, ale on się ze mną nie cackał, wyciągnął mnie rozespaną i w nocnej koszuli zaniósł do pracowni. Tak nazywał tę część domu, gdzie znajdowały się nowoczesne metalowe i stare drewniane dzieże,

warząchwie, regały z plecionkami, wielkie dębowe stoły i ogromny stary piec.

- Nic się nie bój, tutaj nie zmarzniesz, wręcz przeciwnie - powiedział i postawił mnie przed piecem. - Już bucha, potwór jeden. Pakujemy! Przyszłaś w dobrym momencie.

Babcia wprawdzie denerwowała się, że biegam po piekarni tylko w piżamce, ale dziadek powiedział, że teraz, kiedy w pracowni każda ręka jest na wagę złota, nie ma czasu na strojenie się.

- Będziesz smarować bochenki, ale z góry zapowiadam, że to musi być biegiem, piec nie może stać - przykazał i ustawił mnie przed długą ławą, na której leżały w rzędach bochenki z kwaszonego ciasta.

To mnie ostatecznie obudziło. Chodziłam od bochenka do bochenka, każdy smarowałam trzy razy wilgotnym pędzelkiem i robiłam w nich patyczkiem po trzy dziurki. Przypominało to magiczny rytuał. Dziadek stał za mną, chwalił, że mi to wychodzi, posmarowane bochenki z dziurkami układał na drewnianej łopacie i wsuwał do pieca. Za chwilę w piekarni zapachniało świeżym pieczywem...

Kiedy na ławie został ostatni już kawałek ciasta, dziadek przysunął się do mnie, obrócił, żeby sprawdzić, czy babcia tego nie słyszy, i wyszeptał mi do ucha:

- Helenko, może będziesz chciała zająć się kiedyś piekarstwem, więc zdradzę ci pewien sekret. Wcześniej na każdym bochenku chleba robiło się krzyż, o tak... - I palcem wskazującym zrobił w cieście krzyż. - I tak ten chleb nie jest już nasz, ludzki, tylko Boski.

Potem wsadził bochenek do pieca i długo mu się przyglądał.

- Boże Narodzenie w Pradze? - ciocia Hela się zamyśliła, zaciągnęła papierosem i oblizała wargi. - Nie spodobałoby się wam. Chaos, wszyscy gdzieś się spieszą, zero spokoju czy odpoczynku, każdy biega z miejsca na miejsce,

robi generalne porządki... Cieszcie się, że możecie spędzać święta tutaj. W Pradze nawet śnieg nie jest biały, tylko raczej szarawy, no i spróbujcie pojeździć na sankach po placu Waclawa na przykład! Żadna góra z niego, raczej góreczka, a na dodatek jeżdżą tam tramwaje!

Ciocia Hela niezbyt często przyjeżdżała zimą do Slatiánów, ale tym razem przyjechała, na calutkie święta nawet. Siedziała u nas w dużym pokoju, paliła papierosa za papierosem, oznajmiając, że przyjechała pomóc mamie w generalnych porządkach.

- A Wełtawa to nawet nie zamarza, tymczasem wy tu, na Chrudimce, możecie jeździć na łyżwach od rana do nocy - skończyła narzekać na święta w Pradze i rozejrzała się po pokoju. - Tu to by się przydało zrobić jakieś radykalne przemeblowanie...

Jeździć na łyżwach od rana do nocy po Chrudimce... Jasne, że bym mogła, gdybym tylko miała łyżwy. Teraz mogłam tylko ślizgać się po lodzie albo wozić na sankach brata, co może i było niezłą zabawą, ale nie na cały dzień. Żeby tak dostać pod choinkę przynajmniej zwyczajne sznurowane figurówki!

Raz zabrał nas tata na stadion do Pardubic na konkurs w jeździe figurowej na lodzie. A kiedy zobaczyłam te wszystkie ślicznotki w bluzeczkach z cekinami, króciutkich spódniczkach z tiulu i wysokich białych butach, jak kręcą na lodzie piruety, już wiedziałam: jak dorosnę, nie zostanę królową, jak planowałam, ale łyżwiarką. Albo jeszcze lepiej: królową łyżwiarką. Mama mi jednak wyjaśniła, że takie buty kosztują majątek i że nie mam na co liczyć.

Kiedy weszłam w Wigilię do dużego pokoju, zobaczyłam ciocię Helę nad pełną już popielniczką.

- Zdena przyjeżdża za chwilę, więc wyjdźcie po nią na pociąg - rozkazała. - Wszyscy! My z mamą mamy tu jeszcze mnóstwo roboty.

Tacie wcale nie chciało się wychodzić na mróz, zwłaszcza tak skoro świt, ale w końcu ubrał się i powiedział:

- Idziemy.

Wsiadliśmy oboje z bratem na sanki, tata nas ciągnął i mrucał pod nosem, że „te baby to zawsze muszą coś szykować, nawet w Wigilię nie może być spokoju”.

Cieszyliśmy się, że przyjeżdża siostra Zdenka. Była już pełnoletnia, mieszkała w Pradze. Skończyła szkołę ogrodniczą, ale chyba inaczej wyobrażała sobie własną przyszłość, bo kiedyś podsłuchałam, jak się irytuje: „Dlaczego właśnie ja muszę robić wieńce dla Stalina i Gottwalda?!”. Chciała studiować, ale nie miała właściwego pochodzenia, o czym dowiedziała się po wielu latach. Przyjeżdżała do nas co sobota, zaraz po pracy, i na wszystkie święta też oczywiście. Oboje z bratem w każde sobotnie popołudnie wieszaliśmy się na płocie i wyglądaliśmy, czy na zakręcie nie widać sylwetki w zielonym flauszowym płaszczku z czerwoną walizeczką w ręku. Wybiegaliśmy jej naprzeciw, a jak nas tylko zobaczyła, stawiała bagaż na ziemi i otwierała szeroko ramiona...

Tym razem Zdena oprócz walizeczki przywiozła dwie wielkie torby. Już na schodkach pociągu podniosła je wysoko i krzyknęła na cały dworzec:

- Chrystus się rodzi, radujmy się, bracia!

Tata uśmiechnął się, położył palec na ustach i podniósł kołnierz. On sam publicznie nigdy nie mówił o niczym, co ma związek z religią. Chodził wprawdzie co niedziela do kościoła i zabierał nas ze sobą, ale jeśli dobrze pamiętam, to rozmów o wierze nie inicjował. To, że Bóg istnieje i że porządny człowiek powinien przynajmniej raz w tygodniu chodzić do komunii, uważał za sprawę oczywistą. Zapisał mnie nawet na lekcje religii. Chętnie słuchałam opowieści naszego katechety o arce Noego, Kainie, który zabił Abła, czy Józefie sprzedanym przez braci za miskę soczewicy. Ale niektórych rzeczy za nic nie mogłam zrozumieć. Na przykład co to znaczy, że Bóg jest w Trójcy jedyny prawdziwy, albo jak Chrystus mógł zmartwychwstać i gdzieś wstąpić. Przyznaję się też, że w naszym kościele najbardziej podobał mi się Murzynek przy wejściu, który połykał monety wrzucane przez wiernych...

- Chcesz jeszcze zostać łyżwiarką? - dopytywała się Zdena, kiedy ciągnęła nas na sankach do domu.

Torby z prezentami niósł tata.

- Chcę! - odpowiedziałam zdecydowanie. Zaświtała mi wątła nadzieja, że może dostanę pod choinkę te piękne białe buty łyżwiarskie. - No to sprawdźmy, czy lód jest wytrzymały - podeszła rzeczowo do sprawy Zdena.

Całe przedpołudnie szalałyśmy na Chrudimce. Siostrzyczka w grubych kozakach uczyła mnie piruetów, a ja próbowałam ją naśladować. Potem tata powiedział, że już zmarzył i że zbieramy się do domu, zanim „ciocia Hela zdąży nam zasmrodzić całą chałupę”. Mama z cicią czekały na nas przed domem i uśmiechały się tajemniczo.

- Wszystko gotowe, ale się zdziwicie - powiedziała ciocia i szerokim łukiem rzuciła niedopałek w zaspę. - No, już, już, lećcie zobaczyć duży pokój.

W domu tata stanął jak wryty. Nic nie było na swoim miejscu. Tam, gdzie przedtem stało pianino, teraz była biblioteczka, tam, gdzie był fotel klubowy, prezentowała się witryna z kryształami z kuchni, radio mama z cicią wyniosły na korytarz, a na tym miejscu ustawiły wersalkę z sypialni. Na środku znalazł się okrągły stół, który jakiś czas temu tata wyniósł na dwór i zamierzał spalić.

Tata nie powiedział ani słowa. Wyrzucił nas za drzwi i zaczął przenosić meble na dawne miejsca. Od czasu do czasu słyszałam, jak przeklina i wścieka się, że „w tym roku nawet święta nie mogą być normalne”.

- Czego on się tak złości? - ciocia Hela była zaskoczona.  
- Przecież przemeblowałyśmy ten pokój zgodnie z najnowszymi trendami...

Wieczorem wszystko już stało na swoim miejscu, a w rogu dodatkowo pięknie udekorowana choinka. Tata usiadł w fotelu, a oczy kleiły mu się ze zmęczenia tak, że nie chciało mu się nawet grać kołęd na pianinie jak co roku. Starał się jednak przynajmniej porządnie rozdysponować prezenty:

- Pokaż wszystkim, Helenko, co ci przyniósł Mikołaj w tym roku...

Otworzyłam szybko pudełko od butów z napisem „Dla Helenki” i oczy rozjaśniły mi się z zachwytu. W środku były dwie nierdzewne łyżwy, jakie przymocowuje się do prawdziwych butów łyżwiarskich.

- Buty dostaniesz za rok - powiedziała Zdenka przepraszająco, a mama dodała:

- Tatusz tymczasem przyczepi ci je do traperów, jeśli się da, prawda, tato?

Tata otworzył oczy i z wysiłkiem zamruczał:

- Na pewno się da. Dla nas nie ma rzeczy niemożliwych.

## A

Trwało piękne lato i znowu chciałam być raczej królową niż łyżwiarką. Albo jeszcze lepiej: królową pływaczką. Codziennie z bratem chodziliśmy nad rzekę, budowaliśmy tamy z kamieni i skakaliśmy do wody z betonowych słupków na brzegu. Wystawały jakiś metr nad wodę, ale wówczas wydawały nam się strasznie wysokie. Pływać jeszcze nie umiałam, ale chodząc po dnie, już wyobrażałam sobie, jak to wygrywam zawody.

W naszym dużym pokoju nad popielniczką znowu siedziała ciocia Hela.

- Blaženko, myślałam, że nie złapię dzisiaj oddechu - opowiadała o czymś mamie, która gotowała obiad. - A poza tym nawet nie ma gdzie grać. Sama spójrz, zalali asfaltem ten piękny kort koło dawnego Sokoła i zrobili tam boisko do siatkówki. Powiedz mi tylko, co jest socjalistycznego w siatkówce, a kapitalistycznego w golfie?! Sport to sport, nie mam racji?

Mama odwróciła się od kuchenki, chciała pewnie coś powiedzieć, ale nagle zauważyła, że stoję w drzwiach.

- Czego tu szukasz? - zapytała niepewnie.

- Ja tylko... Możemy iść nad rzekę?

- Dlaczego właśnie dzisiaj o to pytasz, skoro chodzisz tam codziennie?! - mama nie mogła się nadziwić mojemu nagłemu posłuszeństwu.

Zrozumiałam w jednej chwili, że mowa jest o czymś ciekawym i nie dla dzieci. Rzeka mogła teraz poczekać.

- Ciociu, a co zalali tym asfaltem? - zaczęłam się dopytywać.

- Oj, Hela, sama widzisz... - westchnęła mama.

- Czekaj, to przy dzieciach już o tym mówić nie można? - uspokajała ją ciotka. - A co to, szpiegostwo czy dywersja, co? Jak już grać nie można, to chociaż porozmawiać. - Wyprostowała się i ze złością zgmiotła niedopałek w popielniczkę. - Do czego to doszliśmy? Boimy się nawet wypowiedzieć słowo „tenis”. Tenis, tenis, tenis! - krzyczała w stronę otwartego okna.

Myślałam, że mama się wystraszy, ale ona tylko wzruszyła ramionami z rezygnacją i westchnęła. Ciocia uznała to za zwycięstwo, kiwnęła więc na mnie i energicznie wstała od stołu.

- Błażenko, macie tu jakąś raketę? Pograłybyśmy sobie z Helenką w ogrodzie.

- Na górze pod materacem.

Kiedy ciocia Hela przyniosła raketę, rozpoznałam w niej tamtą dziwną gitarę, którą znalazłam rok wcześniej na strychu. Ciocia Hela wyjęła ją z dębowej ramy, przejechała palcami po naciągu i machnęła nią w różne strony.

- Tym już się nie da grać... Ale czekaj, mam pomysł!

- Wzięła z ławy kilka kartek starej gazety i zgmiotła je w kulkę. - Helenko, chodź ze mną na dwór.

Gdy zaczęła rozpinać między gałęziami jabłoni sznurek, przystąpiła do tłumaczenia mi zasad gry:

- A więc po pierwsze: potrzebne są dwie takie rakietki, a my ich nie mamy, ale potrafimy sobie chyba wyobrazić, że mamy. To moja połowa boiska, a to twoja. I tak, celem gry jest przerzucenie przez siatkę, którą u nas jest ten sznurek, piłeczki, czyli w naszym wypadku tej kulki z papieru. Odbija się ją tam i z powrotem rakieta, a ten, kto nie odbije albo uderzy w siatkę, ten... Ten traci punkt.

Ciocia Hela zapaliła, przesunęła papierosa w kącik ust, odeszła kilka kroków od „siatki”, podniosła raketę i przygotowała się do uderzenia.



- Uwaga, podaję. *Ready?* - zapytała i z całej siły uderzyła papierową kulkę, która zatoczyła łuk w powietrzu i zatrzymała się między gałęziami jabłoni.

Ciocia próbowała ją strząsnąć, ale bezskutecznie.

- To się nazywa spalony - rzuciła półgębkiem. - Zdarza się.

Ale spróbuj sobie wyobrazić, że mi się udało. I że nie gramy w żadnym ogrodzie, tylko na wielkim ceglany korce, że ogląda nas mnóstwo ludzi, że mamy obie śnieżnobiałe koszulki i śnieżnobiałe spódniczki tuż nad kolana i że po tę wstrętą piłkę już biegnie chłopiec, którego jedynym zadaniem jest właśnie jej podanie...

W głowie miałam kompletny chaos. Ale jedno wiedziałam na sto procent: jak dorosnę, zostanę królową tenisistką.

Przechodzę obok niego codziennie. Dyplom w ramkach, na którym jest napisane, że dnia 29 kwietnia 1982 roku rząd Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej przyznaje mi „za doskonałe wykonania utworów muzycznych w kraju i za granicą honorowy tytuł zasłużonej artystki”, podpisano: zastępca przewodniczącego Rady Państwa Josef Korčák. Powiesiłam go na ścianie - nie wtedy, ale kilka lat po aksamitnej rewolucji - żeby przypominał mi, jak płynna jest granica między uwielbieniem a potępieniem.

Na początku lat dziewięćdziesiątych rozpętała się powszechna histeria i wszyscy naraz chcieli te tytuły oddawać, tylko nie było komu i gdzie. Wielu czuło się w obowiązku zrzec się tego kawałka papieru, zrzec się przeszłości, posypać głowę popiołem, publicznie się pokajać i wstydzić za wszystko. Nie tylko za to, co było złe, ale i za to, co dobre. Najbardziej wstydzili się publicznie ci, którzy za komunizmu najgoręcej o te różne nagrody i medale zabiegali. „Ja to nawet nie wiem, gdzie mam ten dyplom. Chyba leży gdzieś za szafą...”, „Kiedy odbierałem tę nagrodę, chciałem się spalić ze wstydu, ale musiałem do nich pójść...”, „Dali mi to w takiej czerwonej tubie, której do dzisiaj nie otworzyłem...” - tytuł zasłużonych

i narodowych artystów mówiło w ten sposób, że trudno to zliczyć!

Oznajmiłam, że ja tytułu zwracać nikomu nie będę, bo i nie wiem, po co bym to miała robić, a nawet kazałam go oprawić. To nie żadna prowokacja ani demonstracja sentymentu za minionymi czasami, tylko pewność, że nie mam się czego wstydzić.

Co właściwie znaczył ten tytuł? Trzy stówki dodatkowo za każdy koncert i mnóstwo zawiści i plotek typu: „No tak, przecież to Strougal<sup>1</sup> ją utytułował. Bo ona z nim sypia...”. Otwarcie się jednak przyznaję, że tytuł zasłużonej artystki sprawił mi radość. I w jednej rzeczy mi pomógł.

Być może nie dawałam tego po sobie poznać, ale na początku lat osiemdziesiątych trochę w siebie nie wierzyłam. Wciąż zastanawiałam się, dlaczego zawsze jestem... tą drugą. W domu od małego wbijano mi do głowy, że jak człowiek będzie w czymś naprawdę dobry, to zwycięży, nawet nie chcąc. Tylko że ja takiego Złotego Słowika<sup>2</sup> dostałam zaledwie raz w życiu, w 1965 roku, kiedy miałam osiemnaście lat... Kto wie, może bym i dostała go jeszcze kilka razy, gdyby nie to, że wszystko zazwyczaj robiłam sama i za wszystko sama odpowiadałam. Może gdybym miała jakiegoś sprytnego menedżera, gdybym należała do jakiejś grupy...

Nigdy nikomu niczego nie zazdrościłam, ale bycie tą drugą naprawdę mnie nudziło.

Raz podczas wręczania Złotego Słowika podszedł do mnie jakiś dziennikarz i spytał głupawo, całkowicie mnie rozbrajając: „Czy mogłaby pani zdradzić naszym czytelnikom, dlaczego Słowika dla Wokalistki Roku dostała Petra Janů, a nie pani?”. Wydukałam, że nie można przecież ciągle go dostawać, ale zaraz przypomniałam sobie, że właściwie to w ogóle go nie dostaję, więc powiedziałam

<sup>1</sup> Lubomir Strougal (ur. 1924) komunistyczny polityk, członek kierownictwa KPCz, minister spraw wewnętrznych i późniejszy premier Czechosłowacji w latach 1970-1988.

<sup>2</sup> Złoty Słowik - nagroda dla zwycięzcy ankiety na najpopularniejszego czeskiego i słowackiego piosenkarza, organizowanej w latach 1962-1991 przez magazyn „Mladý svět”. Od roku 1996 nosi nazwę Czeskiego Słowika - przyp. tłum.

to dziennikarzowi, a on spojrział na mnie zmieszany, czy naprawdę ma to zapisać w notesie...

Do licha, po co ja w ogóle chodzę na tego Słowika?

- wściekałam się w duchu na samą siebie.

- Widzę, że pani znowu druga, jak co roku - szydził František Hrabal. Szumiało mu już trochę w głowie i przestał się kontrolować. - Pani znowu druga, a pan Gott znowu pierwszy.

Hrabal był szefem Pragokoncertu, agencji, która za komunizmu decydowała o czeskim show-biznesie. Wszyscy się go bali. Miał władzę i decydował o losach artystów i ich karierze. Kiedy coś sobie ubzdurał, nawet najpopularniejszy piosenkarz z dnia na dzień mógł przestać występować i po roku nikt by go już nie pamiętał. Hrabal był typowym wytworem systemu. Komunista wykształcony w Moskwie, despotyczny, pewny siebie i złośliwy typ, który upajał się swoją władzą. Zaproszenie na dywanik do niego często oznaczało „zaniechanie działalności artystycznej”, jak wtedy mówiono.

Pamiętam, jak raz wezwał do siebie dyrygenta Václava Hybša, dystyngowanego i eleganckiego pana, a potem kazał mu czekać w korytarzu przed drzwiami. Chyba po to tylko, żeby go poniżyć. Po półtorej godzinie Hybš odważył się wreszcie i spytał sekretarkę Hrabala, czy może już wejść. A kiedy odpowiedziała, że towarzysz kierownik ma gościa i to jeszcze trochę potrwa, wypalił: „Wiedzie, co? Powiedźcie mu, że towarzysz kierownik orkiestry skierował się już do domu i ma go gdzieś”. Dostał roczny szlaban na występy.

Ale jednego człowieka Hrabal nie ośmielił się nigdy tknąć: był nim Karel Gott. Szef Pragokoncertu chuchał na niego i dmuchał, a może czuł przed nim respekt. Bo co by było, gdyby Złoty Słowik wyemigrował? Może na ulice wyszłyby tłumy, które go tak uwielbiają? I jak on, Hrabal, wyjaśniłby to swoim przełożonym? Przecież spora

ilość zachodniej waluty, którą Karel zarabia za granicą, wędruje z kasy Pragokoncertu prosto do kasy państwa.

- Pani znowu druga, a pan Gott znowu pierwszy - powiedział mi Hrabal prosto w twarz z taką miną, jakby to, że Karel wygrał, było jego zasługą.

Nie mam pojęcia, dlaczego Złoty Słowik przyszedł mu na myśl właśnie przy kolacji w luksusowej restauracji w Hamburgu. Mieliśmy za sobą wyjątkowo udany wspólny koncert, niemiecka publiczność szalała, więc było wiele tematów do rozmów, niekoniecznie wyniki czeskiej ankiety.

- Myślę, że chwilowo to nieistotne, kto z nas jest pierwszy, a kto drugi - próbował wybrnąć dyplomatycznie Karel.

Szef Pragokoncertu odłożył sztucce i dolał sobie alkoholu.

- Ale przecież ona i tutaj jest druga!

To grubiaństwo zaskoczyło nas oboje. Nawet nie próbował zachować grzecznościowej formy! Spojrzeliśmy po sobie. Hrabal wytrzeszczył swoje świńskie oczka na Karela.

- Proszę spojrzeć na to racjonalnie, panie Karelu! Niech nam Helena wybaczy i sama przyzna, że w porównaniu z panem jest w Niemczech po prostu... po prostu zerem, powiedzmy to sobie szczerze! - Wypił kieliszek jednym haustem i wytarł czoło serwetką. - I sama jest pani sobie winna. Musi się pani bardziej starać. Pamięta pani, jak się skończyła sprawa pani umowy z Polydorem? Nie podpisali jej. Niemcy jej nie podpisali! Tak się sprawy mają!

Chciałam rzucić sztucce, wstać i odejść i chyba było to po mnie widać, bo Karel złapał mnie pod stołem za rękę i przytrzymał. Miało to znaczyć: „Poczekaj chwilę, ja temu chamowi pokażę!”.

- Za przeproszeniem - zaczął łagodnie. - Ja mam doskonałą pamięć, więc pamiętam, że to pan przygotował tę umowę z Polydorem.

Hrabal otworzył usta ze zdziwienia. Myślał, że się prześłyszał, ale Karel upewnił go, że nie:

- No właśnie, to było w pańskiej gestii. Gdyby pozwolił pan wtedy Helenie zaśpiewać w Berlinie Zachodnim, toby

Polydor umowę podpisał. Bo wie pan przecież, że ona umie śpiewać...

Hrabal zrobił się czerwony jak burak.

- Co chcecie przez to powiedzieć? Ze ja śpiewać nie potrafię? Dobrze o tym wiem, tylko że ja tu nie jestem od tego, żeby się produkować na scenie! Ja chcę tylko, żeby ona dawała z siebie więcej. Jak wy albo jak... jak ja albo... sam już nie wiem kto...

Kareł wstał od stołu, podał mi ramię i z lekka się skłonił:

- Idziemy porozdawać autografy. Przyłączycie się, towarzyszu?

Jean-Yves Hardy naobiecował mi złote góry. Jego propozycja była zbyt fantastyczna, żeby mogła być poważna: co najmniej cztery koncerty w wielkich salach w Montrealu, Ottawie, Toronto i Quebecu, na każdym ponad dwa tysiące osób, żadnych sentymentalnych rodaków, tylko prawdziwa publiczność... „Jeśli Barbra Streisand to królowa muzyki pop, to z pani zrobię księżniczkę”, przysięgał. „Ludzie oszaleją, podbijemy cały kraj”.

Miałam już wprawdzie trzydziestkę, wiele razy występowałam za granicą, ale wciąż chciałam wierzyć w rzeczy niewiarygodne. Zrobi ze mnie księżniczkę, następczynię Barbry Streisand, mojej idolki...

Nazwiska Jeana-Yves'a Hardy'ego wcześniej nie słyszałam. Zauważył mnie w 1977 roku na czeskiej wystawie w Montrealu, gdzie dwa razy dziennie miałam półgodzinny program z kapelą Strýci. Któregoś wieczoru złapał mnie za sceną i przedstawił się jako menedżer i producent reprezentujący samego Pavarottiego. To zrobiło na mnie wrażenie. I żeby potwierdzić, że o planach podbicia Kanady myśli poważnie, zorganizował nam od razu kilka występów w montrealskich centrach handlowych. Śpiewałam dla ludzi, którzy kupowali chleb, warzywa i bieliznę, a Hardy obserwował ich, czy im się podobam. „Mamy sukces jak

w banku!” - nie szczędził pochwał. „Napiszę do waszej agencji, żeby was puścili. Uzgodnię warunki, honorarium... A wy się tymczasem uczyć tekstów po angielsku i francusku, załatwicie też zapisy nutowe utworów, bo będziemy ich potrzebować. Zorganizuję wam profesjonalną orkiestrę, najlepszych muzyków”.

Zabrałam się więc do pracy. Kazałam rozpisać na nuty trzydzieści piosenek stanowiących dwugodzinny program, wkuwałam teksty i czekałam. Hardy dzwonił do mnie od czasu do czasu, pytał, jak idą przygotowania, i opowiadał, że już prawie wszystko jest gotowe: terminy, sale, bilety, noclegi, reklama... Trwało to dwa lata.

- Pani Heleno, chyba niespecjalnie się pani ucieszy, ale nigdzie nie lecicie - oznajmił mi szef Pragokoncertu kilka dni przed wylotem.

- Co pan ma na myśli? - zaniepokoiłam się.

Hrabal przewierał mnie tymi świńskimi oczkami. Biła z nich sadystyczna rozkosz. Następnie zabębnił palcami w stół i podsunął mi pod nos jakiś papier.

- Oto własnoręcznie przez panią podpisane zobowiązanie, że za dwa tygodnie zaśpiewa pani na balu budowlanców. A z całą pewnością wie pani, że wyjazd do Kanady oznaczałby niedotrzymanie umowy.

On chyba nie mówi poważnie! Mam siedzieć w domu z powodu jednego balu, jednego z wielu w tym roku? Chciałam tego bałwana wałnąć w pysk, ale się opanowałam.

- Będę w Kanadzie reprezentować wzorowo... - spróbowałam w tonie pokojowym, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

Rozwalony na krześle bawił się szelkami i klepał swoje:

- A zresztą kto wie, co to za gość ten Hardy. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby wysłać zaproszenie po czesku albo w jakimś innym ludzkim języku. To nie Kanada, tu się mówi po czesku albo rosyjsku. Powinien to łaskawie wziąć pod uwagę.

- Ale przecież nie możemy już wszystkiego odwołać?! W Quebecu czeka wynajęta opera, prawie wszystkie bilety sprzedane, przyjdzie dwa i pół tysiąca ludzi... - apelowałam do jego rozsądku.

- Niczego nie musimy odwoływać - uśmiechnął się ja-dowicie. - Może to sobie pani przecież przełożyć na inny termin.

Dotarło do mnie, że dalsza licytacja nie ma sensu. Hra-bal chce się po prostu nade mną poznęcać. Musi przecież wiedzieć, że samoloty do Kanady latają raz w tygodniu i że czegoś takiego przełożyć się zwyczajnie nie da. A na-wet gdyby się dało, to i tak zależałoby to od niego. Mnie nie wolno robić takich rzeczy na własną rękę. Postanowiłam, że polecę za wszelką cenę. Biletu, paszportu i wizy chyba mi zabrać nie może. Albo i może?

- Niech pan nie bierze tego do siebie, ale ja do Kanady polecę i już - zapowiedziałam.

Szef Pragokoncertu podniósł słuchawkę i gestem poka-zał mi, że na mnie pora.

Nie wiem, co chciał przez swój występ osiągnąć, ale pewne jest, że po naszej rozmowie nie mógł spać w nocy. Raniutko zadzwonił do mnie do domu. Osobiście, bez pośrednictwa sekretarki! Dopytywał się, czy nie rozmy-śliłam się z tą Kanadą. Bo jak tak, to musi wysłać ze mną muzyków, a skąd ma ich teraz wziąć?! Był jakiś przy-gnębiony. Dzwonił pewnie gdzieś do centrali, żeby się na mnie poskarżyć, a tam mu powiedzieli: „Towarzyszu, czyście poszaleli? Czy nie umiecie policzyć, ile ona nam przywiezie tych dolarów kanadyjskich czy co tam oni mają...?”. A może było inaczej? Może moja nieugiętość zrobiła na nim wrażenie?

Miałam już okazję przekonać się wielokrotnie, że upór bywa zaskakująco skuteczną bronią. Pewnego razu po-padłam w konflikt z zastępcą Hrabala, Posejpałem, który mojemu pianiście Zdenkowi zabronił na rok występów z powodu jakiejś bzdury. Poszłam do biura Posejpała i po-wiedziałam mu, że będę tam siedzieć dopóty, dopóki nie odwoła zakazu. Groził, wydzwaniał gdzieś, a ja siedziałam w jego fotelu nieruchomo jak sfinks. Jasne, że bałam się jak diabli, ale powiedziałam sobie, że muszę grać tę kome-dię do końca, bo jak się teraz poddam i pokażę mu, że na-

prawdę ma władzę, to dopiero da mi popalić. Po czterech godzinach Posejpal nie wytrzymał i odwołał zakaz dla Zdenka. Chyba się przestraszył, że będę chciała nocować u niego w biurze.

Niezależnie od tego, czemu ostatecznie zawdzięczałam wylot do Kanady, odetchnęłam z ulgą dopiero w samolocie. Odprawili mnie chyba tylko cudem. Materiały z repertuarem i nutami wzięłam do bagażu podręcznego, bo bałam się nawet pomyśleć, co by było, gdyby czystym przypadkiem zaginęła mi gdzieś na naszym lotnisku walizka. Jak wrócę, Hrabal będzie taki malutki, jak się dowie, że Jean-Yves Hardy zrobił ze mnie księżniczkę europejskiego popu...

Kanadyjski producent czekał na mnie na lotnisku w Montrealu. Do pierwszego koncertu zostały cztery dni.

- Zaraz jutro zaczynamy próby. Zamówiłem salę, zebrałem muzyków... Ma pani na pewno wszystkie nuty? Jak kondycja? Jak głos? - pytał w kółko podczas drogi do hotelu.

Wydawało mi się, że niepotrzebnie tak się denerwuje.

Następnego dnia przedstawił mi zespół. Spodobał mi się od razu: młodzi muzycy, podobno zdolni jazzmani, którzy potrafią zagrać wszystko. Był wśród nich nawet czarny saksofonista w czapeczce zrobionej na szydełku. Ale kiedy rozdałam nuty, zaczęli się wiercić i spoglądać po sobie bezradnie.

Wreszcie pianista zagrał kilka tonów. Miał to być wstęp do „Malowanego dzbanka”, ale niemal nie poznałam własnej piosenki. Pełna najgorszych przeczuć usiadłam do pianina i zagrałam mu to. Przyglądał mi się z uwagą i respektem jak uczeń surowej nauczycielce muzyki.

Zrobiło mi się gorąco. Za trzy dni mam mieć koncert, na który przyjdzie dwa tysiące osób - żadnych sentymentalnych rodaków, tylko prawdziwa publiczność - a Hardy przyprowadza mi taką bandę amatorów! Wyobraziłam sobie, jak wracam ze wstydem do kraju, Hrabal wzywa mnie na dywanik i oświadcza zwycięsko: „Sama pani widzi, pani



Heleno. Ja panią ostrzegałem, że ten Kanadyjczyk to oszust, nie mówi przecież w żadnym normalnym języku. A teraz może pani raz na zawsze zapomnieć o zagranicy. Już nie jest pani ta druga, ale ta ostatnia...”

- Porozmawiajmy może najpierw, jak sobie pani wyobraża te cztery koncerty - zaczął czarny saksofonista i odłożył nuty na pianino.

- Teraz to już wcale sobie nie wyobrażam! - wybuchłam.

- To się nazywa nieudana próba. *Weil*, zdarza się. Ale powiedzmy, że udało nam się przećwiczyć wszystkie kawałki, a teraz nie gramy już dla zabawy w jakiejś salce kościelnej, tylko w wielkiej sali koncertowej, patrzy na nas mnóstwo ludzi, ja jestem w długiej eleganckiej sukni, a za mną stoi dobry menedżer, który tej waszej zachrzanionej bandzie każe iść do diabła...

Złapałam Hardy’ego w hotelowym barze. Wysłuchał mnie i po przyjacielsku położył mi rękę na ramieniu.

- Jeśli tylko zna pani swój repertuar, nie ma się czego obawiać. Dorzucę kilka dolarów, a jutro rano zaczniesz próby z zespołem, który wszystko już będzie umieć. Dokonać cudu w jedną noc to dla nas pestka. Proszę sobie zamówić na mój koszt kieliszek na uspokojenie, księżniczko...

Kiedy wyszedł, zamówiłam dwa. Teraz to już wszystko stracone. Chyba już tylko cud mógłby nas uratować...

O tym, co będzie, jeśli się nie zdarzy, wołałam nawet nie myśleć.

Cud się jednak dokonał. Drugiego dnia Hardy postawił mnie przed zawodowymi muzykami, którzy potrafili nauczyć się swoich partii w ciągu nocy. Harowaliśmy razem przez wiele godzin. A potem zaśpiewałam cztery wspaniałe koncerty w Montrealu, Ottawie, Toronto i Quebecu i po raz pierwszy w życiu przeżyłam *standing ovation*. Niech sobie Hrabal myśli, co chce, tutaj na pewno byłam... ta pierwsza.

Na lotnisko Hardy przyniósł mi gazety. „Czechosłowacka Barbra Streisand zdobywa Quebec” - brzmiał tytuł artykułu. „Helena Vondráčková to pod każdym względem osobowość fascynująca. Już po pierwszych taktach utworu

Bécauda „L'important c'est la rose” cała sala zaczęła śpiewać razem z nią, a potem nagrodziła ją owacją na stojąco. ..”. To mnie wzruszyło.

Jean-Yves Hardy wręczył mi bukiet róż i pocałował w rękę.

- *L'important c'est la rose* - powiedział. - Róże dla księżniczki europejskiego popu...

## BLÁZNI V TOM LÍTAJ

KAŽDEJ Z NÁS JE BLÁZNEM POLÍBENEJ,  
VŠICHNI V TOM LÍTAJ VÍC NEBO MIŇ.  
KAŽDEJ Z NÁS JE BLÁZEN POTREFENEJ,  
VŠICHNI SE SMÍCHEM VÁLEJ.  
BLÁZNI MAJ SVÁTEK,  
NEJENOM V PÁTEK,  
VÝBUCHY ZÁTEK  
PRŮŠVIHŮ PÁR OSLAVÍ,

MILOŠ KRKOŠKA, RUDOLF KUBÍK,  
„BLÁZNI V TOM LÍTAJ“

## ĚLUPCY SIĚ MIOTAJĚ

KAŽDY Z NÁS ĚLUPOTĚ NAZNACZONY,  
WSZYSCY SIĚ MIOTAJĚ MNIEJ LUB BARDZIEJ,  
KAŽDY Z NÁS JEST ĚLUPCEM  
POSTYZELONYM,  
WSZYSCY ZE ŚMIECHU WIJĚ SIĚ.  
ĚLUPCY MAJĚ WESELE  
NIE TYLKO W NIEDZIELE,  
WZNOSZĚ WIWATY,  
WITAJĚC TARAPATY.

## Z CZARODZIEJSKIEGO KUFRA

Itamera, ujęcie, jedziemy! - zakrzyknął Tola Monastyrow i cała czterdziestka staruszków w papachach i mundurach z medalami podniosła kielichy.

- Hooo, hee - zaczęli śpiewać na kilka głosów i stukać się na zdrowie.

Ja jedna miałam prawo siedzieć. Na długim stole przede mną stało mnóstwo dań i kilka gąsiorków z czerwonym winem. Złapałam kieliszek, obróciłam się w stronę staruszków, którzy stali w dwóch rzędach za mną, nieśmiało powiedziałam „na zdrowie” i wypięłam odrobinę.

Wino było dobre, tylko że wcześniej wolałabym coś zjeść. Kiszki mi z głodu marsza grały, bo Tola zalecił mi, żebym nie jadła śniadania, ponieważ dzisiaj będziemy kręcić scenę uczy, a kamera chce widzieć, że jem jak prawdziwy gość. W Abchazji potrafią ugościć przyjezdnych i w filmie ma to być widać.

- Stop! - wrzasnął Tola. - Bez toastu to nie to. Wójcie, powiedz coś, kilka słów, zanim zaczniecie pić. Tylko nie- zbyt długo.

- Będę mówić tyle, ile trzeba - odpowiedział obrażony wójt.

- Mów sobie na zdrowie, potem się to najwyżej wytnie - powiedział pod nosem Tola. - Gelenoczka - zwrócił się do mnie - postaw teraz kieliszek na stole, patrz na wójta i uśmiechaj się. Kamera, ujęcie, jedziemy!

- Drodzy przyjaciele, sąsiedzi, towarzysze broni, szanowni goście z dalekiej Moskwy, nasza droga i piękna Gelenoczko! Mam niewysłowione szczęście przywitać was wszystkich w ten wyjątkowy i słoneczny dzień w naszym ogrodzie, gdzie spotkaliśmy się, by pogłębić braterskie stosunki łączące wszystkie narody Związku Radzieckiego z narodami Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej, które my w Abchazji uważamy za tak bliskie naszemu sercu...

Trochę mu zejdzie, pomyślałam sobie w duchu. Przeżyłam w tej części świata już wiele toastów i zawsze mnie zadziwiło, że tubylcy potrafią przemawiać pół godziny i niczego nie powiedzieć. To jednak należy do tutejszego folkloru. Najważniejsze, żeby tylko Tola nie chciał już poprawiać tego ujęcia, bo chyba zemdleję z głodu.

O pomyśle, żeby nakręcić film ze mną w roli głównej, opowiedział mi Tola jakoś wiosną 1989 roku. Właściwie to nie miał być film, tylko seria wideoklipów z piosenkami po rosyjsku. Zdjęcia miały się odbywać w różnych zakątkach Związku Radzieckiego, przede wszystkim zaś w egzotycznych kaukaskich plenerach.

Byłam ciekawa, co ostatecznie z tego wyniknie, bo w scenariuszu, który otrzymałam, były wyłącznie zarysy sytuacji: „Helena stepuje na dachu samochodu, w rękach trzyma dwa granaty dymne, wokół niej się pali...”; „Helena w objęciach młodego chłopaka na brzegu jeziora...”; „Helena jedzie terenówką, nagle z przejeżdżającego samochodu wskakuje do niej nieznajomy mężczyzna...”; „Helena hamuje z piskiem i zaczyna rozdawać autografy”; „Helena siedzi na abchaskiej uczcie, starcy wokół niej tańczą i śpiewają...”. Czyżby to miał być rosyjski film drogi? Reżyser pewnie wie, co robi. Chyba w połowie zdjęć nie skończą mu się pieniądze i nie zostaniemy z całym sztabem ludzi gdzieś na Kaukazie? Ale nawet gdyby doszło do najgorszego, mam jeszcze kufer „Nie zginiesz”...

Z zamyślenia wybił mnie Tola, który gwałtownie gestykulował zza kamery. Zrozumiałam, że mam wstać, bo wójt zbliża się do końca. Przemawiał już dobre dwadzieścia minut.

- Droga Gelenoczko, piję za pani urodę i wieczną przyjaźń między naszymi narodami - zakończył i podniósł długi prawie na metr róg, mogący pomieścić ponad dwa litry wina.

- Hooo, hee - zaintonowali mężczyźni w mundurach.

Tola pokazywał mi, żebym coś zaśpiewała, więc zaintonowałam: „Wino, winko białe od mej ukochanej...”. Musiałam zaśpiewać to samo dwa razy, bo wójt siorbał odważnie, ale wlanie na raz w siebie takiej ilości napoju wymaga przecież czasu.

- Wot! - ogłosił wójt, kiedy wreszcie oderwał róg od ust i obrócił go do góry dnem na dowód, że jest pusty. Potem opadł na krzesło.

Nareszcie mogłam zabrać się do jedzenia. Starcy wokół mnie tańczyli i śpiewali zgodnie ze scenariuszem.

Kiedy Pragokoncert po raz pierwszy wysłał mnie na występy do ZSRR, miałam dwadzieścia trzy lata. Wcale nie chciałam tam jechać. Był rok 1970 i miałam jeszcze świeżo w pamięci wydarzenia praskiej wiosny. Pamiętałam aplauz dziesiątek tysięcy ludzi na moją cześć na stadionie w Rio de Janeiro, pamiętałam, jak śpiewałam w paryskiej Olympii na jednej scenie z Arethą Franklin, Josephine Baker i Jimmym Hendriksem. Po '68 to wszystko było już nie do pomyślenia.

Początkowo nie ufałam ZSRR. I znam wielu piosenkarzy, którzy o wyjazdach tam nie mówią do dzisiaj. Trasy koncertowe po Związku Radzieckim czasami przypominały wygnanie, którego jedynym urozmaiceniem były tysiące kilometrów jazdy śmierzącymi pociągami, gdzie nawet okien nie wolno było otworzyć. No ale po powrocie było o czym opowiadać. Trafialiśmy do zakichanych dziur na Syberii albo Dalekim Wschodzie, ale przynajmniej zobaczyliśmy kawałek świata. A kiedy było już naprawdę źle, otwierałam kuferek „Nie zginiesz”...

Nauczyłam się też wtedy jednego: nie lekceważyć Rosjan.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale każda radziecka trasa koncertowa zaczynała się bądź kończyła w ukraińskim Dubnie. Na to miasto mówiło się *gorodok inżynierow*, gdyż większość jego mieszkańców stanowili fizycy. Miał tam bowiem siedzibę instytut energetyki jądrowej, do którego ściągnięto elitę naukowców z całego Związku Radzieckiego. W odróżnieniu od pozostałych miejsc tutaj zawsze grywaliśmy za darmo. Inżynierzy pewnie rewanzowali się naszemu państwu, dostarczając technologie do elektrowni atomowych.

W Dubnie publiczność była specyficzna. Wąsaci mężczyźni w źle skrojonych garniturach i mocnych okularach oraz ich krągłe żonki w drogich kozuchach, których nie zdejmowały nawet w ogrzewanej intensywnie sali, bo przecież wszyscy musieli widzieć, że stać je na te futra. Zazwyczaj długo trwało, zanim zaczęli się bawić na koncercie, ale ta długa rozgrzewka przynosiła oczekiwane owoce...

Nie jestem typem piosenkarki, która odbębnia koncert z zamkniętymi oczami i której jest wszystko jedno, jak reaguje sala. Uważnie obserwuję publiczność, jej reakcje, staram się odczytać z twarzy, kto nie bawi się tak, jak bym chciała, i mobilizuję wtedy wszystkie siły. Właściwie potrzebuję takiego pobudzenia ze strony znudzonych i nieobecnych duchem widzów. A w Dubnie zawsze miałam wiele okazji, by się przekonać, że potrafię ich zdobywać.

Raz przyszedł na koncert dziwny człowiek: stara niedopinająca się na brzuchu marynarka, okulary jak denka od butelek w kościanych oprawkach, włosy i wąsy jak u samego Mendelejewa... Zwróciłam na niego uwagę już podczas pierwszego utworu. Siedział w trzecim rzędzie z rozłożoną na kolanach książką i czytał przez cały mój występ. Rzadko kiedy podnosił wzrok i nie zaklaskał ani razu. Początkowo tylko go obserwowałam i powtarzałam sobie w duchu, że na pewno zacznie się bawić, kiedy przejdę do piosenek po rosyjsku. Tylko że on nadal siedział bez ruchu i kartkował tę swoją książkę, jakby był w bibliotece, a nie na koncercie. Potem już skupiałam się tylko na nim.

Słowa każdego utworu wyśpiewywałam mu prosto w twarz, a on ciągle nie! Doprowadzał mnie do pasji. Tej bitwy jednak przegrać nie zamierzałam. Zacięłam się i śpiewałam, jakbym walczyła na śmierć i życie. A on siedział i czytał... Kiedy koncert się skończył, zamknął książkę, schował okulary, klasnął kilka razy i wyszedł z sali jako jeden z pierwszych.

Jakże byłam zaskoczona, gdy zobaczyłam go wraz z innymi oczekującego przed moją garderobą na autograf. W rękę trzymał książkę.

- Czy mogłaby mi się pani podpisać tutaj, na ostatniej stronie? - zapytał nieśmiało i dodał usprawiedliwiająco:

- Nie mam innej kartki.

Wzięłam książkę do ręki i przerzuciłam ją. Mnóstwo wzorów matematycznych i wykresów, na marginesach notatki zrobione ołówkiem. Co za bezczelność! Przychodzi taki na koncert, który go nic a nic nie interesuje, cały czas demonstracyjnie czyta i jeszcze ośmiela się przyjść po podpis z tą swoją potłuszczoneą książczyną.

- Pan to mówi poważnie? - wskoczyłam na niego.

- Po co panu mój podpis? Cały koncert nie odrywał pan wzroku od swojej książki.

Zrobił się czerwony i wyrwał mi książkę z ręki.

- Przepraszam panią - odpowiedział. Przełknął ślinę kilka razy, aż mu grdyka drgała. - Ja tak panią lubię...

Zrobiło mi się go nagle żal, jak tak stał przede mną jak uczeń, ze złączonymi nogami i zwieszonymi ramionami.

- Niech się pani na mnie nie gniewa - przepraszał niemal z płaczem. - Mam jutro wykład i nie zdążyłem się przygotować. .. A tak bardzo chciałem pani posłuchać... Bardzo panią przepraszam...

Wściekłam się na siebie. Czy to nie pycha z mojej strony? Może to geniusz, drugi Einstein? Kimże ja jestem, żeby się nad nim tak pastwić?

- To ja przepraszam - powiedziałam łagodnie. - Komu mam napisać dedykację?

- Profesorowi Łuzinowi i jego zespołowi... - wymam-



rotał przestraszony. - Albo niech pani po prostu napisze:  
Wowce Gelenoczka...

Alija Isajewna Bengel była wspaniałą kobietą. Drobniotka wygadana pięćdziesięciolatka o żywych oczach i fryzurze *ä la* meduza. „Ja nie Rosjanka, ja nie Gruzinka, ja Żydówka”, biła się w piersi z dumą. „Mnie nikt nie wykiwa. Nic się nie martw, Gelenoczko. Póki ja tu jestem, nie masz się czego bać, mnie ci wszyscy sekretarze i dyrektorowie mogą skoczyć”.

Sowiecka agencja Lenkoncert przydzieliła mi Aliję w funkcji menedżerki i przewodniczki niby na kilka dni, w zastępstwie prawdziwego menedżera. Ale tak się polubiłyśmy, że prosiłam o nią właściwie przy każdym wyjeździe na Wschód. W pewien sposób przypominała mi ciocię Helę. Ona też potrafiła fantastycznie opowiadać, paliła papierosa za papierosem... Wsadzała faję w przerwę między zębami, kopciła, ile wlezie, i gadała bez przerwy.

Rznęła też bez opamiętania w karty. Mnie nauczyła układać pasjansa. Znała wszystkie gry, jakie wam do głowy przyjdą, łącznie z czeskim mariaszem. Ogrywała nawet kutyh na cztery nogi karciarzy. Nie mam pojęcia, jak to robiła, ale kiedy grała w oczko, niemal zawsze miała zwycięskie dwadzieścia jeden punktów. „*Wot, dwadcaťodin!* To chyba niemożliwe!” - wykrzykiwała, udając zaskoczenie, i rozszerzała usta w uśmiechu, krzyżując ręce na piersiach. Potem zbierała ze stołu tych parę rubli, z których nas ograła. „Mamy wreszcie za co kupić w recepcji butelczynę dobrej wódki, co nie? Halo, *dieżurnaja*, macie tam jakąś flaszkę dla mnie?”.

Tamten hotel w Machaczkałe nad Morzem Kaspijskim niby był luksusowy, ale nie podobał mi się od samego początku. Pokoje były wprawdzie przestronne, ale zimne, nie miły personel, a z restauracji wyrzucali nas już przed dziesiątą, chociaż wyraźnie chcieliśmy sobie jeszcze posiedzieć i popić. Wcale mnie więc nie zaskoczyło, że recepcjonistka narobiła krzyku, jak to usłyszała.

- A wy co, carewna czy jak? Co to znowu za komendy? - wykrzykiwała. - Jak chcecie butelkę, to sama po nią przyjdźcie.

Wstaliśmy, a Alija straciła humor.

- Butelkę stolicznej poproszę - położyła na blacie zwitek banknotów.

Recepcjonistka popatrzyła z obrzydzeniem najpierw na pieniądze, a potem na Aliję.

- Ostatni raz Żydzi kantowali tu w karty trzydzieści lat temu i nasi ich za to przegonili nago po śniegu...

Alija wzięła pieniądze i bez słowa wyszła z hotelu. Wybiegłam za nią, żeby nie zrobiła głupstwa. Już ja zmuszę tę panienkę, żeby ją przeprosiła. Ale ona pokręciła tylko ze smutkiem głową:

- Już się przyzwyczaiłam. Idź do łóżka, Gelenoczka, ja się przespaceruję i mi przejdzie.

Nie chciało mi się wcale spać. Próbowalam czytać w pokoju, ale nie mogłam się skoncentrować. Dołował mnie ten hotel. Dali mi tu wprawdzie wielki apartament, tak zwany **luks**, ale czułam się w nim jak w celi. Prawie nieumeblowane pomieszczenie z wysokimi oknami, pod ścianą szafa i łóżko, na środku masywne biurko z nieużywanym od dawna kałamarzem i ciężkie drewniane krzesło. Próbowalam poleżeć, potem jednak usiadłam z książką przy biurku. Przyszło mi do głowy, że tak pewnie wyglądała izba, w której Dostojewski pisał „Zbrodnię i karę”. Ta książka zawsze wpędzała mnie w taką depresję, że nigdy nie zdołałam doczytać jej do końca...

Na dworze zaczęło wiać i padać. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, dlaczego w pokoju jest tak zimno: okna były zupełnie nieszczelne. Wiatr się wzmaczał, wdzierał do pomieszczenia i już po chwili cała zdrętwiałam.

- **Etażowa**?! Jest tu gdzieś **etażowa**! - wrzasnęłam na cały korytarz.

Przybiegła kobieta z recepcji.

- Strasznie tu wieje - powiedziałam jak najoschlej.

- Niech pani coś z tym zrobi.

- **Wietier duje!** - zdziwiona chodziła po pokoju wte i wewte. - Ja nie mam wrażenia, że tutaj wieje. To jest nasz luksusowy apartament, nie mamy niczego lepszego.

- Ja w takim zimnie nie zamierzam spać - zastrzegłam stanowczo. - Albo pani coś z tym zrobi, albo złożę na panią skargę.

Popatrzyła na mnie, jakbym jej zamordowała matkę. W końcu wzięła się w garść i za chwilę przyszła ze stosem gazet, wiaderkiem i pędzlem. Szybkimi ruchami darła gazety na kawałki, mazała je pędzlem, który maczała w wiaderku zapewne z klejem do tapet, i naklejała je na okno. Nie wierzyłam własnym oczom... Jasne się stało, że czeka mnie straszna noc. Wyciągnęłam więc wełniany golf z kufra „Nie zginiesz”.

Kiedy recepcjonistka pozaklejała w końcu wszystkie okna gazetami, wytarła ręce w fartuch i rzuciła jadowicie:

- *U ze nie dujet.*

- Czy pani jest poważna? - spytałam. - Chce to pani tak zostawić?

Obojętnie wzruszyła ramionami i wycodziła przez zęby:

- A wy co, carewna czy jak... ?

\*

- Jak nazywacie ten swój *czemadan*? - dopytywała się Alija Isajewna. - Kufer „Nie zginiesz”? Co wy tam, na Boga, macie?

Otworzyłam czarną walizkę, która przejechała ze mną cały Związek Radziecki. Mimo że była naprawdę solidnych rozmiarów, zabierałam ją, jeśli to tylko było możliwe, nawet na pokład samolotu, bo jej brak mógł oznaczać... może nawet śmierć.

- Kufer pełen skarbów. - Kiwała głową z uznaniem Alija, kiedy prezentowałam jej, co ze sobą wożę.

Oprócz ciepłych ubrań, szczoteczki do zębów, pasty i blaszanego pudełka na pieniądze, które organizatorzy wypłacali nam po każdym koncercie, było tam mnóstwo rzeczy nadających się do zjedzenia, sprzedania albo wymiany: cukier, sól, kawa, dwa serdelki salami, cztery konserwy, zupki w proszku, butelka prawdziwej coca-coli, wszystkie

możliwe leki oraz firmowe dzinsy, za które rosyjscy cinkciarze czy też *farco wszcziki* gotowi byli zapłacić kilkaset rubli.

- A to co? - Alija wzięła w rękę kopertę, na której było napisane: „Rodzina Vondráčkův, ul. Spojovací 180, Slatiňany, powiat Chrudim, Czechosłowacka Republika Socjalistyczna”.

Zaczerwieniłam się.

- To jest koperta na mój testament... Gdybym go musiała spisać...

Alija zrobiła wielkie oczy.

I rzeczywiście zaczęłam raz w Związku Radzieckim pisać swoją ostatnią wolę. W samolocie.

Latania się wprawdzie nie boję, ale antonowy, które kursowały wtedy na radzieckich liniach wewnętrznych, były naprawdę przerażające. Stanowiły bodajże własność armii, ale żeby w czasach pokoju nie rdzewieć w hangarach, woziły cywilów. Do komfortowych raczej nie należały i ludzie zazwyczaj nie siedzieli tam w rzędach za sobą, ale raczej po bokach jak w metrze, tyłem do okien. W trakcie lotu rzucało niemiłosiernie, a ja przy każdej turbulencji myślałam, że właśnie wybiła moja ostatnia godzina. Miejscomi - najczęściej babki z torbami pełnymi owoców oraz koszami z żywymi gęśmi - znosili to znacznie lepiej. Kobiety nawet nie zapinały pasów. Przewalały się po kabinie, ani na chwilę nie przestając trąkotać.

Podczas jednego takiego kursu mieliśmy pecha do wyjątkowo silnych turbulencji. Samolot zniżył znienacka lot o kilkadziesiąt metrów i jęczeć zaczęły nawet nasze niewrażliwe dotąd babki. Stewardesa nas uspokajała, że nie zagraża nam żadne niebezpieczeństwo, że na tej trasie o tej porze roku takie turbulencje są normalne, ale sama była biała jak ściana. Kiedy maszyna znowu zaczęła spadać, wybuchła panika. Grzebaliśmy pod ławami, czy aby nie zostały tam jakieś spadochrony wojskowe, tymczasem ob-

stuga nieustannie nas zapewniała, że wszystko w porządku. Potem samolot wyrównał lot, a napiętą ciszę znów zastąpiła wrzawa robiona przez przekupki.

Wtedy to z kufra „Nie zginiesz” wyjęłam kartkę i zaczęłam na niej gryzmolić: „Oto moja ostatnia wola - na wypadek mojej śmierci cały swój ruchomy i nieruchomy majątek zapisuję rodzicom. Oświadczam, że testament sporządzam, będąc świadomą i przez nikogo nieprzymuszaną. Helena Vondráčková”. Nie mam pojęcia, czy taki testament byłby ważny, ale podobną scenę widziałam w jednym filmie katastroficznym.

Wyładowaliśmy na jakiejś łące. Wszędzie dookoła tylko trawa i krzaki, nigdzie żadnych domów, a co dopiero zabudowań lotniska. „*Jditie tudü*”, stewardesa wyciągnęła rękę przed siebie. Przekupki bez szemrania ruszyły gęsiego w tę stronę, trajkocząc, jakby nic się nie stało. Razem z chłopakami z zespołu ruszyliśmy za nimi. Ja targałam swoją walizę, los pozostałych bagaży w tamtej chwili w ogóle mnie nie zaprzętał. Chyba ktoś z Aeroflotu się o nie zatroszczy.

Po dwóch kilometrach marszu przez łąki i rowy zobaczyliśmy drogowskaz z napisem „Inturist”. Usiedliśmy pod nim i zaczęliśmy się histerycznie śmiać. Tam, w prawo, za tym brzozowym zagajnikiem ma być niby hala odpraw dla zagranicznych turystów...

A babki z torbami i koszykami pomaszzerowały gęsiego przed siebie, aż gdzieś za horyzont, gdzie rozpościerał się być może bezkresny rosyjski step...

Kiedy tak się teraz zastanawiam, uświadamiam sobie, że do *dieżurnych* zawsze miałam pecha. Bo na przykład ta młodziutka przerażona recepcjonistka z hotelu w Jałcie... Z jej powodu nieomal musieliśmy odwołać pięć koncertów. Ale właściwie... to wcale nie była jej wina.

Któregoś ranka wpadła do mnie do pokoju Alija:

- Gelenoczko! Wstawaj, mamy poważny problem! Ludka zabrali gdzieś milicjanci...

Luděk Švábenský był szefem towarzyszącego mi zespołu Strýci i zanim to się stało, także moim chłopakiem. Po-dziwiałam go jako faceta i jako muzyka, ale jak na mój gust pił zdecydowanie za dużo. Zaczęliśmy oddalać się od siebie. Na początku trasy jeszcze mieszkaliśmy w jednym pokoju, na końcu spaliśmy już w oddzielnych.

- Znowu się spił? - spytałam pełna najgorszych prze-czuć.

- Gdyby tylko. - Alija machnęła ręką. - Poszedł w nocy na recepcję i chciał wódki. A jak mu ta z recepcji powie-działa, że nie ma, to wyciągnął nóż, scyzoryk... Zaczął nim wymachiwać, dziewczyna się przestraszyła i zadzwoniła po milicję. Gelenoczka, zrób coś, bo go do lasu wywiozą...

*Diezumaja*, drobna nieśmiała dziewczyna, która mogła mieć zaledwie osiemnaście lat, siedziała na dole w recepcji i jeszcze się trzęsła ze strachu. Wcale jej się nie dziwiłam. Jak Luděk był porządnie pijany, to naprawdę można się go było bać.

- Dokąd go zabrali?! - krzyknęłam.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i rozszlochała się:

- Ja musiała po nich zadzwonić... Ja się strasznie bała...

Ja przepraszam...

- Nie mówili, że zabierają go do lasu? - dopytywała się Alija. Kiedy jednak zobaczyła, że z dziewczyny nie wydusi słowa, postanowiła: - Idziemy na milicję, zanim będzie za późno!

Przyjął nas gruby funkcjonariusz o nalanej twarzy. Uda-wał, że dla niego sprawa jest już dawno zamknięta, i po-kazywał wyraźnie, że mu przeszkadzamy. Alija jednak się nie poddawała. Tłumaczyła cierpliwie, że przyjechaliśmy aż z Czechosłowacji, że mamy tu pięć koncertów, że jeśli Luděk nie wróci, będziemy musieli je wszystkie odwołać. Milicjant ożył, kiedy usłyszał, że jesteśmy muzykami.

- *Muzykanty...* - uśmiechnął się sadystycznie. - Będzie-cie więc musieli zwinąć swój cyrk i zabierać się stąd. W Jał-cie jesteście skończeni - postawił sprawę na ostrzu noża.

Zaraz sobie wyobraziłam, jak nas powitają w domu. Wy-starczy tylko, żeby milicjant podniósł słuchawkę, a za kilka

godzin w Pradze wszyscy będą wiedzieć, że wyrzucono nas ze Związku Radzieckiego. A to by oznaczało koniec, absolutny zakaz koncertów, wydawania płyt, a może nawet by nas przymknęli.

Położyłam na stole sto rubli. Milicjant popatrzył mi w oczy i przez chwilę upajał się moją desperacją.

- Zróbmy inny interes - odsunął banknoty. - Obiecujcie mi, że jeszcze dziś wyjedziecie z Jałty, a ja go wypuszczę.

- Nie możemy - przyznałam ze smutkiem.

- W takim razie do czasu waszego wyjazdu on zostanie pod naszą... opieką - wzruszył ramionami.

- Czy możemy z nim przynajmniej porozmawiać? Gdzie on jest? - Alija wciąż się nie poddawała.

- Zawieźliśmy go tam, gdzie jest miejsce dla pijaków. Do lasu...

Las to miejsce gorsze od więzienia, tłumaczyła mi w drodze do hotelu Alija. W lasach pod Jałtą jest podobno dom wariatów, szpital psychiatryczny niczym z filmu Formana „Lot nad kukułczym gniazdem”, gdzie zamyka się niebezpiecznych bądź niewygodnych ludzi: morderców, gwałcicieli, dewiantów, notorycznych alkoholików, buntowników... I w takim towarzystwie znalazł się teraz Luděk.

Parę dni chyba tam jakoś przeżyje, pocieszałam się. Musimy tu zostać i zagrać tych kilka koncertów bez niego, bo inaczej w Pradze szybko by z nami skończyli.

Tamtych występów w miejscowym amfiteatrze wspominać nie lubię. Naprędce pozmienialiśmy repertuar, żeby można było grać bez Ludka i jego pianina, a ja co wieczór się modliłam, żeby już to mieć za sobą. Nachodziły mnie czarne myśli. A co, jak go na koniec nie wypuszczą? Albo jak mu zaaplikowali prawdziwe elektrowstrząsy, które zrobiły z niego prawdziwego wariata?

Dziesięć dni później milicjanci zawieźli mnie i Aliję do lasu. Nie zrobili tego z dobrego serca. Ta wycieczka kosztowała mnie firmowe dżinsy, które woziłam w kufrze „Nie zginiessz”, i kilka butelek wódki. Za butelkę prawdziwej coca-coli woźny wpuścił mnie do środka, żebym mogła zabrać Ludka. Kiedy go zobaczyłam, niemal się popłakałam.

Był zarośnięty, wychudzony, tylko w długiej koszuli, która dawno temu może i była biała. Miał puste spojrzenie.

- Wszystko w porządku? - spytałam.

- Jasne - kiwnął głową. - Ale jestem strasznie głodny.

Ulżyło mi. W kufrze „Nie zginiesz” miałam jeszcze przecież dwa serdelki salami i pięć zupek grochowych w proszku...

\*

Tola Monastyrow wyglądał na zadowolonego. Stał obok operatora z rękami założonymi na piersiach, uśmiechał się i nucił ze starcami abchaską przeciągłą melodię.

- Hooo, heee, hooo...

Wójt siedział obok mnie na krześle z przekrwionymi oczami. Dwa litry wina wypite jednym haustem trochę na niego podziały, chociaż starał się nie pokazywać tego po sobie.

- Ma pani... ma pani wspaniałą fryzurę - oznajmił miękko. - Gelenoczko, ślicznie pani w niej, naprawdę ślicznie.

Wybuchnęłam śmiechem. Przypomniałam sobie, jak moja asystentka na czas zdjęć, Tania, myła mi rano włosy. Kiedy się zorientowałyśmy, że w całym hotelu nie ma i może już nigdy nie będzie ciepłej wody, wypakowałam z kufra „Nie zginiesz” grzałkę i podgrzałam sobie wodę w słoiku po ogórkach. Potem stanęłam w wannie w ogromnej, wyłożonej marmurem łazience, a Tania polewała mi głowę letnią wodą.

- Co tak w ogóle kręcicie? - zainteresował się wójt.

- Film o tym, jak jeżdżę po Związku Radzieckim i śpiewam. Będzie mieć tytuł „Żar”.

Wójt pokiwał głową i podniósł kieliszek.

- *Na zdrowie, Gelenoczka! Na zdrowie, Tola!* Za wasz „Żar”!

Wypiłam do dna. Teraz mogłam się już upić, to ostatni dzień zdjęciowy. Jutro wracam do domu. Koniec trasy.

Szkoda tylko, że nigdy nie zobaczyłam ani kawałka tego filmu. Dwa tygodnie po powrocie do Czechosłowacji zadzwonił telefon z Moskwy: Tola Monastyrow nie żyje.



NAČ VLASTNĚ V PŮLI VZDÁVAT MAČ

NAČ VLASTNĚ V PŮLI VZDÁVAT MAČ?

NAČ ZTRÁCEŤ GLANC A ŠŤÁVU, NAČ?

JEN KE ZDI PROTIHÁČE TLAČ.

ZKUS MÍSTA MÉNĚ KRYTÁ.

NAČ HLÁSIT V PRVNÍ TÍSNI SKREČ?

NAČ BRÁNIT? ÚTOK! GÁNA! SMEČ!

AŤ SOUPEŘ ZAČNE ZTRÁCEŤ ŘEČ.

AŤ SÁM SE STĚBLA CHYTÁ!

FLOTTI PALMER, ZDENĚK BOROVEC,  
„NAČ VLASTNĚ V PŮLI VZDÁVAT MAČ“

CZEMU W POŁOWIE ODPUSZCZAĆ MECZ

CZEMU W POŁOWIE ODPUSZCZAĆ MECZ?

NIE TRAC FASONU, BLASKU, LECZ

PO RINGU PRZECIWNIKA WLECZ,

ZNAJDŹ SŁABE PUNKTY, NIEZAKRYTE,

CZEMU OGŁASZAĆ ZARAZ KRECZ?

MIĄST BRONIĆ – ATAK! CIOSY! SMECZ!

NIECH GYWAŁ GŁOWĘ STRACI WRĘCZ,

NIECH SAM SIĘ BIZYTWY CHWYTA!

## POKAŻ, JAK DALEKO DOPŁYNIESZ

**W** dzieciństwie wpadłam raz do wody. Bawiliśmy się z bratem na brzegu naszej Chrudimki, rzucaliśmy kamykami, gdy nagle poślizgnęłam się i znalazłam się pod wodą. Nie zdążyłam nawet oczu zamknąć. Pamiętam, że widziałam kamienie leżące na dnie. Nie czułam strachu, raczej ciekawość. A więc tak to wygląda pod wodą? Żadnych ryb, tylko kamienie?

Instynktownie zaczęłam machać rękami i nogami i zanim jeszcze napiłam się wody, wypłynęłam na powierzchnię. Ale brat wrzeszczał już na całe gardło:

- Hela wpadła do wody! Hela się topi!

Przybiegł tata i wyciągnął mnie na brzeg. Chyba go zaskoczyło, że nie płaczę ani nie kaszlę, bo nie robi! mi żadnych wyrzutów, tylko oznajmił rzeczowo:

- Dziewczyno, dalej tak nie można, muszę cię nauczyć pływać. W niedzielę idziemy na basen.

Atmosfera na miejscowej pływalni przywodziła na myśl czasy przedwojenne. Drewniany płotek, pomalowane na żółto boksy do przebierania się, stoły do ping-ponga, kolorowe leżaki i ratownik, który chodził tam i z powrotem i lizał lody. Na środku zbiornika była wysepka z prawdziwą rozłożystą wierzbą.

- Jak dopłyniesz do tej wysepki i z powrotem, pozwolę ci tu przychodzić samej - obiecał tata.

Potem pokazał mi na sucho ruchy do żabki, a kiedy ocenił, że już umiem, dał mi dmuchane koło do pływania. Kazał mi wejść do wody i zaczął z brzegu komenderować:

- Nie chodź po dnie! Połóż się na wodzie! Ruszaj rękami i nogami jednocześnie! Nie odchylaj tak bardzo głowy! Super, oby tak dalej...

Robiłam szybkie postępy. Po pierwsze, pływanie sprawiało mi frajdę, a po drugie, tata nie znosił sprzeciwu. Nigdy i w niczym. Kiedy na przykład postanowił, że w niedzielę po południu będzie do nas przyjeżdżać profesor Vymlátíl z Havličkova Brodu, żeby mi udzielać lekcji pianina, nawet mi do głowy nie przyszło, żeby narzekać, że wszystkie dzieci mają czas wolny, a ja muszę uczyć się gam. Tata po prostu wyznacza! zadania, a ja spełniałam je z chęcią, nie zastanawiając się, czy przyda mi się to do czegoś w życiu. Dzięki takiemu wychowaniu lekko i bez wysiłku przepląnęłam przez szkołę podstawową i średnią. Koledzy myśleli pewnie o mnie, że jestem kujonem, ale wcale tak nie było. Nie znosiłam tylko, kiedy coś mi nie wychodziło, i we wszystkim starałam się zadowolić rodziców.

- Pokaż, jak daleko dopłyniesz - powiedział tata któregoś dnia na basenie i zdjął mi koło.

Weszłam do wody i popłynęłam niezgrabnie w stronę wysepki z wierzbą. Tata z brzegu krzyczał za mną, żebym lepiej nie wypuszczała się na głęboką wodę, ale chciałam mu pokazać, że już mogę przychodzić na basen bez niego. Do wysepki dotarłam ledwo ledwo. Mimo to uparłam się, że nie wyjdę na brzeg, ale od razu wrócę. Z wody musiał mnie potem wyciągnąć tata, bo tak byłam wyczerpana.

- Zaskoczyłaś mnie, Helenko - powiedział z uznaniem.  
- Dopłyniesz naprawdę daleko.

O całej mojej przyszłości zdecydował właściwie jeden konkurs wokalny. Nosił nazwę „Szukamy nowych talentów”, a zgłosił mnie do udziału w nim tata. Pokazał mi już wypełniony formularz i podał długopis, żebym się na nim podpisała, chociaż i to mógł zrobić w moim imieniu, bo-

wiem do pełnoletności brakowało mi jeszcze roku z kawałkiem.

- Zobaczysz, jak to jest śpiewać przed dużą grupą ludzi. I Pragę zobaczysz, co ty na to? - podstawił mi blankiet pod nos. - A jak ci się nie uda, to się świat nie zawali, co nie?

Pragi nie znałam, ale z publicznością już byłam za pan brat. Na żadnej imprezie szkolnej, akademii czy w amatorskim przedstawieniu teatralnym nie mogło zabraknąć Vondráčków. Brat recytował, ja śpiewałam i tańczyłam albo zmieniałam się z tatą przy fortepianie. A na próbach chóru tata przydzielał mi zawsze najtrudniejszy głos, wyznawał bowiem zasadę: „Ćwiczyć z trudnością, a wygrywać z łatwością”. Nie miałam jednak pojęcia, co mnie czeka w Pradze.

Chociaż tata zapewniał, że się świat nie zawali, jak w tym konkursie nie zwyciężę, to nic nie pozostawił przypadkowi. Wybrał mi kompozycję Gershwina „The Man I Love”, którą wprawdzie umiałam, ale i tak spędziliśmy nad pianinem wiele godzin. Kroiliśmy utwór na poszczególne frazy, śpiewałam kawałek po angielsku i kawałek po czesku, a tata ciągle był niezadowolony i powtarzał, że to musi być lepsze niż w oryginale. Powoli do mnie docierało, że mój sukces jest dla niego kwestią życia i śmierci.

- Musisz dać z siebie wszystko i wycisnąć z tej piosenki też wszystko, czy to jasne? - tłumaczył mi. - To już nie jest tylko zabawa, to nie szkolna akademii, ale konkurs ogólnokrajowy...

Sama nie wiem, jak doszłam do finału. Stawałam przy fortepianie, kłaniałam się, śpiewałam Gershwina jak sto razy wcześniej w domu, a jury mówiło: „Dobrze, dziękujemy, kto następny?”. Aż któregoś dnia stałam w grupie dziesięciu finalistów przed wejściem do pałacu Lucerna. Wtedy chyba po raz pierwszy w swoim siedemnastoletnim życiu poczułam prawdziwy strach, że mogę coś popsuć. Gdyby to przynajmniej nie było w Lucernie, powtarzałam sobie w myślach.

Sala ta, chociaż nigdy wcześniej w niej nie byłam, budziła we mnie olbrzymi respekt. Tylko raz, jakieś sześć lat wcześniej, siostra zabrała mnie do pasażu w pałacu Lucerna, żebyśmy w publicznym studiu nagrań skompiłowały dla

mamy płytę na imieniny. Mam ją do dziś. Najpierw mówię cienkim głosem: „Kochana mamo, z okazji imienin życzę ci dużo zdrowia i szczęścia”, a potem gram na fortepianie op. 36 Muzia Clementiego.

Wreszcie wpuścili nas do środka. Dobrze, że tata mnie podtrzymał, bo kiedy wchodziłam do legendarnej Wielkiej Sali, ugięły się przede mną kolana. A więc to prawda, będę tu dziś śpiewać!

Za kulisami w garderobie mama pomagała mi włożyć suknię z chińskiej tafty, którą odziedziczyłam po Zdence, przerobioną szybko na tę okazję. Tata udzielał mi ostatnich rad:

- Śpiewaj prosto do mikrofonu, nie obok, oddychaj przeponą, nie zamykaj oczu i przede wszystkim się nie garb, na sali jest cała twoja klasa!

Tego mi jeszcze brakowało! Do Lucerny rzeczywiście przyjechali wszyscy moi koledzy z klasy wraz z wychowawczynią. Ich obecność wzmagała tylko moją treść, chociaż było słychać, że trzymają za mnie kciuki. To z ich powodu dawałam z siebie wszystko. I oczywiście z powodu taty, który biegał za kulisami i rozdawał nasz adres wszystkim reżyserom i producentom radiowym, teatralnym czy muzycznym, na jakich się natknął.

Kiedy prowadzący ogłosił, że wygrałam - jednym głosem pokonałam Viktora Sodomę - wszyscy ci panowie, których traktowałam z nabożnym szacunkiem, przyszli do mnie i mi gratulowali. Dyrygenci Harry Macourek, Josef Vobruba i Karel Krautgartner, producent Boban Ondráček, reżyser Darek Vostřel z teatru Rokoko, sam Jiří Suchý... Tata rozmawiał z nimi do późna w nocy.

Udany wieczór świętowaliśmy u krewnych na Strasznicach. Na środku stołu, między talerzami z sałatkami i kanapkami oraz kieliszkami z winem, którego tego wieczoru wyjątkowo mogłam się napić, mimo że nie skończyłam jeszcze osiemnastu lat, królowało moje trofeum: kryształowa waza. Tata krytycznie ocenił moje wystąpienie - podobno źle nie było, ale w domu śpiewałam o niebo lepiej

- a potem dodał:

- Helenko, trzymaj się mocno. Jeśli wszystko się uda, dołączysz do zespołu Rokoka. Wszystko zależy tylko od ciebie. Teraz dopiero możesz pokazać, jak daleko dopłyniesz.

Po raz pierwszy w życiu posmakowałam sławy. Wychowawczyni przestała się dopytywać, czy pójdę na filologię, czy jednak na muzykę, bo jasne się stało, że na żadne studia nie pójdę. Jedną nogą byłam już w Pradze, a gdyby tata nie uparł się, że maturę muszę zdać, wyprowadziłabym się tam na dobre od razu. Nauczyciele znali mój głos z radia i trochę mi ułatwiali życie. Fizyk na przykład wezwał mnie raz do gabinetu i zaproponował umowę dwustronną: ja na jego lekcjach nie będę ziewać, a on mnie będzie pytał tylko z absolutnych podstaw.

Zaraz po maturze wyprowadziłam się do siostry Zdeny na Strasznicę. Rodzice przyjęli ten fakt do wiadomości. Zdena miała uważać, żebym nie zdziczała w stolicy, a ja jej miałam pomagać przy rocznym dziecku, z którym została sama. Oczywiście skończyło się na tym, że miała pod opieką dwójkę dzieci. W nocy wychodziła przed dom z Tomáškiem na rękę i czekała cierpliwie, dopóki nie zobaczyła mnie, jak idę przez ciemne ulice z pętli jedenastki. Buty niosłam w ręce, żeby stukaniem obcasów niepotrzebnie nie rozdrażnić jakiegoś gwałciciela...

- Helo, ty masz głos zupełnie jak Eva Pilařova - powiedziała mi raz Zdenka wieczorem przy radiu. - Przez chwilę sama nie wiedziałam, czy ten „Měsíc nad Vermontem”<sup>1</sup> śpiewasz ty, czy ona...

Duma mnie rozpierała. Pilarka była moim niedościgłym wzorem, więc porównanie to uznałam za wielki komplement.

- No a „Roň slzy”<sup>2</sup> śpiewasz znowu dokładnie jak Pře-nosilová... - ciągnęła Zdenka. I dodała: - Słuchaj, nie jestem pewna, czy to dobrze...

1 „Księżyc nad Vermontem”, tytuł oryg. „Moonlight In Vermont” - przyp. tłum.

2 „Lzy roň”, tytuł oryg. „I’m sorry”, piosenka z repertuaru Brendy Lee - przyp. tłum.

To był kubeł zimnej wody. Nigdy do tej pory się nie zastanawiałam, czy to dobrze, czy źle kogoś kopiować. W studiu powiedzieli: nagrywamy „Księżyc nad Vermontem” i „Łzy roń”, a ja uważałam za szczyt swoich możliwości, że zaśpiewam je identycznie jak Pilařova i Přenosiřova.

- Jak chcesz być druga, to mogłaś zostać w Slatiňanach  
- dołożył mi tata przy niedzielnym obiedzie. - Musisz się nauczyć śpiewać. Od samego początku.

\*

Rio de Janeiro! Kilkumilionowe miasto pulsujące w rytm samby, które tamtego gorącego lata żyło pod znakiem margerytek. *Margarida* znaczy „margerytka”. Taki tytuł nosiła piosenka reprezentująca Brazylię na tutejszym gigantycznym festiwalu Złoty Kogut. A ja miałam okazję być w środku wszystkich wydarzeń, spotykać się z gwiazdami hollywoodzkimi na bankietach i rautach, licząc sławy, na którą w wieku lat dwudziestu chyba jeszcze sobie nie zasłużyłam.

- Skąd ten smutek? - spytał Gardner, próbując jednocześnie złapać mnie za rękę. - Odnosiłaś sukces, a wyglądasz, jakbyś chciała płakać!

- Strasznie się boję - przyznałam i zapiłam strach szampanem. - Boję się, że to wszystko zaraz się skończy i nigdy już nie powtórzy.

- No to... zostań tutaj - zaproponował Gardner zupełnie poważnie. - Brazylia leży u twych stóp, wykorzystaj to!

Uśmiechnęłam się ze smutkiem. Ten piękny sen nie będzie przecież trwać wiecznie! Siedzę na tarasie luksusowej restauracji, w dole szumi morze, gwiazda Hollywoodu Gardner McKay co chwila dolewa mi szampana, zamawia dania, których nazw nie potrafię nawet wymówić, próbuje mnie uwieść... Za kilka dni wracam jednak do Pragi i kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze tu przyjadę. A gdybym została? Co powiedzieliby w domu? Pewnie wpakowałabym całą rodzinę i kolegów z teatru w kłopoty.

Do Rio przyjechałam razem z kompozytorem Karemlem Svobodą, który napisał specjalnie dla mnie piosenkę

„Vzdálený hlas” [Głos z oddali]. Nikt się nie spodziewał, że wrócimy jako zwycięzcy. Podobno miało wystarczyć, jeśli nie narobimy tam wstydu. „Zobaczysz, będą się tam tobą zachwycać”, obiecywał mi Karel już w samolocie. „Choćby dlatego, że jesteś blondynką”.

W to, że całą Brazylię rzucę na kolana, nie wierzyłam ani przez chwilę. Moje nazwisko nic tu nikomu nie mówiło, a publiczność oraz dziennikarzy interesowały raczej gwiazdy pokroju Jacques’a Brela, Kim Novak czy Quincy’ego Jonesa. Poza tym w portmonetce miałam najwyżej trzydzieści dolarów, a w walizce zaledwie trzy sukienki - dwie w stylu księżniczki, pożyczone z Barrandowa, i jedną uszytą przez mamę. Z takim bagażem nie wyrusza się przecież na podbój świata...

Ale już na lotnisku obstąpili mnie dziennikarze. Jeden z nich wsadził mi za ucho margerytkę i cyknął zdjęcie. Może nawet nie wiedział, kim jestem, i tylko potrzebował fotografii blondynki z margerytką, *margaridą*, która miała się stać symbolem tamtego bajkowego lata?

Z margerytką za uchem wystąpiłam też na wypełnionym po brzegi stadionie Maracaná. Od tremy aż kręciło mi się w głowie, miałam sucho w gardle, a sukienka od mamy wydawała mi się tak ciasna, że nie mogłam złapać oddechu.

- Piękna sukienka - pochwalił mnie konferansjer tuż przed moim wejściem na scenę i zagapił się na mój dekolt.

Dopiero wtedy to zauważyłam: wokół dekoltu miałam szlaczek margerytek. To przecież nie mógł być przypadek, ale zrządzenie losu! Konferansjer tymczasem już mnie zapowiadał:

- Usłysz państwo teraz głos z oddali, z dalekiej Czechosłowacji. Przed państwem panna Helena Vondráčková! Proszę zauważyć, że na cześć naszej „Margaridy” ta wspała wokalistka włożyła suknię w kwiatki...

Nie zaczęłam jeszcze śpiewać, kiedy przez stadion przetoczyła się burza oklasków. Podczas refrenu jakby na rozkaz czterdzieści tysięcy par rąk podniosło wysoko flagi z margerytkami.



...wiatr tylko wie,  
mądre słońce zna,  
gruchają gołębie:  
miłość jest wieczna...

Oj, tak, na pewno wywiozę stąd cudowne wspomnienia.  
Gardner podniósł butelkę szampana i chciał mi jeszcze dolać, ale zakryłam kieliszek dłonią.

- Ja już dziękuję. Chcę dobrze pamiętać ten wieczór.

Na talerzu zostały puste skorupki po ostrygach. Gardner zjadał się tym smakołykiem sam. Ja spróbowałam tylko raz i zupełnie zaspokoilo to moją ciekawość. Ale skorupkę schowałam do torebki.

- Wezmę do domu na pamiątkę. To pierwsza i zapewne ostatnia ostryga w moim życiu.

- Dzieci, dzieci, ubierzcie się elegancko - papa Bruno zaklaskał w dłonie jak wychowawca w przedszkolu. - Zabieram was na kolację. Jedliście już kiedyś w życiu ostrygi?

Co się stało, że słynny Bruno Coquatrix, dyrektor paryskiej Olympii, zaprasza na kolację właśnie mnie, Martę Kubiśową i Václava Neckářa? Przecież w jego lokalu występuje tyle sław, a nasze trio zaangażował jako egzotyczną ciekawostkę ze Wschodu, która ma ubarwić występ aktorki Jacqueline Maillan.

Przyszło mi do głowy, że może papa Coquatrix chce nam zaproponować angaż, ale szybko stwierdziłam, że to niezbyt mądry pomysł. Co on by z nami potem zrobił? Uważał nas za dzieci, bał się o nas bez przerwy i przestrzegał, żebyśmy sami nie chodzili po ulicach, bo właśnie trwają demonstracje studenckie. Drugi, bardziej prawdopodobny powód zaproszenia na kolację to pożegnanie nas i odesłanie do domu. Trwa gorąca wiosna 1968 roku, Paryż wrze, Praga tak samo, więc niech ptaszęta wracają prędko do swoich gniazdek.

- Chcę was poznać z Josephine Baker - przerwał moje

domysły Bruno. - Heleno, nie patrz tak na mnie, tylko wskakuj w swoją najlepszą sukienkę i lecimy!

Czułam się jak we śnie. Idę na kolację z samą Josephine Baker, czarną piosenkarką i tancerką, na którą spoglądałam z takim podziwem, i nawet marzyć nie śmiałam, że kiedyś będę mogła się do niej zbliżyć! Marcie też chyba zaparło dech w piersiach, bo wypaliła:

- W domu nikt nam nie uwierzy, że jedliśmy ostrygi z Josephine Baker!

Ale te ostrygi nieco mąciły moją radość. Zjadłam jedną w zeszłym roku w Rio i o mało nie zwymiotowałam. Chyba wielki Coquatrix wybaczy mi, jeśli wybiorę coś innego... I jeszcze czegoś się bałam: czy będę miała o czym z Josephine Baker rozmawiać i czy w ogóle ją zrozumiem? Od małego brałam lekcje angielskiego, francuskiego i niemieckiego, więc teoretycznie powinnam umieć dogadać się na całym świecie, ale jak tylko człowiek znajduje się w gronie tych, którzy jakimś językiem mówią od urodzenia, zaraz okazuje się, że rozumie zaledwie co drugie albo trzecie słowo.

Kiedy przyjechałam do Paryża, wydawało mi się, że mówię po francusku lepiej niż dobrze, ale już po pierwszej rozmowie z papą Coquatriksem przestałam być tego taka pewna. Prawie wszystko musiał mi powtarzać po kilka razy, a ja i tak ciągle go prosiłam, żeby mówił wolniej i używał krótkich zdań. Po miesiącu znacznie się poprawiłam, chociaż zawsze miałam przy sobie kieszonkowy słowniczek.

Papa Bruno wybrał lokal okazały, jeden z najdroższych w Paryżu. Podawano tam wyłącznie wymyślne specjały. Wsadził mnie, Martę i Vaška do taksówki, żebyśmy pojechali wcześniej i zajęli stolik, a sam miał dojechać do nas, jak tylko odbierze panią Baker.

Siedzieliśmy więc sami przy wielkim, pięknie przystrojonym stole i nieźle się denerwowaliśmy. Tylko Marta starała się zapanować nad tremą i z doświadczoną miną kartkowała menu.

-Więc co, jak podejdzie kelner, wskażemy palcem na jakieś *poulet grille'* czy coś takiego, Josephine spytamy po angielsku: „*How are you?*”, ona odpowie: „*Thankyou, I'm*

*fine*”, a papa Coquatrix za to wszystko potem zapłaci. Więc w czym problem?

- Dzieci, zamówiliście już coś? - spytał Bruno natychmiast, jak dotarł na miejsce. - Nie? To ja coś wybiorę. Poznajcie się: to jest Josephine, a to Marta, Helena i Vašek.

Sławna Josephine każdemu z nas uściśnęła rękę. Była już po sześćdziesiątce, ale wyglądała znakomicie. Uśmiechała się do wszystkich wokół, a nas głośno chwaliła za występ. Nie wiem, czy tylko z grzeczności, czy naprawdę słyszała nas w Olympii. Papa Coquatrix opowiadał jej, że jesteśmy z Pragi, a tam teraz wszystko wrze tak samo jak w Paryżu. Różnica polega tylko na tym, że tu do władzy chce się dorwać lewica, a w Czechosłowacji - prawica. Josephine słuchała go z uwagą i kiwała głową ze zrozumieniem.

- To może ostrygi na początek? Co wy na to? - zaproponował Bruno, kiedy podszedł kelner.

Wszyscy się zgodzili, ja też, chociaż na samą myśl o tych obrzydliwościach przewracało mi się w żołądku.

- A potem spróbujemy tutejszych *les truffes* - ciągnął Coquatrix. - Dzieci, wiecie, co to takiego?

Wyciągnęłam swój słowniczek. *Truffe* - „trufle” stało czarno na białym. Nic mi to nie mówiło.

- Nie wiecie, co to są trufle? Czarne diamenty kuchni? - tonął w zachwycie papa. - To są grzyby rosnące pod ziemią, które znaleźć potrafią świnie. Właśnie tak, świnie!

- podkreślił impresario, ukląkł na ziemi na czworakach, zachrumkał i udawał, że ryje nosem po dywanie.

Josephine Baker zadrgały kąciki ust.

- A więc wygląda na to, że w Czechosłowacji upadnie komunizm. - Zmieniła szybko temat. - A wy jesteście komunistami czy z przeciwnej partii?

Zanim zdążyliśmy wymyślić odpowiedź, papa Coquatrix podniósł się z podłogi, otrząpał kolana i powiedział:

- Przecież to jeszcze dzieci. Co mają do roboty w polityce? Potrafią śpiewać, więc nie zginą, ktokolwiek tam będzie u nich u władzy. Czyż nie mam racji?

Kelner przyniósł ostrygi. Bruno życzył wszystkim smacznego i definitywnie zamknął dyskusję o polityce.

Obserwowałam panią Josephine, jak tę śliską obrzydliwość polewa sokiem z cytryny. Nagle mi się wyrwało:

- Nie rozumiem, jak ktoś może to jeść.

Uśmiechnęła się:

- A ja nie rozumiem, jak ktoś może tego nie jeść.

Wróciliśmy z Francji. Czekają mnie wspaniałe lato w Slatiňanach. Byłam szczęśliwa. Bruno Coquatrix upewniał nas przy wyjeździe, że z pewnością nie widzimy się po raz ostatni. Twierdził, że za chwilę w Czechosłowacji puszcza lody i będziemy się czuli w całej Europie jak w domu. Wystarczy tylko chcieć i popracować...

Była piękna sierpniowa noc 1968 roku, a ja siedziałam z tatą w ogrodzie.

- Pamiętasz jeszcze gwiazdozbiory? - spytał z zaskoczenia. - Dzisiaj widać wspaniałe trójkąt letni. Zobacz sama, tam jest Altair, tam Deneb, a ta trzecia gwiazda... pamiętasz, jak się nazywa?

- Wega? - raczej zapytałam, niż stwierdziłam.

Przytaknęła. Kiedy byłam mała, często siadywaliśmy tak jak dziś, a tata opowiadał mi o gwiazdach na niebie. Nie rozumiałam wtedy, jak wszechświat może być nieskończony. Toczyliśmy na ten temat równie nieskończone debaty. „Wszystko musi mieć przecież jakiś koniec”, mawiałam, a on zawsze z triumfem odparowywał: „Owszem, ale co się znajduje za tym końcem? No co?”

Teraz byłam gotowa uwierzyć w nieskończoność. Przecież w ciągu ostatnich trzech lat poznałam więcej świata niż moi rodzice przez całe życie. I wszędzie mogłam czuć się jak gwiazda.

Tata otoczył mnie ramionami.

- Obróć trochę głowę, tam świeci Kasjopeja. - I cicho dodał: - Zaskoczyłaś mnie, Helenko. Dopłynęłaś naprawdę bardzo daleko.

## ČASY SE MĚNÍ

VLAK NÁM UJÍŽDÍ MOŽNÁ UŽ POSLEDNÍ ...  
KDO ZŮSTAL STÁT, BUDE SÁM DO KONCE DNI,  
VŽDYŤ DNEŠNÍ DEN ZÍTRA BUDE VČEREJŠÍ  
A LETOS PŘESNĚ ZA ROK BUDE VLONI,  
KDO NYNÍ JE PRVNÍ, TEN BUDE POSLEDNÍ ...  
KAŽDÝ VÍ, ČASY SE MĚNÍ!

BOB DYLAN, ZDENĚK RYTÍŘ, „ČASY SE MĚNÍ“

## CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ

NASZ POCIĄG ODJEŻDŻA,  
MOŻE JUŻ OSTATNI...  
KTO ZOSTAŁ, BĘDZIE SAM DO KOŃCA DNI,  
DZISIEJSZY DZIEŃ JUTRO BĘDZIE  
WCZORAJSZYM,  
A ROK BIEŻĄCY STANIE SIĘ MINIONYM,  
KTO TERAZ PIERWSZYM JEST,  
TEN BĘDZIE OSTATNIM...  
WIADOMO, CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ!

1989

uen był przerażający!

Śniło mi się, że w środku nocy obudziłam się w domu w Slatiňanach i okazało się, że jestem sama, samiuteńka. W jednej chwili zrozumiałam, że wszyscy się wyprowadzili i już nigdy tu nie wrócą. Ze strychu dochodziły dziwne odgłosy, jakby ktoś chciał się dostać do środka przez dach. Wyszłam na dwór, obeszłam dom dookoła, kilka razy zawołałam: „Kto tam?!” - ale nikt się nie odezwał.

Nagle z rogu ogrodu wynurzyły się cztery czarne postacie w maskach. Powoli zbliżały się do mnie, milcząc złowroźnie. Zaczęłam wzywać pomocy i próbowałam uciec nad rzekę, gdzie było więcej światła, ale już po kilku metrach nie mogłam zrobić kroku. Każdy ruch wymagał nieprawdopodobnego wysiłku, jakbym szła środkiem rwącej rzeki. Owi czterej jeźdźcy Apokalipsy byli tuż za mną, wyciągali po mnie ręce... I wtedy się obudziłam, cała spocona i zmęczona.

Na dworze było już jasno. Zaczynał się zwyczajny letni dzień 1988 roku.

Miałam dużo wolnego czasu. Wyciągnęłam leżak, włożyłam bikini i usadowiłam się na tarasie naszego domu

w Řitce. Musiałam pomyśleć o tym śnie. To pewnie coś oznacza... Ktoś chce mi zaszkodzić. Nie wiem, co dokładnie chce mi zrobić, nie wiem dlaczego, nie mogę się jednak ruszyć z miejsca, mam nogi z ołowiu, a powietrze jest gęste jak śmietana... Co chce mi przekazać w ten sposób podświadomość?

Gdzieś z ogrodu sąsiada usłyszałam wołanie:

- Hej, Heleno! Jesteś tam?

Wstałam z leżaka i zarzuciłam na siebie szlafrok.

- Kto tam?! - odrzyknęłam dokładnie jak we śnie.

Przez płot zaglądała do mojego ogrodu jakaś kobieta w ogromnych okularach.

- To ja, Marti!

- Jaka znowu Marti?

-Jak to jaka znowu Marti? Marti! - wycodziła przez zęby scenicznym szeptem.

Marta Kubišová!

-Jezu, co ty tu robisz?! - krzyknęłam zaskoczona i otworzyłam bramkę łączącą mój ogród z posesją sąsiada.

- Wchodź szybko do środka!

Marta wślizgnęła się do środka, ale obejrzała się jeszcze, czy nikt jej nie śledzi.

- Ale niespodzianka, co? - zachichotała. - Szefer ma tu jakichś krewnych, więc mnie wziął ze sobą niby w podróż służbową. Co tak na mnie patrzysz? Kawy mi nie proponujesz?

Marty nie widziałam od kilku lat. O tym, co robi i jak jej się powodzi, wiedziałam tylko od wspólnych znajomych. Rozdzielili nas na siłę osiemnaście lat temu, w 1970 roku, kiedy Marta dostała szlaban na występy za to, że zaangażowała się w praską wiosnę. Z dnia na dzień straciła pracę i zmuszono ją do wyjazdu na prowincję. Była piosenkarką uwielbianą przez tłumy, więc żeby ją bardziej poniżyć, kazano jej lepić papierowe worki. Władze nalegały też, żeby podpisała akceptację nowego reżimu. Odmówiła. Ze swoim ówczesnym mężem Janem Němcem przeprowadzili się do domu w Slapach, który był pod stałą obserwacją Służby Bezpieczeństwa.

Przyjechałam ją tam wówczas odwiedzić i dla nas obu było to smutne spotkanie. Czułam się trochę winna. Wprawdzie w żaden sposób nie skrzywdziłam Marty, ale i w żaden sposób nie umiałam jej pomóc. Miała silny fanklub i jego członkowie wysyłali do mnie i do Václava Neckářa, czyli pozostałej dwójki z Golden Kids, listy z wyrzutami, że nasza koleżanka wpadła w tarapaty, a my mamy ją gdzieś. Marta uspokajała mnie i zaklinała się, że nie będzie zła, jeśli oboje zrobimy karierę bez niej. Sytuacja jest podobno poważna, na scenę wróci nieprędko... W końcu wysłała do nas list, w którym zwracała się do nas „Moje Drogie Dzieci”.

*[...] zamierzam na bieżąco rozwiązywać problemy, jakie się pojawiają i pojawiać będą. Ale teraz już całkiem bezkompromisowo. Oczywiście nie wobec Was, tylko wobec nich. Zamierzam ubiegać się o proces, publiczne przeprosiny, wyjaśnienia. Tymczasem jednak nie do pomyslenia jest, że mogłabym pracować, jakby nic się nie stało, brać udział w koncertach itd. Na razie więc nic innego nie możecie zrobić, niż tylko kontynuować karierę samodzielnie, inaczej to bez sensu. Nie uważajcie tego listu za przerwanie współpracy z mojej strony, to ingerencja siły wyższej, która sobie między naszą trójką „pohulała”. A ponieważ Wypracować możecie, więc pracujcie. Ze mną byłyby tylko problemy, bo jak już raz zakaz by padł, to i na Was też...*

Wtedy jeszcze Marta wierzyła, że będziemy mogli przynajmniej nagrywać wspólnie płyty w Czechosłowacji i Niemczech, ale nigdy się to nie udało. A Marta nie doczekała się ani przeprosin, ani wyjaśnień. Władze zdecydowały po prostu, że zniknie - jeśli się tylko da, to na zawsze...

- Jak tu super u ciebie - rozplywała się Marta, kiedy robiłam kawę. - Ciągłe tu coś przerabiacie, co nie? A gdzie masz męża?

- Hellmut wyjechał, ale wróci pewnie przed kolacją. Mam nadzieję, że masz trochę czasu.

Marta wzruszyła ramionami.

- Muszę wracać do Pragi razem z szefem, żeby potem



nie miał problemów. Wiesz przecież, że mnie pilnują. Lody ciągle nie pękają.

- Napijemy się czegoś? - rzuciłam. - Campari czy winko?

- Campari - nie zastanawiała się długo Marta.

Usiadłyśmy na tarasie, popijając schłodzony wermut, i przynajmniej przez chwilę wszystko było jak dawniej. Jakby nie minęło dwadzieścia lat.

Przez ten czas Marta niemal się nie zmieniła. Na pewno nie w środku. Nie zgorzkniała, nie zamknęła się w sobie. I wciąż była wytworna.

Na początku lat siedemdziesiątych kilka razy wpadłam do niej do pracy - ostatecznie udało jej się zdobyć stanowisko w urzędzie odpowiedzialnym za budowę nowych osiedli, w samym centrum Pragi. Potem jednak poszła na urlop macierzyński i wyprowadziła się na Wysocinę, do zapadłej wioski Pohled. Tam już nie odważyłam się wybrać. Przyznaję, bałam się po prostu. Jej dom obserwowali w dzień i w nocy tajniacy, a każdy, kto ją odwiedził, musiał liczyć się z tym, że prędzej czy później zostanie wezwany na przesłuchanie. Ja nie miałam tak silnych nerwów.

Podziwiam Martę, że nie dała się złamać. I cieszę się, że nie przestała myśleć o mnie dobrze. Ostatecznie mamy zbyt dobre wspólne wspomnienia, żeby dać się komuś skłócić. Obie wiemy swoje.

Było gorąco, więc Marta też wskoczyła w kostium. Siedziałyśmy w ogrodzie, wracałyśmy myślami do dawnych czasów, chichocząc przy tym jak szesnastolatki.

- A pamiętasz nagranie w tym cyrku? Jak tam wpadłam w histerię? - przypominała Marta. - Jak mi zupełnie nie wychodziły te twoje tańce połamańce i strasznie się wściekałam? Dzisiaj śmiać mi się z tego cfcie...

Martę zawsze cechował temperament i ostry język. Wtedy, podczas zdjęć w cyrku, porządnie się wkurzyła. Reżyser Mirek Vašta wymyślił całkiem efektowny klip - w tamtych czasach mówiono na to „piosenka telewizyjna” - do hitu Golden Kids „Hej, pane zajíci” [Hej, panie zając]. Mieliśmy śpiewać na arenie cyrkowej, a pośrodku siedzieć miał lew. Cała trójka, Vašek, Marta i ja, umierała z nerwów, chociaż

treser twierdził stanowczo, że lew jest najedzony i jeśli nie będziemy go zaczepiać, nawet nas nie zauważy. Mieliśmy przeciwiony układ taneczny, ale Marcie za nic nie wychodził i w końcu tak się zirytowała, że kopnęła klatkę, krzyknęła, że nie jest tancerką, tylko piosenkarką, i zaczęła się zbierać. Reżyser razem z Honzą Němcem, mężem Marty, który się nam z boku przyglądał, starali się ją uspokoić i jeden przez drugiego zaciągali z francuska: „Prroszę cię, Marrto, nie bądź histerrryczką, nie denerrrwuj się i wrrracaj na miejsce. Musisz to nakrrręcić, jesteś w końcu prrrrofesjonalistką...”. Martę to tak rozbawiło, że złość zupełnie jej przeszła i mogliśmy kontynuować nagranie.

- Taak, dawne czasy, oj dawne... - rozmarzyła się Marta.

- Przynajmniej mamy co wspominać...

Nagle z ulicy dobiegł krzyk:

- Heleno, jesteś w domu?!

Wstałam, zarzuciłam na siebie szlafrok i podeszłam do furtki. Przez płot zaglądał jakiś facet.

- Kto tam?! - krzyknęłam znowu jak we śnie.

- Miłoś!

- Jaki znowu Miłoś?

- No, Miłoś przecież! - Facet pokręcił głową.

Miłoś Svoboda, gitarzysta, który grał z nami w latach sześćdziesiątych, a potem wyjechał na stałe do Francji. Kiedy zatęsknił za krajem albo coś mu tam nie wychodziło, dzwonił, żeby się pozwierzać. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, że wróci do Czechosłowacji za rządów komunistów.

- Co ty tu robisz?! - ucieszyłam się. - Wchodź prędko. Ale cię czeka niespodzianka! Sam zobaczysz!

- Miłoś? - Marta przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Ale chyba nie... Miłoś Svoboda? Trzymajcie mnie, przecież ty zawsze byłeś chudy jak patyk!

Niewiarygodne spotkanie. Dwoje ludzi, których nie widziałam tyle lat, teraz jakby nigdy nic siedzi i popija campari u mnie w ogrodzie! „Tego na pewno nie wymyślisz, to musisz przeciwyczyć”, mawia w takich sytuacjach Karel Gott.

- Za spotkanie! - podniosła kieliszek Marta. - Za to, żeby zaczęły wreszcie pękać lody!

\*

Była jesień 1989 roku. Coś wisiało w powietrzu.

Przechodziłam obok ambasady zachodnioniemieckiej na ulicy Vlašskiej i widziałam wielkie zbiegowisko. Przed budynkiem kłębił się tłum wschodnich Niemców, którzy postanowili wyemigrować. Niektórzy czekali cierpliwie na wpuszczenie do środka, na obszar eksterytorialny RFN, inni starali się przeskoczyć w tym celu przez mur. Ludzie z okolicznych domów donosili im gorącą herbatę, a esbecy na próżno próbowali rozgonić całe to towarzystwo. Wszędzie kręcili się nic a nic nierzucający się w oczy tajniacy.

Wschodnioniemieckie rodziny często przyjeżdżały do Pragi trabantami. Wszyscy mieli przy sobie po dwie, trzy torby z osobistymi rzeczami, paszporty i oszczędności całego życia. Chmary plastikowych autek tarasowały uliczki Malej Strany. Ich właściciele bezskutecznie starali się je sprzedać, uważając, że już im się nie przydadzą.

Jedenaście miesięcy wcześniej wyjechał na Zachód mój mąż Hellmut. Też wziął ze sobą wyłącznie najpotrzebniejsze rzeczy. To musiało być jakieś załamanie. Odszedł bez żadnego słowa, żadnego listu, tylko w salonie na stole zostawił dowód osobisty i obrączkę ślubną. Odezwał się dopiero po kilku dniach, już z Hanoweru.

Dla mnie to był cios. Ciągle go kochałam. Choć od dawna czułam, że jest nieszczęśliwy i żdera go frustracja.

Tego dnia, kiedy zniknął, zrobiłam w kalendarzu grubą czarną kreskę...

\*

Dni spędzane samotnie w Ritce były czasami naprawdę smutne. Po odejściu Hellmuta wydawało mi się, że dom jest za duży. Nie miałam pojęcia, czy będę umiała sama o niego zadbać.

Na parterze znajdowało się studio nagrań, a w nim mnóstwo rzeczy, z którymi nie potrafiłam się obchodzić, a nawet właściwie nie wiedziałam, do czego służą. Studio stanowiło dla

Hellmuta powód do dumy. Myślę, że był w nim najszcześliwszy. Spędzał tu mnóstwo czasu, a nawet w ogóle stąd nie wychodził. Nagrywał płyty demo i eksperymentował z dźwiękiem albo porządkował archiwum z moimi starymi piosenkami. Kiedy trafił na podobnego do siebie fascynata, z lubością wyjaśniał mu, jakie możliwości mają poszczególne urządzenia i instrumenty. W tych sprawach był zazwyczaj niezwykle otwarty. Któregoś razu jednak srogo musiał zapłacić za tę otwartość.

Byliśmy właśnie w Berlinie, kiedy ktoś włamał się do nas przez okienko w piwnicy i wyniósł niemal wszystko ze studia, nie wyłączając kaset. Dla mnie to była tragedia - straciłam bezcenne nagrania, ale Hellmut wpadł w furję, bo stracił na dodatek wyposażenie warte dziesiątki tysięcy koron. Dwa lata później odezwała się do nas policja, która znalazła nasze rzeczy. Okradł nas pracownik telewizji czechosłowackiej, który wcześniej w studiu Hellmuta kręcił dokument o zdobyczach nowoczesnej techniki. Odzyskailiśmy wszystko oprócz kaset, gdyż złodziej nagrał na nich amerykańskie filmy sensacyjne.

W końcu to z powodu zamilowania Hellmuta do wszystkiego, co związane z dźwiękiem, przeprowadziliśmy się z Pragi do Ritki. W praskim mieszkaniu szybko nie mogliśmy się ruszyć - we wszystkich pokojach stały magnetofony, miksery dźwięku, wzmacniacze i głośniki. Zaczęliśmy więc rozglądać się za jakimś domem pod Pragę. Odpowiedzieliśmy na sporo ogłoszeń, objechaliśmy wiele miejsc, ale albo nie podobał nam się budynek, albo jego cena.

Świeżo wybudowaną rodzinną willę w Ritce wypatrzył znajomy, który mieszkał obok. Byłam zachwycona: cicha wiejska okolica, pod samym nosem las, a do Pragi jakieś dwadzieścia minut autostradą...

Wprowadziliśmy się 26 kwietnia 1986 roku, zbiegiem okoliczności w ten sam dzień, kiedy wybuchła elektrownia atomowa w Czarnobylu. O tej katastrofie i chmurze radioaktywnej unoszącej się nad środkową Europą nasze środki przekazu oczywiście milczały. Dopiero dwa dni później dowiedziałam się o tym od przerażonej mamy, która usłyszała o tym z Wolnej Europy i kazała mi przysiąc, że nie będę wychodzić

z domu, a już na pewno nie będę jeść grzybów. Przemilczałam w rozmowie z nią, że od rana do wieczora biegam z kosą po ogrodzie, a o jajeczniczy z ogromnymi prawdziwkami, które zebrałam rano w lesie, zdążyłam już zapomnieć...

Teraz mieszkalam tu już czwarty rok i wiązały mnie z tym domem dobre i złe wspomnienia. Przywykłam do niego. Stanowił ważną część mojego życia. I nawet gdy zostałam w nim sama, wcale nie chciałam się wyprowadzać. Poza tym miałam jeszcze o czym myśleć. Czy to możliwe, żeby upadł komunizm? Szczerze mu tego życzyłam, jak większość ludzi w tym kraju, nawet jeśli czasem przychodziły pocztą anonimy: „Strougalko, na ciebie też przyjdzie kolej”... I chociaż nie jestem sentymentalna, często myślałam o Hellmucie i o wszystkim, co nas przez lata łączyło.

Hellmut zakochał się we mnie na festiwalu w Sopocie w 1977 roku. Znałam go wówczas jako gitarzystę basowego głośnej niemieckiej grupy Kreis i nawet nie marzyłam, że mógłby zwrócić na mnie uwagę. Przez kilka miesięcy mijaliśmy się na rozmaitych przeglądach czy nagraniach dla telewizji, aż wreszcie raz po koncercie w Berlinie rozkręcił się i odezwał do mnie. Nauczył się jednego zdania po czesku - zapewne czegoś w stylu: „*Ahoj, jak se máš?*” - i cały wieczór, ilekroć mnie mijał za kulisami, niby przypadkiem je powtarzał.

Pobraliśmy się kilka lat później, 28 kwietnia 1983 roku. Mój kolega Jenda Benda z Hodonína, późniejszy senator, obiecał mi, że zorganizuje nam piękny ślub u siebie na Morawach. W Strażnicy, z całą pompą. Ślubu kościelnego chcieliśmy oboje, chociaż Hellmut był protestantem, a ja katoliczką. Kiedy to się rozniosło, zadzwonił do mnie szef Pragokoncertu, aby mi to wyperswadować. Odpowiedziałam, że ślub to moja sprawa, i na tym rozmowa się zakończyła. Kilka dni później zadzwonił Jenda Benda. Był przerażony, bo dostał wiadomość z góry, że do Strażnicy wybiera się pięć tysięcy osób, a partia uważa to za prowokację.

Ostatecznie pobraliśmy się na tamtejszym zamku, a potem po kryjomu pojechaliśmy do kościoła do Brna, zakazano mi jednak na jakiś czas występów w tamtym regionie.



Helena Vondráčková, fotografia z rodzinnego archiwum.



Helena Vondráčková i Karel Gott, lata 70., archiwum rodzinne



Helena Vondráčková, lata 70.



Helena Vondráčková,  
1975 r., Berlin.



Helena Vondráčková,  
1975 r., Berlin.





Karel Gott i Helena Vondráčková w Carnegie Hall w Nowym Jorku, 2005 r.



Helena Vondráčková,  
Warszawa, konferencja  
w Instytucie Czeskim,  
20.04.2005 r.

Moja rodzina nie zaakceptowała Hellmuta. Mama czasem robiła mi wymówki, że powinnam wyjść za Czecha

- w młodości pomieszkiwała przez jakiś czas u niemieckiej rodziny, która źle ją traktowała, więc dystans do przedstawicieli tej narodowości został jej do końca życia.

Jesienią 1988 roku moim rodzicom chyba kamień spadł z serca, gdy Hellmut wyjechał na stałe. Nikt z nas jednak nie miał wtedy pojęcia, że niebawem zacznę do niego jeździć do Niemiec i że do siebie wrócimy.

Wybuchła rewolucja, którą potem nazwano aksamitną. Listopadowe wydarzenia przeżywałam dość silnie. Wpadłam w euforię - jak chyba wszyscy wtedy - chodziłam na spotkania do teatru, a na demonstracjach na placu Wacława dzwoniłam kluczami.

Kilka dni po 17 listopada, kiedy szykował się strajk generalny, spotkałam w barze Pod Złotym Krzyżem aktora Petra Čepka. Stał w otoczeniu kilku osób z Forum Obywatelskiego. Dyskusja była gorąca. Wypiliśmy razem grzańca.

- Jakie masz plany? - zainteresował się Petr.

Temat był drażliwy. Chętnie przyłączyłabym się do strajkujących artystów, którzy wtedy, zamiast występować, dyskutowali z widzami, ale miałam już od dawna zaplanowane dwa występy na Mazurach. Wiedziałam, że nie da się ich tak łatwo odwołać.

- Tak szczerze, to trzymałabym z wami sztamę, ale mam koncerty w Polsce - zdobyłam się na otwartość. - Nie chcę być łamistrajkami, rozumiesz jednak...

- Czekaj, czekaj, to nam może nawet pasować - przerwał mi szybko Petr i odwrócił się do facetów z Forum Obywatelskiego. - Chłopaki, Helena wybiera się do Polski. Możemy jakoś to wykorzystać?

Przy stole zapadła cisza, wszyscy się zastanawiali.

- Wiesz, co? - odezwał się w końcu Petr. - Przyjdź do naszego sztabu jutro wieczorem, a my tymczasem postaramy się coś wymyślić.

Następnego dnia rzeczywiście przyszedłam do klubu obok Laterna Magica, gdzie gromadzili się ludzie z Forum. Wrzało tu jak w ulu. Byłam jedyną kobietą w tym towarzystwie. Wszyscy mężczyźni palili, stali w grupkach i debatowali z wielce poważnymi minami. Przedzierałam się między nimi, aż nagle przede mną stanął niepozorny facet w sweterku.

- Serrrwus, Heleno! - rzucił, zaciągając z francuska.

Václav Havel. Nie widzieliśmy się dwadzieścia lat i w tym czasie zdażyłam już zapomnieć, że jesteśmy na ty. W '68 roku poznała nas ze sobą Marta Kubišová; przyprowadziła go nawet kilka razy do mojego mieszkania. Zawsze dzwoni! ode mnie gdzieś za granicę i bardzo długo rozmawiał. I chociaż nie wiedziałam, z kim i o czym, czułam, że chodzi o jakieś sprawy polityczne. Marta i Václav najwidoczniej zdecydowali, że na tyle mało rzucam się w oczy, że nikt raczej nie podsłuchuje mojego telefonu.

- Dzień dobry - odezwałam się do Havla.

- Myślałem, że jesteśmy na ty - uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Co tu robisz?

- Umówiłam się tu z kimś, ale nie wiem dokładnie z kim

- odpowiedziałam zgodnie z prawdą. - Mam w Polsce dwa koncerty i przyszło mi do głowy, że mogłabym tam zabrać jakieś wasze... materiały albo kasety. Może się wam na coś przydam?

Brzmiało to zapewne naiwnie i dziecinnie, ale Václav Havel zupełnie poważnie pokiwał głową i spytał:

- Czy myślisz, że pozwolą ci coś powiedzieć w polskiej telewizji na żywo?

- Na pewno tak. To znaczy chyba tak... - obiecałam ostrożnie.

- Wyjaśnij więc Polakom, co się dzieje w Czechosłowacji. To będzie największa przysługa, jaką możesz dla nas zrobić.

Do Polski jechałam więc z bardzo ważnym zadaniem. Uważałam się za czeską Matę Hari. Dzień wcześniej uzgodniłam z polską telewizją, że będą na mnie czekać na lotnisku i że im opowiem o rewolucji.

I rzeczywiście powitali mnie niemal jak Marilyn Monroe. Zaskoczyło mnie to nieco, ale zanim jeszcze zdążyli o cokolwiek zapytać, złapałam za mikrofon i mieszanką polskiego i czeskiego zaczęłam opowiadać, co się stało w alei Narodowej w Pradze i że teraz codziennie są tam demonstracje.

Wzięłam udział w dwóch koncertach na Mazurach i wróciłam do Warszawy, do znajomych Polaków, którzy mnie zaprosili do siebie. Wieczorem włączyliśmy wiadomości i usłyszeliśmy, że w Czechosłowacji upadł właśnie komunizm, że po raz pierwszy od ponad czterdziestu lat istnieje szansa na wolne wybory i że przyszłym prezydentem może zostać Václav Havel... Otworzyliśmy szampana i opiliśmy to solidnie.

Kiedy obudziłam się rano z bolącą głową, przyszło mi na myśl tylko jedno: za każdym razem, gdy w kraju dzieje się coś ważnego, przebywam za granicą. W 1968 roku byłam w Rumunii, teraz w Polsce.

Spakowałam się szybko. Bardzo się cieszyłam, że już wracam. Chciałam to wszystko zobaczyć na własne oczy.

\*

Zaskoczyło mnie, że po aksamitnej rewolucji gazety pisały, że powinnam wreszcie zakończyć karierę. Nie dam im tej satysfakcji, postanowiłam. I wbrew pozorom bilety na koncerty rozchodziły się błyskawicznie. Miałam nawet plany nagrania nowej płyty, chociaż wielu mi to odradzało, że podobno nikt teraz niczego nie pisze i nie komponuje, wszyscy robią biznes, wewnętrzne remanenty albo czekają na nowe lepsze gwiazdy. Tylko że te ostatnie jakoś długo nie chciały zaświecić...

Porażki się nie obawiam. Przeżyłam ich już w życiu bez liku i zawsze potrafiłam się podnieść i iść dalej. Wyznaję motto, że lepsze zawsze zwycięży. Właściwie każda porażka to dla mnie zastrzyk adrenaliny. Taki mam charakter. Kiedy w szkole za nic nie rozumiałam matematyki i geometrii, nie poddawałam się i dopóty męczyłam ojca, żeby mi to czy tamto wyjaśnił, dopóki tego nie pojęłam. Chciałam udowodnić samej sobie, że przecież nie jestem taka głupia.

I tak samo nie boję się zmian w życiu. Jeśli byłoby trzeba, potrafiłabym je zupełnie przemodelować. Żadna praca mi niestrasza, nawet fizyczna. Nie jestem mimozą i pod jakimkolwiek kierunkiem mogłabym i ścianę wybudować. Ten upór mam po mamie, która przez całe życie zdobywała nowe umiejętności. Raz nawet zaczęła pomagać w ośrodku zdrowia, bo uważała, że na starość ta wiedza może jej się przydać.

Gdy podczas rewolucji ktoś rzucał pomysł, że może dobrze byłoby reaktywować Golden Kids, zawsze odpowiadałam, że to zależy tylko od Marty Kubišovej. Oczywiście, że chciałam znaleźć się razem z nią znowu na scenie - śniło mi się to nawet kilka razy - ale nie wiedziałam, czy ona też by tego chciała. Obawiałam się, że mogła uwierzyć tym, którzy oskarżali nas, mnie i Vaška Neckáfa, że ją po praskiej wiośni zostawiliśmy na lodzie. Już niebawem miałam okazję zapytać ją o to osobiście...

Vašek wiele lat walczył o powrót Marty na scenę. Spełnił swoje marzenie dopiero na Boże Narodzenie 1989 roku. W teatrze na Karlinie zorganizował wówczas koncert, a mnie i Martę zaprosił jako gości. Miałyśmy obie wspólną garderobę i jeszcze przed występem postanowiłam uporać się ze starymi problemami.

- Słuchaj, Marti, muszę cię o coś zapytać - zaczęłam poważnie. - Bo być może czujesz, że mnóstwo ludzi chciało i nadal chce nas ze sobą skłócić...

Marta przestała się malować i spojrzała na mnie zdezorientowana.

- Chcę zapytać o dwie sprawy - ciągnęłam. - Masz wrażenie, że chociaż raz wbiłam ci nóż w plecy? Ze ci skrzydła podcięłam? Albo w inny sposób skrzywdziłam?

Zaczęła się głośno śmiać i poklepała mnie po plecach.

- Bzdura! Jak coś takiego może ci w ogóle przyjść do głowy?

- Chciałam się tylko upewnić, skoro mamy teraz okazję wreszcie pogadać. A teraz druga sprawa... Gdyby ktoś chciał reaktywować Golden Kids, choćby tylko na jeden koncert albo dla jednej płyty, weszłabyś w to?

- Jasne. - Marta malowała już usta.

Na początku 1994 roku zespół Golden Kids naprawdę się odrodził. Znowu byliśmy we trójkę i znowu śpiewaliśmy

przed wypełnioną po brzegi Lucerną, gdzie dwadzieścia pięć lat wcześniej daliśmy ostatni koncert.

Kiedy się kłanialiśmy, z trudem powstrzymywaliśmy łzy. Wreszcie mogłam być stuprocentowo pewna, że mnie, Martę i Vaška nikt i nic w świecie nie rozdzieli.

\*

To wszystko jednak było dopiero przede mną. W tamtych dniach, kiedy wróciłam z Polski, wszyscy żyli rewolucją, cieszyli się, a ja spędzałam całe dnie i noce w domu samiuteńka. Próbowалам przespać własną samotność.

Tego wieczoru po przyjeździe z Warszawy zasnęłam szybko. I nagle w mój spokojny sen zaczęło się wkradać coś przerażająco realistycznego...

Śniło mi się, że jestem sama w domu. W jednej chwili zrozumiałam, że wszyscy się wyprowadzili i już nigdy tu nie wrócą. Ze strychu dochodziły dziwne odgłosy, jakby ktoś chciał się dostać do środka przez dach. Na dworze słychać było jakieś jęki i krzyki...

Obudziłam się cała spocona. Krzyk słychać było nadal. Jakaś kobieta krzyczała na ulicy.

Sięgnęłam do stolika nocnego po pistolet gazowy i zbiegłam na parter. Zapaliłam wszystkie światła, otworzyłam gwałtownie drzwi na oścież i wyszłam przez nie krokiem, którego nie powstydziałaby się Lara Croft, po czym wymierzyłam pistolet w mrok.

- Kto tam?! - krzyknęłam.

Niedaleko mojego domu jakiś ubrany na czarno facet szarpał się z kobietą.

- Puść ją natychmiast! - rozkazałam i pokazałam mu pistolet.

Odepchnął kobietę w milczeniu, a ona upadła na trawnik i cicho jęczała.

- A więc to już - powiedziałam. - Witamy w nowych czasach.

## KULOVÝ KRÁL

KULOVÝ KRÁL, KULOVÝ KRÁL,  
PIKOVÁ DÁMA VYKROČÍ.  
ČERVENÁ SEDMA, ČERVENÁ SEDMA  
POZVEDNE RÁZNĚ OBOČÍ.  
ZELENÝ FILEK, ŽALUDSKÁ OSMÁ  
PO DLOUHÉ CESTĚ ZNAVENÁ,  
SRDCOVÉ ESO A TAHLE KARTA  
ÚSPĚCHY V LÁSCE ZNAMENÁ.

TRADICIONÁL, MICHAEL PROSTĚJOVSKÝ,  
„KULOVÝ KRÁL“

## KAROWY KRÓL

KAROWY KRÓL, KAROWY KRÓL,  
WYSTĄPI DAMA PIK,  
SIÓDEMKA KIER, SIÓDEMKA KIER  
UNIESIE NAGLE BRWI.  
ŻOLEDNA DAMA, ÓSEMKA TREFL  
ZMĘCZONA DŁUGĄ PODRÓŻĄ,  
KIEROWY AS I TA TU KARTA  
SZCZĘŚCIE W MIŁOŚCI WRÓŻĄ.

## HERBATKA Z CZAROWNICĄ

Na chodniku nerwowo przestępowałam z nogi na nogę. Nagle wcale już nie chciałam tam wchodzić. Do cholery, co ja wyprawiam na stare lata? - besztiałam samą siebie.

W odróżnieniu od mamy nigdy nie miałam skłonności do wiary w metafizykę i rzeczy paranormalne. Jakież różdżki czy zaczarowane wahadélka nigdy mnie nie pociągały. Czarownice, wróżki, tarocistki, radiestetów i bioenergoterapeutów uważałam za szarlatanów, którzy pomoc na pewno nie pomogą, w najlepszym razie nie zaszkodzą, ale w najgorszym - mogą zrobić krzywdę.

A teraz stoję przed tym domem na Ziżkowie, miętosząc w rękę kartkę z adresem... wróżki. „Wypróbuj ją koniecznie. We wróżeniu z kart jest naprawdę dobra, sama zobaczysz, będziesz zaskoczona”, namawiał mnie często mój kolega i wizażysta Zdeněk Fencl. „Nic nie stracisz, a możesz dużo zyskać!”.

Weszłam. Może rzeczywiście nic nie tracę, ale musi być ze mną naprawdę źle, skoro przyszłam po pomoc aż tutaj. Ja, która zawsze byłam taka dumna z tego, że potrafię sama rozwiązać wszystkie swoje problemy, racjonalnie, na zimno! A jeśli depcze mi po piętach jakiś paparazzo? I jeśli jutro gazety napiszą: „Zdesperowana Vondráčková szuka pomocy u wróżki”?!

Zadzwoiłam do drzwi. Otworzyła je starsza pani o dobroduszej twarzy, mądrych oczach i greckim nosie. Wy-



glądała na pełną charyzmy. Tak mniej więcej wyobrażałam sobie wróżkę, chociaż nigdy wcześniej nie widziałam żadnej na oczy.

- Proszę wejść, czekam na panią - powiedziała serdecznie. - Napije się pani herbaty?

\*

Gdyby nie tamta wycieczka na Bali, nie potrzebowałabym rady wróżki. Chociaż kto wie...

Na Bali poznałam Martina. Pojechaliśmy tam z Amforą, amatorskim klubem piłkarskim, w którym grali głównie biznesmeni i znani dyskdżokeje. Martin jest ich kibicem, a mnie czasem zabierają ze sobą jako atrakcję. Wybijam pierwszą piłkę na boisko, a potem siedzę chwilę z kibicami, przyglądam się grze, której zasad do dziś nie pojęłam, co zresztą nie przeszkadza mi dopingować zawodników do walki, jakby chodziło o śmierć i życie. Wtedy, w roku 2000, oprócz wybicia piłki i jednego koncertu nie miałam w Indonezji nic do roboty. Uważałam, że będzie to zabawna egzotyczna wyprawa w mało znany zakątek świata.

- Mogę ponieść pani walizki, jeśli pani pozwoli - zaproponował Martin na lotnisku w Denpasarze.

Zgodziłam się. Z chęcią nawet. Gdy wyjeżdżam za granicę, nawet na krótko, zabieram ze sobą co najmniej cztery wypchane walizy. A na miejscu i tak się okazuje, że najpotrzebniejsze rzeczy zostawiłam w domu.

Martin wydał mi się sympatyczny już podczas pierwszego naszego spotkania - wysoki, wysportowany, z pięknym uśmiechem i oczami, w których były jednocześnie bunt i czułość - ale do głowy mi nie przyszło, że za chwilę się w nim zakocham. Był dla mnie tylko jednym z wielu przystojnych interesujących mężczyzn, jakich znałam.

Kiedy zaiskrzyło między nami? Może w barze wodnym w tym cudownym hotelu, w którym oboje mieszkaliśmy? Martin zaprosił mnie na drinka. Gdy zanurzyliśmy się oboje w basenie, zaskoczył mnie pytaniem:

- A wie pani, że my się już znamy? Od dawna. Kiedy

rozmawialiśmy po raz pierwszy, byłem w mundurze lotnika.

Wyobraziłam go więc sobie takiego i rzeczywiście z pamięci wyłonił mi się pewien obraz: wylatuję z moją niemiecką przyjaciółką Hanne na urlop do Grecji, wsiałam do samolotu, a właścicielka biura podróży przedstawia mi wysokiego faceta w mundurze lotnika, który wita mnie na pokładzie swojego samolotu. Ale to chyba niemożliwe, żeby to był on!

- Byłem wtedy właścicielem firmy transportowej Air Terrex - przypomniał mi Martin. - Kilka razy leciała pani z nami na wakacje. Ale może pani mnie nie pamięta...

A więc jednak on! Doskonale pamiętałam każdy z tych wspaniałych wyjazdów. Organizowała je kobieta, którą poznałam u nas w Ritce, w restauracji Na Veselce. Któregoś wieczoru siedzieliśmy tam z mężem, gdy nas zaczepiła i zaczęła obsypywać mnie komplementami. Mówiła, że jest Greczynką z pochodzenia, że organizuje wycieczki do swojej ojczyzny, że córka ma biuro podróży i że gdybym tylko zechciała wyjechać na Południe, to one obie przygotowują dla mnie coś specjalnego. Polubiłyśmy się, a jej córka opowiedziała mi potem o niezwykłym mężczyźnie, którego kochała, a nawet przedstawiła mi go kiedyś. Był w mundurze pilota i witał mnie osobiście na pokładzie samolotu...

- Ależ ja pana pamiętam! - wypaliłam bez zastanowienia. - Pan jest pilotem! Wciąż pan lata?

Uśmiechnął się gorzko.

-Już od dawna nie. Wszystko straciłem: całą firmę, cztery boeingi, dwieście tirów... Teraz nie mam już nic oprócz siwych włosów.

Przyjrzałam mu się badawczo. Wtedy naprawdę były ciemniejsze. Może to dlatego nie od razu go poznałam.

- Niech się pan cieszy, że skończyło się tylko na tym. Znam przedsiębiorców, których spotkał o wiele gorszy los...

-Wiem coś o tym... - zamilkł na dłuższą chwilę.

- Siedemnaście miesięcy spędzonych w areszcie śledczym to znacznie gorsza sprawa niż siwizna...

Zdrętwiałam.

- To pan siedział?

- Nie siedziałem! - zaprotestował natychmiast. - Ponad rok trzymali mnie w areszcie, zanim doszli do wniosku, że nie mają mnie za co skazać. - Popijał drinka i bawił się słomką, próbując się chyba uspokoić. - Wie pani - ciągnął - w życiu interesowały mnie trzy rzeczy: prawo, samoloty i piłka nożna. Po tych wszystkich doświadczeniach wiem już, że prawo w naszym kraju nie istnieje, samoloty mi zabrali, więc został mi tylko futbol. Ale porozmawiajmy o czymś ciekawszym.

- Ja na przykład piłki za grosz nie rozumiem - roześmiałam się.

- A ja nie mam pojęcia o muzyce. Jestem głuchy jak pień, jak to mówią. W wojsku oficjalnie zakazano mi śpiewać. Ale kiedy byłem mały, powiesiłem sobie w pokoju pani plakat i marzyłem, że zostanie pani kiedyś moją żoną... Może jeszcze drinka?

Wieczorem długo nie mogłam zasnąć. Myślałam o Martinie. O wszystkim, co mi o sobie opowiedział. Podziwiał mnie jako chłopiec, co znaczy, że ma lat... Jaka może być między nami różnica wieku? Dziesięć lat? Dwanaście?

\*

Wróżka zaprowadziła mnie do salonu, posadziła przy wielkim owalnym stole, na którym leżała haftowana serwetka, i poszła zaparzyć herbatę. Rozejrzałam się po pokoju. Nic nie wskazywało na to, że to dom jasnowidzki. Był przytulny, jasny, na ścianie wisiały krzyż i obraz Marii Panny z Dzieciątkiem na ręku. Ale czego się właściwie spodziewałam? Kryształowych kul, węży w słojach ze spirytusem i pentagramów na ścianach?

Gospodyni przyniosła czajniczek i dwie filiżanki, usiadła naprzeciwko mnie i wzięła do ręki karty.

- Czego chce się pani dowiedzieć?

Już po drodze postanowiłam jak najmniej się odzywać. Jeśli jest tak dobra, jak mówi Zdenda, jeśli naprawdę tyłu

polityków do niej przychodzi, tylu sportowców i biznesmenów, to będzie wiedzieć wszystko.

- Wszystkiego tak właściwie. - Wzruszyłam ramionami.

Kiwnęła głową i położyła przede mną talię kart.

- Proszę najpierw potasować. A teraz proszę podzielić karty na trzy kupki...

\*

Długo nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że zakochałam się w Martinie. Po pierwsze, w kwestiach uczuć bywam ostrożna, doświadczenie robi swoje, a po drugie

- byłam przecież mężatką.

Wprawdzie między mną a Hellmutem już od dawna nie było miłości, ale próbowałam ratować nasz związek przez pięć lat. Po wycieczce na Bali przestało mi na tym zależeć.

Z Martinem spotykaliśmy się najpierw po kryjomu w praskich restauracjach i kawiarniach. Do dzisiaj mnie dziwi, że nie wywąchali tego dziennikarze, którzy łązili za mną wszędzie. Wtedy jeszcze okłamywałam samą siebie, że tylko się przyjaźnimy. Nie chciałam zdradzać Hellmuta. Zdrada wydaje mi się czymś obrzydliwym, dlatego byłam wierna każdemu mężczyźnie, z którym byłam.

Ale i dla Hellmuta było jasne, że nasze małżeństwo nie ma już dłużej sensu. Zgodziliśmy się na rozwód. Bałam się tego, bałam się ciągnięcia po sądach, podziału majątku i wszystkiego, co mogło się wydarzyć. Nie chciałam klócić się o rzeczy, które dotąd były wspólne. Hellmut na szczęście myślał podobnie, więc uzgodniliśmy szybko i bez niepotrzebnych emocji, że dzielimy wszystko na pół. Mój tata wprawdzie widział to zupełnie inaczej, ale ja chciałam to mieć jak najszybciej za sobą.

Hellmut jeszcze tego dnia, kiedy zabierał z domu swoje rzeczy, nie wiedział, że w moim życiu jest już inny mężczyzna. Prasa brukowa spekulowała wprawdzie na ten temat, ale Hellmut prawie nie czytał gazet, a plotki go nie interesowały.

Właśnie pakowaliśmy jego bagaże do samochodu, kiedy zadzwonił Martin. Już po głosie poznałam, że jest zdenerwowany.

- Helenko, „Super” chce jutro na stronie tytułowej opublikować naszą fotkę i napisać, że jesteśmy parą. Mój znajomy pracuje u nich i właśnie zadzwonił, że widział ten materiał na stole redakcyjnym...

Naprawdę mnie to zaskoczyło. Wpadłam w lekką panikę.

- Co teraz zrobimy, do cholery?

- Musimy wydać szybko jakieś oświadczenie. - Martin był już zdecydowany. - Udziel im najlepiej wywiadu i powiedz prawdę, inaczej powypisują bzdury...

- Ale ja teraz nie mogę - wyszeptalam do słuchawki.

- Hellmut jeszcze tu jest, nie mogę mu tego zrobić.

Martin milczał długą chwilę, po czym stwierdził:

- Przykro mi, kochanie, ale chyba będziesz musiała. Tego tekstu nie da się zatrzymać.

Nigdy nie histeryzuję, ale wtedy byłam tego bliska.

Kiedy się nieco uspokoiłam, wzięłam kalendarz i czarnym markerem zrobiłam grubą kreskę. Napisałam: „Odejście Hellmuta”. Tak samo jak dwanaście lat wcześniej, kiedy wrócił do Niemiec.

Na stole przede mną leżały rozłożone karty, mocno zdarłte karty do mariasza. Czarownica popatrzyła na nie i zaczęła mówić:

- W pani życiu pojawił się mężczyzna, którego pani kocha, ale pani rodzina nie chce go zaakceptować. Nie jest to dla pani nowa sytuacja. Tego poprzedniego pani bliscy także nie lubili. Kiedy pani się z nim rozstała, odetchnęła z ulgą, ale teraz znowu widzą same problemy. Pani nie jest osobą wpływową, zawsze walczy pani o swoje niezależnie od tego, ile to kosztuje. Nad tą sytuacją też pani zapanuje, chociaż będzie to panią kosztować. Nie tyle pieniędzy, ile uczuć. Już teraz ma pani wrażenie, że straciła krewnych,

i niekiedy ma wątpliwości, czy rzeczywiście było warto. Pani relacje z bratem nieco się popsuły, a brat wpływa na pani ojca... Pani jest osobą walczącą o swoje, radzę więc dalej walczyć, ze wszystkich sił. Najgorsze przed panią... ale proszę pamiętać, że wszystko wymaga czasu.

Nie mogłam wydusić słowa. Ta kobieta trafiła w dziesiątkę. A to zabolowało...

\*

Martin wprowadził się do mojego domu kilka miesięcy po odejściu Hellmuta. Nie przeszkadzało mi zupełnie, że cały jego majątek stanowiło kilka toreb. Byłam szczęśliwa, że mogę go mieć u boku. A poza tym, kiedy kobieta zostaje sama w wielkim domu, załamuje się zupełnie. Każdy mebel przypominał mi stare czasy. Ja zaś chciałam o nich zapomnieć.

Na szczęście okazało się, że Martin jest facetem do rany przyłóż. I jest o wiele praktyczniejszy ode mnie, a to już coś. Bawiła go nawet praca w ogródku, którą mój były mąż uważał za kompletną stratę czasu. Martin z miejsca zaczął planować, projektować i przestawiać: studio nagrań przerobił na salę fitness, zrobił „hol triumfalny”, gdzie trzymamy teraz wszystkie moje złote płyty i rozmaite nagrody, w garderobie urządził saunę, a w kotłowni - garderobę... Cieszyłam się, że już za chwilę będziemy żyć po nowemu.

Moja rodzina jednak nie zaakceptowała Martina.

Któregoś dnia, kiedy jeszcze nie byliśmy parą, zaprosiłam go na kawę do rodziców, a tata stwierdził wówczas, że to całkiem sympatyczny facet. Potem nagle wszystko się zmieniło. Jirka, mój brat, poznał kogoś z dawnego otoczenia Martina i nasłuchał się o nim samych okropnych rzeczy: że to podobno oszust, że chce mnie oskubać, wyczyścić „firmę Vondráčková”, jak wyczyścił inne wcześniej. Brat się przestraszył, pobiegł z tym do taty i skończyło się burzliwą dyskusją. Ja jednak trzymałam się uparcie swojej wersji: Martin nigdy nie zrobił nic

złego, a gdyby nawet, to przecież moja sprawa, z kim się zadaję...

Solidarna rodzina Vondráčkův, która zawsze trzymała się razem, nagle się podzieliła. Po mojej stronie stanęli tylko siostra Zdena z mężem. Wielka szkoda, że mama już wtedy nie żyła. Zaprowadziłyby tu porządek!

Wiosną 2002 roku leciałam na miesiąc do Australii, a Martin po raz pierwszy miał zostać w domu sam. Obiecał, że jak wrócę, dom będzie nie do poznania. Zamierzał zainstalować system nawadniający w ogrodzie, postawić nowy płot i garaż.

Zanim wyjechałam, zadzwonił tata i zapytał ostrożnie, czy spisałam testament. Całkiem mi to zepsuło humor. Czy ja się do grobu kładę? Czy coś mi grozi? Ostatnią wolę spisywałam tylko dwa razy w życiu: raz w radzieckim samolocie, a drugi raz - na wyraźną prośbę rodziców - po ślubie z Hellmutem. Dla spokoju taty poszłam jednak do notariusza i złożyłam oświadczenie, że gdyby mi się stało coś podczas tej podróży, cały mój majątek przejdzie na własność siostry.

Kiedy jej to powiedziałam, zrobiła nieszczęśliwą minę:

- Heleno, myślę, że to niepotrzebne, ale mam jakieś złe przeczucia... Napisz też podkładkę dla Martina, że zezwalasz mu mieszkać u ciebie w domu.

Wylot do Australii oznaczał więc mnóstwo kłopotów. Zaraz po lądowaniu wysłałam SMS-a Martinowi z pytaniem, czy w domu wszystko w porządku. Odpowiedział, że bym się nie martwiła, że miał już w życiu większe problemy niż rozłam w rodzinie. I codziennie mi potem pisał, ile już zdążył zrobić. Tamtych wiadomości długo nie kasowałam: „Kochanie, cały ogród rozkopany, dobrze, że tego nie widzisz, ale spokojnie, jutro zakładam system nawadniania :)”, „Kochanie, ten płot chciałbym pomalować na brązowo, podoba Ci się ten pomysł?”, „Kochanie, mamy już wannę z hydromasażem. A co z podłoga? Wolisz pomarańczowa czy beżowa?”, „Czekam na Ciebie niecierpliwie, czeka też na Ciebie nowiutki dom : -)”.

Po powrocie naprawdę niemal go nie poznałam. Zachwyciłam się zupełnie, ile rzeczy można zrobić w miesiąc. Martin jednak jakby wcale się nie cieszył.

- Przyjechała policja, chciała zobaczyć dokumenty, że mam prawo tu mieszkać. Ktoś ją pewno nasłał. A ponieważ przyjechali z dzielnicy Praga 10, to myślę, że... Helenko, nie sądzisz, że to twój brat?

\*

Ta wróżka naprawdę musiała być niezwykła. Prawdziwa czarownica. Nie powiedziałam jej o sobie ani słowa - wszystko wyczytała z kart. Nawet rzeczy, o których tylko ja wiem i których nie zdradziłabym nikomu za nic w świecie.

- A co panią czeka w najbliższym czasie? - powiedziała do siebie i spojrzała w karty. - Dziesiątka trefl... - zauważyła po cichu, a na głos: - A więc w grę wchodzi małżeństwo!

- Małżeństwo?! - nie dowierzałam.

- Tak, wyjdzie pani za mąż. Hm, moja droga, i to w ciągu roku.

Roześmiałam się. Małżeństwo było ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam. Jedno miałam już za sobą, a Martin nawet cztery. Poza tym oboje postawiliśmy sprawę jasno: nie potrzebujemy papierka, żeby być ze sobą.

- Tutaj pani nie trafiła - opierałam się. - Ja za mąż się nie wybieram.

Wróżka przytrzymała palcem dziesiątkę trefl.

- Karty nigdy mnie nie okłamały. Będzie pani mężatką w ciągu roku, ani dnia dłużej.

Tę datę pamiętam wyśmienicie: 29 października 2002 roku. Wtorek.

Robiłam coś właśnie w ogródku, kiedy zadzwonił Martin:

- Zdążysz przebrać się w dwadzieścia minut? Wracam z Pragi i chętnie zaprosiłbym cię gdzieś na kolację...



Nie zastanawiałam się, skąd nagle takie zaproszenie. Wzięłam prysznic, włożyłam ładną sukienkę, a Martin rzeczywiście zjawił się pod bramą dwadzieścia minut później.

- Dokąd jedziemy?

- Na Małą Svata Horę. Tam będziemy mieć spokój

- odpowiedział i elegancko otworzył mi drzwiczki.

Mała Svata Hora leży kawałek od Řitki, tuż przy autostradzie, między Mníškem u Brdy a Kytinem. Jest tam znana knajpka, w której serwują wspaniałego tatara. Tylko że Martin nie wyglądał tego dnia na kogoś, kto ma ochotę na tatara, grzanki i piwo. Był wyelegantowany, a przez całą drogę milczał zagadkowo. Na tylnym siedzeniu leżały kwiaty.

W restauracji czekał już na nas stolik. Kelner też czekał. Natychmiast przyniósł butelkę szampana oraz wazon z wodą. Usiedliśmy, a Martin położył bukiet na kolanach.

- Nie wstawisz ich? Zwiędną - rzuciłam.

- Może lepiej wypijmy na początek. - Martin kręcił, chował kwiaty za plecami.

- A jaki toast? - Podniosłam kieliszek. - Tak zwyczajnie: na zdrowie?

Martin ociągał się z odpowiedzią. Nie wiedział, co zrobić z rękami, szukał czegoś po kieszeniach, zagryzał wargi, jakby zastanawiał się, co ma zrobić. Po chwili się zdecydował:

- Helenko, dobrze się zastanowiłem i myślę, że naprawdę się kochamy... I jeśli jest nam razem tak dobrze... Myślisz, że mogę poprosić cię o rękę?

Wstał, wręczył mi kwiaty, a z kieszeni marynarki wyciągnął małe puzderko z przepięknym pierścieniem w środku.

Ze zdziwienia upuściłam kieliszek. Tego naprawdę się nie spodziewałam! Pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, to słowa wróżki z Zizkova: „Będzie pani mężatką w ciągu roku, ani dnia dłużej”... I rzeczywiście, rok jeszcze nie minął, a Martin prosi mnie o rękę! Co mam mu odpowiedzieć? Przecież nie dam mu kosza! On ma rację: kochamy się, dobrze nam razem, więc dlaczego mamy się nie pobrać?

Wstałam, pocałowałam Martina i pozwoliłam wsunąć sobie na palec pierścioneł. Poza tym wmawiałam sobie, że ślub rozwiąże moje problemy rodzinne. Ojciec i brat rozumieją wreszcie, że traktuję ten związek poważnie, i to ich uspokoi. Pogodzimy się i wszystko będzie jak dawniej.

Bardzo się jednak pomyliłam. Brat wykrzykiwał na czterech stronach świata, że Martin żeni się ze mną dla pieniędzy, i zaczął gromadzić „dowody” przeciwko niemu. Raz podczas naszych odwiedzin u Antonína i Zuzany Baudyšových zadzwoniła do mnie bratowa Hanka, twierdząc, że to pilne. Wysłałam do pokoju obok, a ona jak nie zacznie: „Heleno, nie bierz nam tego za złe, bo chcemy cię tylko uchronić przed kłopotami, ale czy zdajesz sobie sprawę, że Martin tonie w długach? A wiesz, ile ma wyroków sądowych na koncie?”. Przerwałam jej: „Pierwsze słyszę, ale nie sądzisz, że to moja sprawa, a nie twoja?”. „To naprawdę nie jest atak na ciebie”, ciągnęła Hanka, „ale uważam, że powinnaś wiedzieć, za kogo masz zamiar wyjść. Poza tym on się szczyci, że jest prawnikiem, a to też nieprawda...”

Większość informacji tego typu mój brat pozyskiwał od pewnego pana H., który był znajomym Martina, a także moim. Niedawno dowiedziałam się o tym, że pan H. skrycie się we mnie kochał. Martin zwierzył mi się, że jeszcze dzień przed publikacją tego tekstu w brukowcu „Super” pan H. opowiadał mu ze szczegółami, od jak dawna jesteście parą i jakie namiętne noce ze sobą spędzamy... Może sam marzył o ślubie ze mną, a tymczasem dowiedział się z gazety, że żyję z jego kolegą...? Może właśnie dlatego tak chętnie „uświadamiał” mojego brata?

Ale najgorsze było to, że brat dzielił się tą „wiedzą” z mediami. I nie zaprzestał tego, nawet gdy Martina oczyszczono ze wszystkich zarzutów i kiedy przyniósł do sądu dyplom ukończenia studiów prawniczych na dowód, że może używać tytułu adwokata. Wiem od kilku dziennikarzy, że mój brat chodził (a może i robi to do dziś) od redakcji do redakcji z plikiem papierów mających zdyskredytować Martina. „Jirko, bardzo cię proszę, nie rozmawiaj już o mnie z żadnymi dziennikarzami”, błagałam wielokrotnie. „Przecież

wiesz doskonale, że zawsze wybierają tylko to, co im pasuje. Wprawiasz w ruch straszliwy mechanizm i właśnie przez to kłócę się z tatą, a rodzina coraz bardziej się od siebie oddala. ..” „Dlaczego, skoro dzwonią do mnie z gazety i pytają o zdanie?” - odpowiadał mi zawsze tym samym pytaniem. „A czy ty wiesz, że pan Michał nie był żadnym pilotem? Ludzie zauważyli, że ten mundur, w którym się pokazywał, miał podejrzanie krótkie rękawy...”

Ślub był coraz bliżej, a ja się zastanawiałam, kiedy to wszystko się wreszcie skończy.

\*

- Kiedyś się skończy. - Wróżka pokiwała głową.  
- I wszystkie pani kłopoty się skończą. Pani stosunki rodzinne się poprawią... Przyjrzyjmy się temu bliżej. - Przy-sunęła mi plik kart. - Proszę potasować.

Wzięłam je do ręki, pomieszałam i znowu podzieliłam na trzy kupki. Wróżka popatrzyła na nie i ponownie pokiwała głową.

- Może jeszcze herbaty? To potrwa.

Nie wiem, które z nas wpadło na ten zwariowany pomysł o szybkim ślubie w Las Vegas. I nie wiem, które z nas ten pomysł odrzuciło. Bo przecież ślub to poważna sprawa.

Uzgodniliśmy na koniec, że sakramentalne tak powiemy sobie na zamku w Štiřinie. Wszystko było już załatwione, termin - 22 lutego 2003 roku. Informacja o tym przedostała się jednak do prasy i do Štiřina wybierały się tłumy dziennikarzy i fotoreporterów. Ponieważ chcieliśmy mieć kameralny ślub, kilka dni przed uroczystością zdecydowaliśmy się na zmianę planów. A kiedy Martin zauważył, ile nerwów to wszystko mnie kosztuje, zaproponował, że sam wszystko zorganizuje.

Do ostatniej chwili nie miałam pojęcia, że uroczystość odbędzie się na słynnym zamku w Karlštejnie pod Pragą. Wyna-

jęcie tego ekskluzywnego miejsca zawdzięczamy piosenkarzowi Pavlovi Vítkowi, który znalazł tamtejszego kasztelana. Ślub na zamku, obiad na podzamczu, potem przenosiny do S-Clubu w Řitce, gdzie przewidziana była kolacja dla przyjaciół i znajomych. .. Ten plan znało tylko kilka osób. A kiedy większość dziennikarzy czyhających pod naszym domem od wczesnego rana pojechała za samochodem z fałszywą parą młodą, ja upajałam się romantyczną przejażdżką doliną Berounki.

To był dzień jak z bajki. Jasnobłękitne niebo, na ziemi warstewka świeżego śniegu, oszronione drzewa. Czy mogłam chcieć więcej? Mogłam...

Szkoda, że mama nie może tego zobaczyć, myślałam, kiedy stałam w białej sukni w kaplicy Krzyża Świętego. I szkoda, że tata jednak nie przybył. To bolało najbardziej. Zaprosiłam go, chociaż zdawałam sobie sprawę, że po tym wszystkim, co między nami zaszło, nie przyjdzie. Miałam jednak iskierkę nadziei. Może chociaż zadzwoni?

Nie zadzwonił.

\*

Wypiłam herbatę. Czarownica z Zizkova zebrała karty i położyła je na skrajach stołu. Po tym, co od niej usłyszałam, miałam mętlik w głowie. Chyba było to po mnie widać, bo złapała mnie za rękę i powiedziała uspokajająco:

- Wszystko zależy tylko od pani oraz od tego, czy będzie pani silna.

Ta kobieta zdołała mnie przekonać podczas jednego spotkania, że wróżenie z kart to nie tylko zabawa dla dziwaków zafascynowanych wiedzą tajemną. Uwierzyłam jej, uwierzyłam w jej wytarte karty. I jednocześnie przestraszyłam się przyszłości, jaką mi wywróżyła.

- Gdyby zobaczyła pani w moich kartach coś naprawdę złego, powiedziałaby mi pani o tym? - zapytałam z wyraźną obawą.

Zaśmiała się szczerze.

- Niech się pani o to nie martwi. Pani niczego naprawdę złego w kartach nie ma.

## MISTR ANONYM

MISTR ANONYM SVÉ TRUMFY VYTÁH,  
O.K. PŘEDĚLÁ NA K.O.  
MISTR ANONYM, KRÁL V INTIMITÁCH...  
DOBRODĚJ, PŘÍTEL TVŮJ,  
TÉMĚŘ ANDĚL STRÁŽNÝ,  
ŽÁDNÁ TVÁŘ, JAK MARSYAS,  
JENŽE JEDEN Z NÁS!

HELLMUT SICKEL, ZDENĚK BOROVEC,  
„MISTR ANONYM“

## MISTIZ ANONIM

MISTIZ ANONIM NIE ZNA SŁABOŚCI,  
O.K. PRZEROBÍ NA K.O.  
MISTIZ ANONIM, KRÓL INTYMNOSCI...  
DOBRODZIEJ, PRZYJACIEL TWÓJ,  
NIEOMAL ANIOŁ STRÓŻ,  
BEZ TWARZY, NICZYM MARSJASZ,  
TYLE ŻE TO BLIŹNI NASZI!

## ANONIM

Już kiedy bratam ten list do ręki, wiedziałam, że to anonim. Poznaje je natychmiast. Adres wypisany drukowanymi literami, często z błędem ortograficznym, litery psychopatycznie chwiejne, jedna w lewo, druga w prawo...

Rozerwałam kopertę. W środku kartka wyrwana z kołnotatnika, a na niej wielkimi literami sześć słów: „Štrougalko! Na ciebie też przyjdzie kolej!”.

Dobrze to znam. Mnóstwo anonimów częstuje mnie epitetami: „ty Štrougalko”, „ty kochanico Štrougala”, „ty szmato Štrougala” i tak dalej. Te plotki o mnie i byłym komunistycznym premierze przetrwały całe lata i myślę, że do dziś niektórzy w nie wierzą. Wbrew temu, że setki albo i tysiące razy wyjaśniałam, że Lubomira Štrougala nigdy na oczy nie widziałam, ręki mu nie podałam, a już na pewno z nim nie sypiałam, krążyły o nas dowcipy, bywało, że dosyć wulgarne. I słyszałam też kiedyś jedną piosenkę na jarmarczną nutę:

Posłuchajcie tej jarmarcznej pieśni,  
niech pieśń kraj cały usłyszycy,  
posłuchajcie o tym, co na jawie śni  
ukochany nasz premier.  
Zapłonął on miłością niezmierną  
do złotowłosej piosenkarki,

co pop-music jest królową,  
do Helenki Vondráčkovej.  
Ona jednak go nie chciała,  
od premiera wołała Niemca,  
nie chciała naszego Štrougala,  
małego Štrougala nie kochała...

Kiedyś takie przyśpiewki mnie denerwowały, dzisiaj raczej śmieją.

Po listopadzie 1989 roku wielokrotnie czytałam o sobie w najróżniejszych tekstach, że podlizywałam się władzy komunistycznej i że zasłużyłam, by przepaść w otchłani historii. Często nazywano mnie piosenkarką reżimową albo normalizacyjną. A przecież nigdy nie angażowałam się w politykę, nie śpiewałam dla reżimu ani o nim. I jak niemal każdy zdawałam sobie sprawę ze wszystkiego, co się wokół działo.

Kiedy byłam mała, rodzice nie zakładali mi różowych okularów. Nasza rodzina miała dość powodów, żeby nie kochać komunistów. Dziadkowie byli kupcami, a po przewrocie w 1948 roku musieli znosić przeróżne krzywdy, włącznie z rewizjami domowymi. Dziadek ze strony mamy posiadał w Světlej nad Sazawą zakład stolarski. I to nie jakiś ledwie ciągnący warsztat, ale duży jak na tamte czasy zakład produkujący eleganckie meble dla bogaczy. Ciężko zniósł odebranie majątku przez komunistów. Świat mu się zawalił. Wcześniej na dodatek stracił żonę - babcia zginęła tuż po wojnie, kiedy na dworcu, na boczniczy, wybuchł wagon z amunicją. Dziadek przeklinał i faszystów, i komunistów, oskarżając ich, że wspólnymi siłami zniszczyli mu życie.

Wahałam się, czy wyrzucić anonim do kosza, czy włożyć go do archiwum. Znajomy psychiatra Čimický prosił mnie niegdyś, żebym chowała dla niego takie listy, bo to podobno bajeczny materiał do badań. Sama nie wiem...

Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej konfrontacji z władzą państwową. Piekielnie nieprzyjemna sprawa...

Było to jakoś u schyłku 1968 roku. Wtedy jeszcze nie do końca zdawałam sobie sprawę, że istnieje jakaś Służba Bezpieczeństwa, dysponująca siecią agentów, współpracowników i różnych donosicieli... Kiedy wezwano mnie na przesłuchanie na Bartolomejską, w ogóle nie miałam pojęcia, czego ode mnie chcą. Na początku myślałam, że idę do zwykłego komisariatu i że zasadniczo to jakaś pomyłka.

Ale śledczy, który mnie przesłuchiwał, zadawał mi zadziwiające pytania, po których szybko wyczułam, że bada moje poglądy polityczne. Starał się być miły i przyjazny, nie był jednak przekonujący. Pochlebiał mi na różne sposoby, opowiadał, jak to lubi moje piosenki, ile razy był już na moich koncertach w teatrze Rokoko, i wypytywał, co teraz robią Marta Kubišová i Vašek Nećkar. Odpowiadałam wymijająco. Kiedy uznał, że uzyskał już moje zaufanie, nagle wypalił:

- Gdzie pani była dwudziestego pierwszego sierpnia?

- Na urlopie w Rumunii - powiedziałam zgodnie z prawdą.

Uniósł brwi i zrobił zaskoczoną minę, jakby nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- A więc nie była pani na terytorium Czechosłowacji? A jakie jest... morze w Rumunii? - zapytał zmieszany.

- Ciepłe...

-Ciepłe... - powtórzył bezmyślnie, wstał i podszedł do szafki, na której stał magnetofon Sonet Duo. Włączył go, a w pomieszczeniu zabrzmiała piosenka: „Běž domů, Ivane, čeká tě Nataša...” [Iwan, wracaj do domu, Natasza na ciebie czeka...]. Przez cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby sprawdzał moją reakcję. - Zna to pani? - zapytał, kiedy wreszcie wyłączył magnetofon.

Co mam odpowiedzieć? Tę piosenkę znał chyba każdy. Po inwazji w sierpniu w radiu puszczała ją w kółko, od rana do nocy, ludzie śpiewali ją po knajpach... Kiwnęłam więc tylko głową, a on uśmiechnął się zwycięsko.

- A podoba wam się ten utwór, panno Vondráčková? Śpiewała to pani kiedyś?



Serce biło mi jak szalone. Jasne, że czasem nuciłam tę piosenkę. Przyszło więc mi do głowy, że w domu mogę mieć podsłuch, a funkcjonariusz wyjmie zaraz zapis nagrań i rozpęta się piekło.

- Ja... sama nie wiem... - jękałam się. - Ja... mam swój repertuar i słabą pamięć do tekstów...

Śledczy ze zdziwienia aż oczy otworzył.

- Jakie to zaskakujące, że u nas wszyscy mają słabą pamięć do tekstów - powiedział lodowato. - Wie pani, kto to napisał?

- Pojęcia nie mam - trwałam przy swoim.

- Nazwisko Vomáčka nic pani nie mówi?

- Żadnego Vomáčki nie znam.

- Kompozytor taki - podpowiadał funkcjonariusz.

- Którego nagle nikt nie zna. A Beethoven? Jego też pani nie zna?

- Beethovena trochę znam - wyszeptalam.

Jeszcze tydzień po przesłuchaniu dostawałam gęsiej skórki, kiedy myślałam o tej bezsensownej dyskusji. Mimo że właściwie nic się nie stało. Oprócz tego, że o mało mnie nie zmusili, żebym doniosła na Beethovena.

W latach osiemdziesiątych słyszałam o sobie rozmaite plotki. Chociażby takie, że przewodniczący rady państwa Štrougal posyła po mnie szofera nawet w nocy, kiedy chce, abym zabawiła jego gości. Albo że pijany szef Wydziału Kultury KC KPCz Miroslav Müller oblaśniał mnie przy pianinie w hotelu Praha, a mój mąż Hellmut bezsilnie się temu przyglądał. W tych bajkach nie ma jednak ani źdźbła prawdy. Oprócz tego oczywiście, że wtedy w hotelu Praha towarzysz Müller był pijany jak bela. Jak prawo nakazuje.

Nie wiem dokładnie, co to była za impreza, ale pamiętam, że trwała kilka dni i że zaproszono na nią mnóstwo cudzoziemców. Za „elementy kulturalne” odpowiadali

piosenkarze, których reprezentowała agencja Pragokoncert. Miałam tam zaśpiewać razem z niewielkim zespołem. Wcale nie chciało mi się tam iść. Występ dla jakichś partyjniaków, którzy będą się w tym czasie opychać kanapkami i zapijać winem, uważałam za osobistą zniewagę. Nic jednak nie dało się zrobić. Szef Pragokoncertu Hrabal postawił sprawę na ostrzu noża: albo wystąpię, albo on odwołuje trasę koncertową za granicą. Dodał jeszcze, żeby mi czasem do głowy nie przyszło szukać jakiejś wymówki. Musiało to być chyba bardzo ważne spotkanie, skoro tak się upierał przy mojej obecności.

W szukaniu wymówek byłam ekspertem. Pragokoncert co roku organizował szkolenia polityczne dla artystów. Wynajmowano na tę okazję zawsze jakiś zamek, a po wykładzie, wieczorem, była tęga popijawa. Wiem o tym tylko z drugiej ręki, bo na taką pogawędkę nigdy nie udało im się mnie zaciągnąć. Raz nawet zimą w Karkonosze, gdzie spędzałam urlop, wysłano za mną dwóch delegatów, którzy na stoku przekonywali mnie, żebym się nie wygłupiała i pojechała z nimi na tę zamkową imprezkę, ale powiedziałam im, że tracą czas, i uciekłam przed nimi na nartach.

Słyszałam jednak o tych szkoleniach legendy. Towarzysze, którym alkohol dodał odwagi, składali podobno piosenkarkom niemoralne propozycje, a kiedy nie mogli dopiąć swego, ganiłi je po korytarzach zamkowych, łasili się i przymilali, a za chwilę grozili im, obrażali je, a nawet bili się o nie. Do największych pijaków i prymitywów należał właśnie Müller. Jako najwyższy partyjniak od kultury miał władzę nad artystami i lubił im to pokazywać. Mówiło się, że jednego szanowanego muzyka, starszego pana, zmusił nawet, żeby zawiązał mu buty. Bali się go wszyscy, ponieważ każde spotkanie z nim kończyło się co najmniej nieprzyjemnie.

Kiedy weszłam do dużej sali konferencyjnej hotelu Praha, w której miałam śpiewać, mój wzrok natychmiast padł na Müllera. Siedział na krześle tuż przy podium, z głową na stole, a obok niego stała pusta w połowie flaszka ru-

skiej wódki. Kiedy prowadzący ogłosił, że teraz wystąpię ja, Müller próbował się podnieść, ale nie zdołał utrzymać się na nogach, więc znowu opadł na krzesło. Zaśpiewałam tylko kilka piosenek, ale i to potrafił zupełnie popsuć. Pomiedzy utworami wykrzykiwał po pijanemu coś pod moim adresem, a w pewnej chwili wyglądało nawet na to, że wejdzie do mnie na scenę. Hellmut, który przywiózł mnie do hotelu i stał w drzwiach, miał taką minę, jakby chciał Müllerowi dać w pysk.

- Helenko, zaśpiewaj „Choruję z miłości”! - darł się partyjniak, a ja myślałam, że się spalę ze wstydu.

Jak tylko skończyłam, Hellmut wziął mnie za rękę i wyciągnął z sali. Był zszokowany chyba bardziej niż ja.

- Kto to był? - dopytywał się w samochodzie.

- Numer jeden czechosłowackiej kultury.

- No, nie - zgorszył się Hellmut. - Nasz Mielke to też idiota, ale chociaż pić potrafi.

Kilka lat później w tygodniku „Reflex” wyszedł artykuł o tym, jak to podczas tamtego spotkania Müller obłapiał mnie przy pianinie. Sądzę, że nawet gdyby chciał, nie byłby wtedy w stanie tego zrobić. I pojęcia nie mam, czy tam w ogóle było jakieś pianino.

\*

Podobno bywałam ozdobą najróżniejszych partyjnych zgromadzeń... Ale to również bajki. Często miewałam raczej wrażenie, że władza nęka mnie rzadziej, podejrzenie rzadko w porównaniu z innymi kolegami, że jestem trochę chroniona dzięki wyjazdom na Zachód. Przerażała mnie jednak myśl, że kiedyś wezwie mnie jakiś wysoko postawiony towarzysz i zażąda czegoś w zamian: podpisania jakiegoś papierka, jakiejś haniebnej petycji, wstąpienia do partii, zobowiązania, że będę na kogoś donosić...

Na szczęście nic takiego się nie stało. Jasne, nie udało mi się uniknąć udziału w rozmaitych festiwalach piosenki radzieckiej czy politycznej, ale tłumaczyłam to sobie tak, że lepiej wybrać jakąś niezłą piosenkę radziecką i odśpie-

wać ją, jak należy, niż tkwić w domu z zakazem wyjazdu za granicę. Uważałam to za pewien rodzaj daniny, której wprawdzie nie znosiłam, ale którą musiałam zapłacić. Poza tym nie tylko ja stawałam przed takimi wyborami. Na tych dziwnych festiwalach, gdzie chodziło przecież raczej o politykę niż muzykę, występowali w tamtych czasach wszyscy.

Często się zastanawiałam, dlaczego Pragokonzert nagradza mnie za te ustępstwa bardziej niż innych. Dziś myślę, że władza potrzebowała kogoś na pokaz, kogoś na wystawę i do demonstracji na jego przykładzie, że czescy piosenkarze nie gniją za drutem kolczastym, a świat ich pragnie i pożąda. Obok mnie na pokaz był również Karel Gott. Po osiemdziesiątym dziewiątym roku z tego powodu atakowano nas ze wszystkich stron, a najgłośniej krzyczeli ci, którzy nie odnieśli sukcesu ani wtedy, ani później. Mówili i pisali o przetrąconych kręgosłupach, o przypochlebianiu się władzy, o kolaboracji z komunizmem, o bezguście i braku talentu, który równoważyły „właściwe” poglądy polityczne... Przerazało mnie, że tak daleko się posuwają. Przecież jestem ledwie piosenkarką pop, a moim zadaniem jest bawienie ludzi, nie uprawianie polityki!

Może mówi się co innego, ale partyjna góra nigdy nie naciskała, żebym się z nią bratała. Na przykład takiemu prezydentowi Gustavowi Husákowi podałam rękę raz jeden i nie był to ani jego pomysł, ani mój. Nie jestem nawet pewna, czy wiedział, kogo mu przedstawiają.

Było to podczas jakiegoś zgromadzenia na Zamku Praskim, na które zaproszono setki gości, a wśród nich mnie i mojego ówczesnego męża Hellmuta. Było to święto z okazji Dnia Zwycięstwa albo Dnia Niepodległości, dokładnie już nie pamiętam, wiem tylko, że pobraliśmy się chwilę przedtem. W Sali Władysławowskiej ustawili nas wszystkich w długim szeregu. Przed nami paradował Husák, a przed nim maszerował jakiś oficjel, pewnie szef protokołu, i wybierał tych, których głowa państwa miała zaszczyścić uściskiem ręki.

Ja i Hellmut kuliliśmy się gdzieś w trzecim rzędzie, mając nadzieję, że nikt nas nie zauważy, ale urzędnik skierował się wprost do nas, kiwnął na mnie, a tych, którzy stali przede mną, poprosił o zrobienie miejsca. Husák w tym czasie niewiele już widział - podobno z daleka wyłącznie kształty - więc szef protokołu musiał go delikatnie popchnąć w moją stronę i pilnować, żeby przypadkiem nie podał ręki komuś niewłaściwemu. „Towarzyszu prezydencie, proszę pozwolić mi przedstawić nowożeńców”, zaczął uroczyście, „Helena Vondráčková i Hellmut Sickel. Towarzysz Sickel jest muzykiem z Niemieckiej Republiki Demokratycznej...” Hellmut poczerwieniał i zdrewniał ze sztucznym uśmiechem na ustach. Nie tak wyobrażał sobie tę prezentację. Husák podał nam rękę, zamruczał niewyraźnie coś pod nosem i poszedł dalej. A ja myślałam tylko o jednym: żeby „Rudé Právo” nie wydrukowało jutro mojej fotografii z prezydentem. Znowu by było gadanie!

Na jakimś balu poznałam między innymi Svatopluka Potáča. O tym, czym dokładnie się zajmuje i że to bardzo wpływowy człowiek, nie miałam pojęcia. Przedstawił mi się jako dyrektor banku emisyjnego, co niewiele mi wówczas mówiło<sup>1</sup>. „To nic”, uśmiechnął się Potáč. „Ale gdyby potrzebowała pani kiedyś promesy dewizowej, proszę się nie wahać do mnie zwrócić, oto moja wizytówka”.

Wydawał mi się całkiem sympatyczny i sama nie wiem, dlaczego mu zaufałam. Opowiadał, że uczył się u Baty w Zlinie i jak to tam wtedy wyglądało przed wojną, jaką piękną fabrykę miał Bata i jakie cuda w niej produkował... I chociaż tata powtarzał mi bez przerwy, że mam się trzymać z dala od komunistów i nie pozwalać korumpować się prezentami czy udogodnieniami, to do inżyniera Potáča

<sup>1</sup> Svatopluk Potáč był dyrektorem generalnym banku centralnego w latach 1969-1971, potem jego prezesem do 1981 roku, a następnie, co istotne dla dalszej opowieści, wicepremierem rządu do 20.04.1988 roku.

rzeczywiście zadzwoniłam kilka razy z prośbą o pomoc w promesie dewizowej. A raz nawet z o wiele poważniejszą sprawą, przynajmniej dla mnie.

W niemieckim magazynie „Stern” wyszedł tekst o Lubomirze Štrougalu. Napisało w nim, że czechosłowacki premier ma na rękach krew wielu ludzi. Ilustrowała go fotka Štrougala obejmującego się z Indirą Gandhi, a poniżej widniało moje zdjęcie z komentarzem, że mam z nim romans. Było to stare zdjęcie, z końca lat sześćdziesiątych, i wyglądałam na nim całkiem niezłe: w pomarańczowej bluzeczce, którą podczas sesji mój ówczesny partner ciągnął z tyłu, żeby ładnie opinała mi biust. Ale autor tego artykułu pisał o mnie jako o metresie komunistycznych dygnitarzy.

To mnie oburzyło. Zadzwoniłam po radę do Potáča, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Wysłuchał moich narzekania i powiedział poważnie: „Niech mnie pani posłucha, pani Heleno. Radziłbym zostawić to tak, jak jest. Jeśli zacznie pani w tym grzebać, zaczną się dziać straszne rzeczy, niech mi pani wierzy. Lepiej udawać, że nic się nie stało, a z czasem wszystko rozejdzie się po kościach...”.

Ale się nie rozeszło. Wręcz przeciwnie. Kiedy się rozniosło, że o mnie i Štrougalu piszą już nawet niemieckie gazety, mnóstwo ludzi uznało, że to musi być jednak prawda. To wtedy zaczęły do mnie przychodzić anonimy: „Štrougalko, na ciebie też przyjdzie kolej”...

Długo się zastanawiałam, skąd się te plotki wzięły. Wyjaśnienie znalazł mój kolega, kompozytor Karel Svoboda. Raz na dyskotecę w klubie D na Vinohradach, gdzie chodziliśmy całą grupą, oznajmił, że przedstawi mi kogoś, przez kogo mam tyle nieprzyjemności w życiu. Minę miał tajemniczą. Za chwilę pojawił się przy stoliku z Evą Janouškovą, córką Štrougala. Musiałam przyznać, że była do mnie podobna, zwłaszcza w tamtym oświetleniu, i jeśli ktoś chciałby nas obie pomylić, udałoby mu się to bez problemu. Szczupła, dość wysoka dziewczyna z blond włosami... I na dodatek odwiedzała często ojca zielonym fiatem, jakiego i ja wtedy miałam.

Napiłyśmy się razem wina, a ona zaproponowała, że naprawdę może zapoznać mnie z tatą. Wykręciłam się. Pomyślałam, że takie spotkanie tylko doleje oliwy do ognia. Wtedy jednak nie przeczuwałam nawet, że za jakiś czas poznam także żonę premiera, panią Štrougalovą.

Było to chyba na balu czasopisma „Květy” w ówczesnym Parku Kultury i Wypoczynku im. Juliusa Fučíka, dzisiaj Výstaviště. Mąż Evy, córki Štrougala, redaktor „Mladého Světa”, podszedł do mnie z „taką małą prośbą”: na balu jest jego teściowa, która bardzo chce mnie poznać. Siedzi tam w łoży i byłaby zobowiązana, gdybym znalazła dla niej chwilkę. Właściwie byłam ciekawa, jak ona wygląda i czy rzeczywiście jest taka skłonna do bicia, jak się mówi...

Krążyły wówczas „absolutnie prawdziwe” historie o tym, że Štrougal kupił mi kozuch i że kiedy dowiedziała się o tym jego żona, zaczęła się na mnie na jakiejś partyjnej imprezie i butelką od szampana wybiła mi wszystkie zęby. Od tej pory mam podobno zęby z porcelany. Oczywiście wstawione za pieniądze Štrougala, żebym milczała o tym skandalu. A tak przy okazji, do dzisiaj mam wszystkie zęby swoje, dentyści na mnie nie zarobili. Ale jak tu kogoś przekonać?

Kiedy weszłam do łoży, żona Štrougala uśmiechnęła się szeroko i szczerze i długo na mnie patrzyła. Ja na nią też. Była bardziej korpulentna, niż sobie wyobrażałam, i na jej olbrzymim biuście spoczywały sznury pereł. Gdyby ta kobieta chciała walnąć mnie butelką od szampana, rzeczywiście nie miałabym już ani jednego zęba.

Pani Štrougalová wstała.

- Bardzo mi miło. A więc wreszcie poznaję moją największą rywalkę.

„Štrougalko! Na ciebie też przyjdzie kolej!” - trzymałam ten anonim w ręku i zastanawiałam się, czy zniszczyć

go, czy odłożyć dla psychiatry. W końcu podarłam i wyrzuciłam do kosza.

Przecież takich listów dostanę jeszcze mnóstwo. I mnóstwo już ich wysłałam lekarzowi, więc ma co analizować. Może kiedyś napisze jakąś przełomową pracę naukową?

Przynajmniej do czegoś te pomówienia się przydadzą.



MŮŽEŠ ZŮSTAT, MŮŽEŠ JÍT

TOLIK ŠPÍNÝ, TOLIK BLÁTA,  
ANI JEDEN VLÍDNEJ TÓN,  
TO SNAD NEBYL VLASTNÍ TÁTA,  
TO SNAD VŮBEC NEBYL ON,  
JAK TA RÁNA JAK SE ZHOJÍ,  
JAK TO ZPÁTKY VŠECHNO VZÍT?  
MÁŠ JAK MOTÝL MOŽNOST DVOJÍ:  
MŮŽEŠ ZŮSTAT, MŮŽEŠ JÍT.

MICHEL LEGRAND, ALAN BERGMAN,  
MARILYN BERGMAN,  
ZDENĚK BOROVEC,  
„MŮŽEŠ ZŮSTAT, MŮŽEŠ JÍT“

MOŻESZ ZOSTAĆ, MOŻESZ IŚĆ

TYLE BRUDU, TYLE BŁOTA,  
ZEWSZĄD NIEPRZYJAZNY TON,  
TO NIE BYŁ RODZONY TATA,  
TO W OGÓLE NIE BYŁ ON,  
CZY TA RANA SIĘ ZAGOI?  
JAK TO WSZYSTKO MOŻNA ZNIEŚĆ?  
MASZ JAK MOTYL DO WYBORU:  
MOŻESZ ZOSTAĆ, MOŻESZ IŚĆ.

## MOTYL SZCZĘŚCIA

Dyła piękna słoneczna niedziela pod koniec lata. Siedziałam na werandzie, przede mną na stole leżało papierowe pudło z ogromną ilością wycinków z gazet, pełnych najbrzydliwszych tekstów, jakie napisano o mnie po ślubie z Martinem.

Trzymała je u siebie moja siostra Zdena, która po śmierci mamy zajęła się częściowo moim archiwum. Te artykuły ukrywała pod łóżkiem, bo się ich brzydziła. Musiałam stoczyć z nią małą bitwę, żeby mi je pokazała. Twierdziła, że nie ma potrzeby w tym grzebać - tylko że ja lubię porządek. Może to infantylne, ale zbieram chyba wszystko, co o mnie piszą. Artykuły mam ułożone chronologicznie w dwóch segregatorach, czerwonym i czarnym, zależnie od tego, czy ktoś wypowiada się dobrze, czy źle.

Otworzyłam karton. Aha, na to morze negatywów potrzebuję jakichś czterech, pięciu czarnych segregatorów - oeniłam. Wycinki nie były uporządkowane, ale na każdym była przynajmniej data i źródło. Zdena zawsze była dokładna. I troskliwa: zawsze chętna do pomocy, oaza cierpliwości.

To właśnie ona nauczyła mnie pierwszych akordów na gitarze. Jeździła na wycieczki z garstką podobnych do niej zapaleńców, prowadziła śpiewnik, знаła mnóstwo piosenek wykonywanych przy ognisku. „Niagara”, „Asca-

lona”, „Až ztichnou bilé skály” [Gdy ucichną białe skały]... Lubiłam je wszystkie. A najbardziej tę o Mani, którą zadźgali nożami za prowadzenie się z ubekami. Słyszałam ją chyba z tysiąc razy, ale i tak wzruszałam się za każdym razem. Jak to szło?

Moja droga Maniu, zamknij smutne oczy.  
Dziewczyno, jakże mógłbym cię nie kochać?  
A że szują byłaś, spotka cię kara w nocy,  
Potrzebujemy spokoju, idź już spać.

Przy tej przedostatniej zwrotce miałam już zawsze łzy w oczach. A kiedy Zdena zaczynała śpiewać ostatnią - o tym, jak znaleziono Manię martwą w skórzanym płaszczu i jej usta nie powiedzą już nic - płakałam jak bóbr...

Nagle nad głowę przeleciało mi coś kolorowego. Coś, co nie wydawało żadnego dźwięku, nie bzycało, nie piszczalo. A potem zginęło między kwiatkami w ogródku. Czyżby to był... motyl szczęścia? Już tak dawno go nie widziałam.

Motylem szczęścia nazywam taką dziwną ćmę, która wygląda jak koliber. Czasem widuję ją, jak fruwa nad kwiatami, potem wybiera jeden i zawisa nad nim w powietrzu, szybko machając skrzydełkami i ssąc nektar. Przyglądanie się temu sprawia mi prawdziwą radość.

Wierzę, że ten wyjątkowy i piękny motyl przynosi mi szczęście. Zawsze gdy się pojawia, wszystko zaczyna się układać jak w bajce. Naprawdę! W zeszłym roku na przykład zainwestowałam w coś pieniądze, a potem miałam złe przeczucia. I dokładnie tego dnia, kiedy do naszego ogrodu przyleciał motyl szczęścia, dostałam telefon, że inwestycja zwróciła się wielokrotnie.

Przebiegłam wzrokiem po grządkach, czy nie zobaczę tam „koliberka”. Nigdzie go jednak nie było. Może to jednak przeleciało coś innego? Sięgnęłam do pudła i wyciągnęłam pierwszy z wierzchu wycinek. Wywiad sprzed dwóch lat z moją bratanicą Łucką, też piosenkarką. Pamiętam go. Pytali ją, czy byliśmy kiedyś sobie bliskie, a Lucka od-

powiedziała, że prawie nie miałyśmy ze sobą kontaktu... Chwila, gdzie to jest?

*Zawsze czułam, że chcę iść inną drogą. Już chociażby dlatego, że wszyscy wokół oczekiwali, że pójdę w czyjeś' siady. W kółko mnie o to pytano i uciekałam przed tym dwa kilometry sprintem. A z ciocią spotykałyśmy się tylko na święta albo czasem w wakacje, bo Helenajest solistką, która zawsze myśli tylko o sobie. To nie ten typ, który umie się dla kogoś poświęcić albo pomagać innym. Ja przynajmniej takich skłonności u niej nie zauważam.*

Bardzo mnie to dotknęło. O wiele bardziej niż tekst, który pojawił się kilka tygodni później w „Nedělnim Ble-sku”. Nosił tytuł „Skąpa ciotunia” i opowiadał o tym, jak to dałam bratanicy tylko jeden prezent w życiu - szampon. Machnęłam na to ręką, bo w takie głupoty chyba nikt nie uwierzy, może zresztą Lucka wcale tego nie powiedziała. Jak jednak może twierdzić, że myślę tylko o sobie i że nie lubię pomagać innym?

Kiedy była mała, razem z bratem Davidem spędzali u mnie co roku część wakacji. Wymyślałam dla nich zajęcia, żeby nie przesiedzieli lata przed telewizorem. Wysyłałam ich na basen, chodziłam z nimi na grzyby, na korty. Przygotowywałam dla nich specjalne dania. Uwielbiali moje knedliki z morelami, twarogiem i cukrem polane roztopionym masłem... Kochałam ich. Świetnie się z nimi bawiłam i po trosze czułam ich matką.

Przypominali nieco mnie i mojego brata. Wparowali raz do mojego królestwa ze szminkami, pudrami i fatałaszkami, a potem wymalowali się przed lustrem w łazience, poprzebierali w moje sukienki, obwiesili koralami i przyszli się zaprezentować. Zobaczyłam siebie i Jirkę sprzed lat. Robiliśmy to samo - tylko nasza mama miała mniej kosmetyków, sukienek i koralików.

Luckę zawsze bardzo kochałam. Już jako małe dziecko była nadzwyczaj bystra. Miała wspaniałą pamięć, słuch muzyczny i poczucie rytmu, a po babci ze strony mamy odziedziczyła talent do języków. Lubiała uczyć się nowych

rzeczy. Niemiecka telewizja dowiedziała się kiedyś, jaką mam utalentowaną bratanicę, i nalegano, żebyśmy pokazały coś razem. Zaczęłam więc uczyć ją stepowania i byłam zaskoczona, jak szybko jej to szło. Takie dzieci nazywa się czasem cudownymi... Dziennikarze nie mieli racji, kiedy pisali, że to rodzice wypychali Luckę w wielki świat, zmuszali do pracy w show-biznesie. Wiem, że sama chodziła na różne castingi, a w domu nikt nawet o tym nie wiedział. Do mnie też nie przychodziła po poradę, chociaż przecież mogła. Zawsze była bardzo samodzielna.

Potem prawie straciłyśmy ze sobą kontakt. Ale może i to czas zmieni, jak obiecywała wróżka...

Znowu zanurkowałam w kartonie. Co my tu mamy? Jakaś karteczka, a na niej kilka wersów napisanych na komputerze drobną czcionką. Włożyłam okulary.

*Praga, 30 maja 2003 r.*

*Zgodnie z wyrokami sądu rejonowego i okręgowego zmuszony jestem przesłać Pani następujący tekst:*

*Szanowna Pani Heleno Vondráčková, w swoim wywiadzie dla dziennika „Lidové Noviny”, wydrukowanym dnia 6.10.2000, powiedziałem o Pani między innymi: „... udało jej się oczywiście nie stracić kontaktów z mafią, która w latach siedemdziesiątych umożliwiła jej sukcesy w radiu i telewizji, dzięki której wydawała płyty. Teraz świętowała come-back w Polsce, a nawet wraz z Gottem w Carnegie Hall”.*

*Przepraszam Panią niniejszym za dokonanie tego uszczerbku na Pani honorze.*

*Mam nadzieję, że jest Pani usatysfakcjonowana.*

*Jan Rejžek*

No jasne, to przeprosiny Rejžka! Przyznaję, że ten facet wiele razy zniechęcał mnie do pracy. Nie oczekuję, że wszyscy będą piąć nade mną z zachwytem, ale zadaniem krytyka muzycznego nie jest chyba plucie jadem. Wprawdzie jego ataki nie są kwestią ostatnich lat - i powinnam się do nich już przyzwyczaić - ale nad tym, co powiedział wtedy w „Li-

dowych Novinách”, przejść do porządku już nie zdołałam. Dotknął mnie zwłaszcza ten fragment o mafii i o tym, że jestem na liście sygnatariuszy Antykarty<sup>1</sup>.

Podalam za to Rejzka do sądu i za pierwszym podejściem przegrałam. Sąd zalecił mi zmienić oskarżenie, ponieważ pod Antykartą, którą 12 lutego 1977 roku opublikowało „Rudé Právo”, moje nazwisko naprawdę widnieje. Nie wiem dlaczego, skoro żadnego takiego pamfletu nie podpisywałam. Chciałam to sprawdzić, wydzwaniałam w różne miejsca, ale niczego się nie dowiedziałam. Wiem tylko, że kiedy w Teatrze Narodowym i w Teatrze Muzyki trwała akcja zbierania podpisów, ja byłam na koncertach w Polsce. Ale kto wie, jak sprawy by się potoczyły, gdybym była wtedy w kraju? Może też bym usiadła razem z pozostałymi piosenkarzami, wysłuchała przemówień i podpisała petycję? Nie jestem aż takim bohaterem i dobrze wiem - i wtedy też wiedziałam - czym groził brak zgody na podpis: utratą pracy na stałe albo na jakiś czas przynajmniej. Los szczęśliwie nie postawił mnie przed tym wyborem.

Na kolejnym etapie procesu przeciwko Rejzkowi chodziło mi już wyłącznie o moje rzekome kontakty z mafią. Nie rozumiem, jak mógł o mnie coś takiego powiedzieć, i nie rozumiem jego argumentu, że słowa „mafia” użył jako hiperboli. Przecież ja nigdy nawet nie miałam stałego menedżera, który by mnie systematycznie promował, i miałabym być w jakimś spisku? Wydawało mi się zawsze, że jestem sama jak kołek w płocie: czego nie załatwię, tego nie będzie.

Za drugim razem sąd przyznał mi rację. Ale było to trochę pyrrusowe zwycięstwo: Rejzek wprawdzie publicznie mnie przeprosił, ale odwołał się do Sądu Konstytucyjnego - że niby ograniczono jego wolność słowa. Wyższa instan-

<sup>1</sup> Antykarta to zorganizowana przez komunistyczne władze kampania zbierania podpisów pod protestem przeciwko Karcie 77. 28 stycznia 1977 roku zwołano do Teatru Narodowego artystów i znane osobistości życia publicznego i zmuszono ich do podpisania aktu lojalności wobec władz. W następnych dniach kampania objęła wszystkich ludzi kultury. Lista sygnatariuszy Antykarty drukowana była w „Rudym Právie”.

cja wydała wyrok korzystny dla niego, a mnie w zasadzie pouczono, że jeśli jestem osobą publiczną, muszę się nauczyć akceptować takie wypowiedzi. Kiedy natomiast złożyłam skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, zaczęto wypisywać, że zaczynam sądzić się z całym światem i doprowadzę kraj do ruiny.

Bóg wie, ile się to jeszcze będzie ciągnąć! Ale te przezbawne przeprosiny Rejżka wstawię w ramkę i powieszę obok dyplomu zasłużonej artystki. Tak tylko, żeby było co gościom opowiadać...

Zajrzałam do ogrodu i rzuciłam okiem na skrzynki z petuniami. Te słodkie kwiaty mogłyby być przynętą dla motyla szczęścia.

Co my tam mamy dalej w tym durnym pudle? „Emerytura w domu na Florydzie” - głosił tytuł w czasopiśmie „Jackie”.

*Jednym z wielkich marzeń nieśmiertelnej piosenkarki jest spędzenie emerytury na Florydzie! Już na Boże Narodzenie 2003 roku wpłaciła zaliczkę 2500 dolarów (68 000 koron czeskich) państwu Philipowi i Cheryll W., właścicielom jej wymarzonego domu w Sarasacie na Florydzie. Państwo W. chcieli za tę posiadłość zawrotne 225 000 dolarów, czyli w przeliczeniu 6 000 000 koron! Ufna Helena budynku nie widziała na oczy, a był on tymczasem w stanie katastrofalnym i daleko od morza, więc o palmach i basenie pomarzyć tylko można!*

No tak: dom w Sarasacie. Nawet nie wiedzą, jak się to pisze!

Sarasota to cudownie kosmopolityczne miasto na Florydzie, nad Zatoką Meksykańską. Ale ten zakątek świata nie jest moim drugim domem i nigdy nie będzie. Chyba nie potrafiłabym tam żyć na stałe, nawet na emeryturze. Mnie samej nigdy by do głowy nie przyszło, żeby kupić tam dom, ale ostatecznie dałam się namówić Olince, żonie Waldemara Matuśki.

Kiedy spotkałam ją w Ameryce po raz pierwszy - a było to w roku 1997 - zachwyciłam się jej biegłością w sprawach

nieruchomości. Pośredniczyła w ich kupnie i sprzedaży, a wszystkie domy, dla których szukała kupców, potrafiła własnoręcznie udoskonalić i doprowadzić do rozkwitu. Nie stanowiło dla niej żadnego problemu położyć podłogę albo kafelki, zamontować podwieszany sufit, pomalować płot... Nawet z typowo męskimi pracami, przy których nieźle się trzeba natrudzić, radziła sobie sama.

Wtedy umieściła mnie na noc w domu, który był na sprzedaż i stał naprzeciwko domu Matušków. Olinka twierdziła, że jest nadzwyczaj tani i mogę być pewna, że w ciągu trzech lat jego cena wzrośnie co najmniej dwukrotnie, powinnam więc go kupić. A ona już o niego zadba. Ale ja nawet nie chciałam o tym słyszeć. Pamiętałam doskonale, że jak przeprowadzaliśmy się z Hellmutem do Řitki, myśleliśmy, że zaczniemy tam mieszkać od razu, a tymczasem jeszcze przez wiele miesięcy posesja wyglądała jak plac budowy. A jakie by były dopiero problemy z domem na Florydzie, gdzie jeździ się najwyżej raz w roku!

Nawet na te odwiedziny u Matušków Olinka długo mnie namawiała. Miałam w Pradze mnóstwo pracy, a poza tym suczka szczeniła się lada dzień. „Przyjedź i już!” - nie odpuszczała Olinka. „Waldemar obchodzi sześćdziesiąte piąte urodziny, a twoja wizyta będzie dla niego najwspanialszym prezentem. Spokojnie, przełożymy przyjęcie o tydzień czy dwa, poczekamy na poród suni...”

I rzeczywiście z mojego powodu uroczystość odbyła się później. Przyjechałam sama, bez Hellmuta, który wtedy niechętnie ruszał się tam, gdzie nie dało się dotrzeć na motorze. Olinka przygotowała dla wszystkich gości efektowne entrées: każdy miał na głowie papierową torbę z dziurkami na oczy, a Walda, który siedział w salonie w wielgachnym fotelu, miał zgadywać, kto to.

Taką Aję Vrzanovą rozpoznał natychmiast: weszła bez słowa, wykonała piruet i już było wiadomo. Ze mną było mu trudniej. Skrzeczącym głosem zaśpiewałam mu prawie całe „Choruję z miłości”, a on nadal nie wiedział! Kiedy zdjęłam worek, po raz pierwszy w życiu zobaczyłam w jego oczach łzy. „Nie wierzyłem, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę”. Obejmował mnie długo i czule.



To spotkanie bardzo nas zbliżyło. W Czechach nie byliśmy raczej przyjaciółmi. On jest przecież piętnaście lat ode mnie starszy! Kiedy zaczynałam karierę, jego jaśniała już pełnym blaskiem. Ale po pewnym czasie różnice wieku się zacierają. Mam więc teraz dom dziesięć minut pieszo od domu Matušków - i to naprawdę niezły dom. Zawdzięczam to Olince. Gdyby jeszcze tylko nie było tam tak daleko!

Odłożyłam artykuł z magazynu „Jackie” i wstałam od stołu. Przypomniałam sobie, że w salonie stoi wazon ze świeżymi kwiatami. Przeniosę go na werandę, może zwa- bię motyla szczęścia. W tym roku potrzebuję go jak nigdy wcześniej!

Kolejny wycinek: „Dobrze sprzedana narzeczona”. Tekst, który wyszedł w dzień ślubu z Martinem.

*Ślub Heleny Vondráčkovéj z Martinem Michalem okazał się stosunkowo intratną uroczystością. Narzeczeni sprzedali swoje szczęśliwe chwile mediom. I chociaż pieniądze, które za to dostali, nie są zawrotne w porównaniu ze stawkami światowych celebrities, to i tak na nasze warunki są całkiem pokaźne. Jeśli policzyć śluby fotografowane do tej pory, Vondráčková jest najlepiej sprzedaną narzeczoną w Czechach.*

I napisał to Miloš Skalka, z którym przyjaźniłam się całe lata! Uczył mnie angielskiego, pisał mi teksty, moderował moje talk-show, a podczas imprezy poślubnej robił nawet za didżeja. Z powodu dobrze sprzedanej narzeczonej Martin bardzo się z nim wtedy pokłócił. Była to jedyna skaza tego pięknego skądinąd wieczoru.

W przerwach między piosenkami Miloš prowokował Martina, gadał głupoty przez mikrofon. Jakoś nad ranem skończyło się to bijatyką, kilka mocnych słów także przy tym padło. Obrażony Miloš wskoczył do auta i postanowił wracać do Pragi, mimo że sporo wypił. Kilka dni później wysłałam mu SMS-a, żeby nie gniewał się na mnie, a z Martinem rozmówił się jak mężczyzna z mężczyzną. Ale Miloš się zaparł. Od tego czasu się nie widzieliśmy, a ja mam wrażenie, że z powodu głupoty straciłam kumpla.

I jeszcze jedna rzecz zupełnie mi się na ślubie nie udało: porwanie narzeczonej. Podjęliśmy z Martinem decyzję, że darujemy sobie tę tradycję. Obawialiśmy się, że jak zniknę na kilka godzin, a Martin pójdzie mnie szukać, zabawa się popsuje, a znudzeni goście zaczną wychodzić. Byłam więc zdecydowana, że porwać się nie dam. Ale kiedy podszedł do mnie ktoś, już nie pamiętam kto, i powiedział, że na parkingu stoi taki motor, jakiego jeszcze w życiu nie widziałam, to jak naiwna licealistka poleciałam zaraz na ten cud popatrzeć. Kiedy tylko wyszłam przed klub, złapało mnie trzech facetów, wpakowało do samochodu i wywiozło do restauracji Na Veselce. Byłam zła, ale nic nie mogłam zrobić, musiałam tam z nimi siedzieć. Była zima, ja byłam w lekkiej sukience i butach na wysokim obcasie, sama więc wrócić nie mogłam. Faceci pili drinka za drinkiem, nawet jak już było jasne, że dowcip się nie udał. I stało się to, czego się obawiałam: beze mnie zabawa w klubie siadła, a Martin się zdenerwował. Zresztą prawie się o to potem pokłóciliśmy.

Nie lubię tego wspominać.

Tekstów o ślubie znalazłam jeszcze w pudle sporo. Ułożyłam je w jedną kupkę i postawiłam na nich wazon. Czytać ich nie zamierzam, wolę dobre wspomnienia. Potem wpadła mi w rękę rozkładówka z magazynu „Rytmus života” z fotką mojego brata i tytułem: „Coraz bardziej wstydzę się za Helenę”. No tak, tego bez porządnej kawy nie dam rady przeczytać.

*[...] A dzisiejsze stosunki Heleny z rodziną? Helena zgodnie z radą swojego nowego męża odcięła się od całej swojej rodziny i jest wreszcie szczęśliwa. Dobrze zrobiła. Jest już przecież dużą dziewczynką. Teraz ma już kto bronić jej majątku (nigdy przez nikogo niezagrożonego), ma kto wyrzucać dziennikarzy z sali koncertowej, stłuc fotografa, podać do sądu znajomych i krewnych. Helena biega po brukowcach i ogłasza, że się za mnie wstydzi, bo powiedziałem jej głośno to, czego nikt inny się nie odważył. A ja się coraz bardziej wstydzę za Helenę. Nie ma nawet odwagi do mnie zadzwonić. Chyba mąż jej tego zakazał,*

*bo jak dawniej przeżywalismy jakieś nieporozumienia rodzinne, mówiliśmy to sobie. Ale to przecież trwało tylko pięćdziesiąt lat. To nic względem ery MM. A ja i tak czasem się za nią modłę. Nie mogę zrobić nic innego, a tak się o nią boję...*

Ten tekst brat wysłał do prasy rok temu. A ja tyle razy go prosiłam, żeby o naszych prywatnych sprawach nie rozmawiał z dziennikarzami z brukowców.

Jak on może twierdzić, że odcięłam się od rodziny? Przecież nie ma ani jednego dnia, żebym o nim i o tacie nie myślała! Modłę się, żebyśmy się pogodzili. Jasne, że nie boję się z nim rozmawiać, tylko mam wrażenie, że to chwilowo nie ma żadnego sensu. Jeśli oczywiście nie zmieni poglądów na temat mojego męża. Brat upiera się przy swoim: dla niego Martin to kryminalista i oszust, któremu chodzi tylko o mój majątek. A przy tym zupełnie go nie zna! Oni nigdy nie zamienili ze sobą ani słowa!

Nie mogę wymazać tyłu naszych wspólnych lat, nawet gdybym chciała. Ciągłe widzę go jako małego chłopca. Jak biegamy razem nad brzegiem naszej Chrudimki, wyciągamy kamienie z wody i szukamy pod nimi patyczków z robakami, na które tak fantastycznie biorą ryby. Jak skaczemy z betonowych schodków do wody, stawiamy zapory na rzece, zimą zjeżdżamy z górki na sankach, zapamiętałe gramy w karty na pływalni...

Obie ze Zdeną zawsze nazywałyśmy Jirkę syneczkiem mamusi. Nie tylko dlatego, że był najmłodszy Jako czterolatek był bliski śmierci, a coś takiego zawsze powoduje wzrost uczuć rodzicielskich.

Co się dokładnie stało, wiem tylko z opowieści. Jirka grał z kilkoma chłopakami w piłkę i któryś kopnął piłkę na jezdnię. Brat po nią pobiegł. Wyskoczył na ulicę zza zaparkowanego traktora wprost pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Chłopcy, którzy to widzieli, mówili, że gdyby się nie ruszał, ciężarówka przejechałaby nad nim. Ale on chciał się przeturlać na chodnik i auto go potrafiło. Poleciał na krawężnik, zmiażdżyło mu nogę i trzy palce. Rana na głowie była naprawdę poważna: połamana czaszka, odłamki w mózgu.

Kiedy przybiegłam na miejsce, nie było już tam ani brata, ani kierowcy. Przez przypadek przejeżdżała tamtędy karetka i zabrała ich obu. Brat był nieprzytomny, a kierowca się załamał, bo sam miał trójkę małych dzieci... Obok ciężarówki na poboczu zgromadziła się grupka ludzi. Pierwsza rzecz, jaką zobaczyłam, to kałuża krwi na jezdni, a obok pod drzewem troskliwie ułożona para czerwonych bucików...

Przerażona pobiegłam do rodziców. Powiedziałam wszystko mamie. Rozplakała się, w szoku wyciągnęła rower i chciała jechać natychmiast do szpitala. A ja powtarzałam: „Panie Boże! Panie Boże!”.

Rodzice spędzili w szpitalu trzy dni. Czuwali przy łóżku Jirki dzień i noc. Mimo że operacja się udała, lekarze nie dawali wielkich nadziei. Ordynator mówił, że uratować może go tylko cud. I brat cudownie wyzdrowiał. Sądzę, że wyleczyły go modlitwy rodziców. Od tamtej pory wierzę, że są siły na ziemi i niebie, które czasami ingerują w nasze życie. Ze istnieje jakaś siła, która dała nam życie i może zabrać je z powrotem...

Z powodu brata płakałam jeszcze jeden raz, ale w zupełnie innych okolicznościach - kiedy był już dorosły i studiował.

Wróciłam raz dzień wcześniej z zagranicznych wojaży i zastałam Jirkę w moim mieszkaniu wraz z grupą kumpli odsypiających nocną imprezę. Pokój wyglądał jak po wybuchu bomby. Śmierdziało papierosami, wszędzie wały się góry pustych butelek i pełne popielniczki. Usiadłam w kawiarni naprzeciwko, czekałam, aż brat zrobi u mnie porządek i wywietrzy, i zbierałam się na odwagę, by mu powiedzieć, że nadszedł czas, aby się usamodzielniał i znalazł własne lokum. Kiedy mu to tłumaczyłam, łzy popłynęły mi po twarzy. Jak matce, która wypuszcza w świat swoje dziecko. Robi to z ciężkim sercem, ale wie, że tak trzeba...

Postępowanie brata w ostatnich latach uważam za niewłaściwe, nieodpowiednie i zupełnie bezsensowne. Po raz pierwszy w życiu jestem też bezsilna. Mam wrażenie, że teraz on nie chce zrozumieć, że jestem już dużą dziewczynką, która potrafi żyć po swojemu. Przykro mi niezmiernie, że być może na zawsze straciłam rodzinę, ale każdego dnia

przekonuję się, że podjęłam właściwą decyzję. Chcę być z mężczyzną, który jest dla mnie podporą, którego szanuję, którego kocham, może i wbrew wszystkim...

Wypiłam ostatni łyk kawy. Czułam pulsowanie w skroniach, ale to na pewno nie z powodu kofeiny. Winne były raczej te głupie wycinki. Na bukiecie usiadła osa. Nie motyl szczęścia, tylko zwyczajna osa!

Wyciągnęłam z kartonu tekst sprzed dwóch lat z „Blesku”. Moje zdjęcie na stronie tytułowej, a obok: „Vondráčková - prawda wreszcie wyszła na jaw! Prawda o dziecku”. Po tym tekście też poszłam do sądu.

*Tę straszliwą tajemnicę dusi w sobie Helena Vondráčková (56) od lat! Teraz prawda wreszcie wyszła na jaw! Gdyby nie aborcja, do której zmusił ją ówczesny niemiecki kochanek, Helena miałaby dziś dorosłą córkę lub syna! Minęło kilkadziesiąt lat, ale czas tej rany nie zagoił. Boli bez przerwy! Zawsze kiedy widzi niemowlę w wózku, serce ją boli, a w gardle ściska...*

Jaki kicz! Jego autor nawet nie miał odwagi się podpisać. „Serce ją boli, a w gardle ściska...” Skąd oni mogą wiedzieć, co mnie boli i ściska?!

Potrafię sobie wyobrazić, jak to jest stracić dziecko. Bo też je straciłam. Prawie dwadzieścia lat minęło od tego tragicznego dnia, kiedy umarł mój siostrzeniec Tomáš, syn Zdeny.

Zdena była matką nadopiekuńczą. Długo wychowywała go samotnie. Był jej jedynym dzieckiem, a kiedy lekarze stwierdzili u niego rzadką i niemal nieuleczalną chorobę krwi, nie odstępowała go na krok. Często krwawił, a nawet drobne ranki goiły się długo. I nikt właściwie nie wiedział, co mu jest. Zdena wciąż się o niego bała, bez przerwy go kontrolowała, nawet jak już był dorosły.

W sylwestra 1986 roku Tomáš wymógł na matce, że zrobi w domu imprezę i zaprosi kilku kumpli. Zdena z mężem, ojczymem Tomáša, wyjechała do krewnych do Mariańskich Łaźni, ale poprosiła sąsiadkę, żeby zaglądała czasem do syna. W południe sąsiadka zauważyła, że Tomáš ma na szyi chustkę. Twierdził, że zrobił mu się tam jakiś guz, ale

że to nic takiego, że tylko się zaziębi! i może dlatego spu-  
chły mu węzły chłonne. W końcu dał się namówić na wi-  
zytę u lekarza i sam wybrał się do szpitala tramwajem...  
W południe w Nowy Rok zadzwonił mój telefon. Zdena.  
„Heleno, Tomáš nie żyje!” - wykrztusiła i rozplakała się.

Serce przestało mi bić. Zupełnie nie rozumiałam, co ona  
mówi. Nie mogłam w to uwierzyć, nie mogłam się zdobyć  
na żadną reakcję.

Hellmut natychmiast wsiadł w samochód i błyskawicz-  
nie pojechaliśmy do Pragi, żeby przywieźć Zdenę z mężem  
do nas. Nie chcieliśmy, żeby zostali sami w pustym miesz-  
kaniu. Zdena nie mogła się uspokoić. W kółko czytała te-  
legram, który po powrocie znalazła w drzwiach. Jakby nie  
mogła w to uwierzyć:

***Szanowna Pani, syn Pani Tomáš Bouda zmarł o piętnastej  
w szpitalu na placu Karola...***

Z obrzydzeniem odsunęłam od siebie pudło z wycinkami.  
Nie będę już tego czytać! Nie chcę już przeglądać tych tekstów,  
nie chcę ich porządkować, nawet brać do ręki już ich nie chcę.  
Wsadzę karton pod łóżko i postaram się o nim zapomnieć.  
Życie bywa okrutne i bez tych gazetowych oszczerstw.

Zesłam do ogrodu. Muszę tu coś porobić, żeby przestać  
myśleć o tym wszystkim. Podleję petunie, bo wydaje mi się,  
że w tych nowych skrzynkach trochę schną. Potem przytnę  
sekatorem żywopłot... Poszłam do domku na narzędzia  
i kiedy właśnie mijałam grządkę floksów, zobaczyłam go.  
Wisiał bez ruchu w powietrzu, machał skrzydełkami z nad-  
zwyczajną prędkością, a ssawkę zanurzał w białym kwiatku.  
Więc jednak przyleciał! Przepiękny koliberek.

Ostrożnie kucnęłam obok, żeby go nie wystraszyć. Błysz-  
czał wszystkimi kolorami tęczy jakby zawieszony na sło-  
necznym promieniu. Potem wleciał, okrążył moją głowę  
i skręcił w stronę płotu, gdzie kwitły anielskie dzwony.

Ludzie nazywają tę ćmę fruczak gołąbek. Ale dla mnie  
pozostanie motylem szczęścia. Teraz wszystko zacznie się  
wspaniale układać!

## ELIXÍR

DÝM, DÝM, PODÍVEJ,  
V OKAMŽENÍ BARVU MĚNÍ,  
A DÁ SE TAM JEN SŮL,  
PÁN ZVANÝ ALCHEMISTA  
ZAS UŽ DALŠÍ KOUZLA CHYSTÁ  
VŽDY MÁ JICH PLNÝ STŮL...  
TAK ZKOUŠEJ, PÁTREJ,  
ELIXÍR MLÁDÍ MUSÍŠ ZNÁT!

RUPERT HOLMES, MILOŇ ČEPELKA, „ELIXÍR“

## ELIKSIR

DYM, DYM, POPATZ TYLKO,  
W OKAMENIENIU KOLOR ZMIENIA,  
DODA SIĘ TAM TYLKO SÓL,  
PAN ALCHEMIK NIE PRÓŻNUJE,  
DALSZE CUDA JUŻ SZYKUJE,  
MA ICH ZAWSZE PEŁNY STÓŁ...  
WIĘC PRÓBUJ, SZUKAJ,  
ELIKSIR MŁODOŚCI MASZ ZNAĆ!

## O CZYM MYŚLI KOBIETA, KIEDY GOTUJE KAWARMĘ, CZYLI TEGO NIE WYMYŚLISZ, TO MUSISZ PRZEĆWICZYĆ

Kiedy chcę uspokoić myśli, idę sobie podlubać w ogródku. Albo coś ugotować.

Mam mnóstwo zeszytów i zeszycików z przepisami, ale podstawowe dania przyrządzam z głowy. To musztra mojej mamy, która skończyła szkołę gastronomiczną. Kiedy zamierzała po raz pierwszy wyjść za męża za tatę Zdeny, rodzice wysłali ją do Pragi na kurs gotowania, żeby zdobyła jako takie „wykształcenie”.

Dania, które zamierzam właśnie przygotować, mama na pewno nie знаła. Nazywa się kawarma i pochodzi podobno z Bułgarii. Zabierajmy się więc do pracy, niech złe myśli czym prędzej wyparują z głowy...

*Zaczynam od pokrojenia w grubszą kostkę około trzydziestu deka chudej wieprzowiny. Biorę taką samą ilość cebuli i kroję ją na grubsze krążki. Bułgarzy podobno zamiast cebuli dodają por, ale według mnie kawarma z porem smakuje jak chińszczyzna na sposób czeski.*

*Teraz w garnku rozgrzewam olej, najlepiej oliwę z oliwek, ponieważ ona nie pozwoli mi niczego zepsuć. I jeszcze kilka kropel, dobra kawarma nie jest daniem dietetycznym...*



O tym, że istnieje coś takiego jak oliwa z oliwek, dowiedziałam się gdzieś pod koniec lat sześćdziesiątych. Byłyśmy z Martą Kubisową na urlopie w Bułgarii. Jakiś Słowak zaprosił nas do restauracji i Marta dopytywała się kelnera, czy do sałatki dodają tu oliwę z oliwek zwyczajną, czy z pierwszego tłoczenia. Nie wiem, co kelner odpowiedział, ale Marta była chyba usatysfakcjonowana, ponieważ stwierdziła, że w takim razie na pewno bierze sałatkę.

A tak w ogóle to długo czułam się przy Marcie jak uczennica. Kiedy przyszłam do zespołu teatru Rokoko, byłam niedoświadczoną i zahukaną dziewczyną z małego miasteczka, która nawet nie potrafiła porządnie się umalować. A Marta była damą. W każdej sytuacji umiała zachować się z klasą, ubierała się wspaniale, paliła eleganckie damskie papierosy i miała długie wypielęgnowane paznokcie, pomalowane zawsze na ciemnoczerwony kolor. Zazdrościłam jej trochę. Ja zawsze obcinam paznokcie króciutko. To przyzwyczajenie z dzieciństwa, gdyż pan profesor od pianina nie znosił, kiedy stukiałam nimi w klawisze, i zawsze miał pod ręką nożyczki do manikiuru.

Marta wtajemniczyła mnie w sekrety miejskiego życia. I nie było w niej żadnego poczucia wyższości. Zachowywała się raczej jak starsza siostra. Radziła mi, jak mam obciąć włosy, jak narysować kreski na powiekach, żeby oczy wydawały się większe, nawet przeklinać mnie uczyła. Ale w taki sposób, by nawet najwulgarniejsze słowo nie zabrzmiało chamsko, tylko światowo. Tej sztuki niestety nigdy nie opanowałam i kiedy wymknęło mi się na przykład zwykle „kurna”, ludzie oglądali się za mną ze zgorzaniem, a za Martą z tego samego powodu z uznaniem.

Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy weszłam do garderoby Marty, którą od tej pory miałyśmy już dzielić, poczułam specyficzny zapach. Nie wiem, jak go opisać: nie był ani owocowy, ani kwiatowy, ani cukierkowy... Specyficzny po prostu. Marta siedziała przed lustrem z otwartym słoiczkiem kremu. To on właśnie rozsiewał

tę szaleńczą woń. Przez tydzień nie odważyłam się zapytać, co to za maść.

- Ja ci dam maść! - prychnęła Marta. - To Elizabeth Arden, ty gamoniu. No, posmaruj sobie pyszczek.

- Aha, Arden. A... a skąd się to coś bierze?

- To coś, dziewczyno, dostaniesz tylko w Tuzeksie.

- Aha, w Tuzeksie...

Marta przestała wcierać krem i spojrzała na mnie ze współczuciem.

- Ty pojęcia nie masz, co to Tuzex, prawda?

Potaknęłam.

- To sklep, gdzie za nasze korony guzik kupisz. Musisz mieć tak zwane bony. Na razie rozumiesz, nie? No, a te bony zdobędziesz za walutę albo i za korony, jak masz znajomości u koników. Jasne? Ale sama niczego nie próbuj, bo cię okradną albo zwiną, a ja się będę musiała jeszcze tłumaczyć przed twoją mamą.

Jedyny wówczas w Pradze Tuzex był na ulicy Ve Smečkách. Poszłam tam kiedyś popatrzeć, ale wejść do środka się nie odważyłam. Obejrzałam tylko wystawę, aby zobaczyć, czy gdzieś nie znajdę tego kremu. Bo dałabym za niego wszystko. Mama miała rację: w wielkim mieście człowiek głupieje.

Przed Bożym Narodzeniem Marta podarowała mi małą paczuszkę przewiazaną wstążeczką:

- Mam u ciebie siedem bonów. Ale oddasz mi je, kiedy już świat będzie nas z zachwytu w tyłek całować.

*Kiedy oliwa z oliwek będzie rozgrzana, wkładam pokrojoną w kostki wieprzowinę. Rumienię ją przez minutkę, żeby trochę zmiękla, a potem szybko wyjmuję z tłuszczu, zanim zacznie puszczać soki...*

Byłam najmłodsza z tria Helena-Vašek-Marta. Poza tym dyrektor Rokoka Darek Vostřel pasował mnie na pierwszą naiwną, chociaż taka naiwna i bezbronna byłam najwyżej na pierwszy rzut oka. Sądzę jednak, że pozostała dwójka naprawdę czuła, że musi mnie chronić.

Pamiętam, że kiedy w '68 występowaliśmy przez miesiąc w Olympii, Francję ogarnęły strajki studentów. Papa Bruno Coquatrix przestrzegał nas, żebyśmy nie chodzili sami po ulicach, a już w żadnym razie nie wybierali się do Dzielnicy Łacińskiej, bo tam policja mogła nawet zacząć strzelać do demonstrantów... Oczywiście musieliśmy to zobaczyć. Ale kiedy znaleźliśmy się w końcu między tłumem studentów a kordonem policyjnym, Vašek wepchnął mnie w drzwi jakiejś knajpki i zdecydował: „Ty się, dziecko, schowaj, bo coś ci się może stać!” - a sam z Martą został na chodniku.

Vašek był wobec mnie ujmująco rycerski. W Paryżu codziennie wracaliśmy do hotelu Pasquier pieszo i musieliśmy przechodzić przez dzielnicę czerwonych latarni pełną prostytutek i alfonsów. Vašek zawsze szedł pierwszy, żeby nas w razie czego obronić, a my z Martą trzy kroki za nim. Był uroczy, kiedy kroczył tak z podwiniętymi rękawami i wyprostowany, próbując sprawiać wrażenie chojraka...

Raz jakiś podpity sutener złapał mnie za ramiona, coś powiedział i starał się mnie pocałować - i wtedy Vašek zdenierwował się nie na żarty. Niczym najprawdziwszy bokser pokazał mu pięści i zaczął się na niego wydierać, po czesku oczywiście: „To nie żadna bładź! Wynoś się do swoich dziwek! Wystarczy ci ich..Pobiegłyśmy z Martą do hotelu, ale Vašek chciał się z tym facetem bić. Machał rękami jak wściekły, a alfons się śmiał, uchylał przed ciosami i robił nieprzyzwoite gesty. W końcu Vašek przestał, wszedł do hotelu, ale cały czas był podminowany. „Do cholery, rozwalę tego gnojka! Co on ci powiedział, Helena? Przetłumacz mi, a słowo daję, zabiję!” „Nie wiem, nie zrozumiałam”, starałam się go uspokoić. „Zostaw go już, jeszcze coś ci zrobi”. „Nie rozumiałaś?!” - ryknął Vašek. „Tym gorzej dla niego!”. Odwrócił się na pięcie i wybił pięścią szybę w hotelowych drzwiach, za którymi stał osłupiały alfons.

*Mięso czeka teraz na talerzyku obok. Do oliwy, w której zrumieniałam mięso, wrzucam teraz cebulę. Tylko mieszać porządnie,*

*bo się przypali! Zanim się jeszcze zdąży zeszklić, dodaje do niej mieloną paprykę, słodką i ostrą. Trochę jak przy gulaszu. Ale uwaga, trzeba pilnować, żeby cebula nie zbrązowiała i nie zrobiła się gorzka. Musi być niezwykle słodka...*

...słodka jak zemsta. Ja wprawdzie mściwa nie jestem, mam wystarczająco wiele innych problemów, a o krzywdach zapominam szybko, ale raz, zupełnie niechcący, zasmakowałam słodczy zemsty. Zemściłam się na Milanie Knižáku, tym malarzu.

Jakieś dwanaście lat temu powiedział o mnie w telewizji, że tworzę sztukę niską. Jak to dokładnie szło? Moment, mam jego megawypowiedź zanotowaną między przepisami... A więc: „Każdy kraj, każdy naród, każde społeczeństwo ma pewną określoną liczbę osób, które interesuje sztuka niska, ale nic się nie da na to poradzić. Na ekranie i tak bezustannie będziemy oglądać Karela Gotta i Helenę Vondrackovą, ponieważ - krótko mówiąc - tłumy ludzi tych ludzi, tych zabawiaczy potrzebują, chociaż moim zdaniem jest to sztuka co najmniej niska”. Właśnie. Dzisiaj już nie wiem, co mnie wtedy w tej wypowiedzi tak zirykowało, ale prawda jest taka, że nie mogłam mu tego zapomnieć. Kiedyś Knižák powiedział też o mnie, że mam jałowy, nieciekawny głos, co uznałam nawet za zabawne.

Kilka lat później zostałam zaproszona do „Śniadania w Telewizji Novej”. Kiedy już mnie malowano, dowiedziałam się, że gościem będzie także Knižák. W studiu się minęliśmy i każde z nas udawało, że tego drugiego nie dostrzega, ale na koniec wszyscy mieli się spotkać w jednym studiu. Ja miałam śpiewać, a Knižáka posadzono dokładnie naprzeciwko mnie przy barze. Specjalnie wybrałam najdłuższą piosenkę, bodajże „Dvě malá křídla” [Dwa skrzydełka]. Wykrzykiwałam mu ją prosto w twarz, a w duchu myślałam: „Widzi pan, profesorku, Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! Siedzi pan metr ode mnie, słucha mojego jałowego, nieciekawego głosu i nie ma odwagi wstać i wyjść...”.

*Cebula tymczasem pięknie się zeszkliła, a dzięki papryce dostała przyjemnego czerwonego koloru. Teraz czas wrzucić z powrotem do garnka mięso, które czekało na swoją kolej na talerzyku. Jak tylko zaczniesz puszczać soki, wlewam do garnka jedną trzecią litra mocnego bulionu...*

Sztuka niska... Nie przypominam sobie, żeby w latach sześćdziesiątych ktoś używał tego terminu. Wszystkie rodzaje sztuki zgodnie współhistniały, nikt nikogo nie opluwał, chociaż także wtedy wszyscy chcieli mieć swoje pięć minut. Tylko że chyba ludzie się bardziej lubili i szanowali...

Mnie na przykład lubił i szanował niejaki pan Hůlka z Golčova Jeníkova. Codziennie pisał do mnie listy, w których opowiadał, czym się aktualnie zajmuje i jak się ma jego mama, a na zakończenie zawsze dodawał, że trzyma za mnie kciuki. Za którymś razem mu odpowiedziałam, co okazało się strasznym błędem, ale dopiero później wyjaśnił mi to psychiatra Čimický. Pan Hůlka uznał bowiem, że już mnie ma. „Kochana Helenko”, zaczynał teraz swoje listy, „kiedy wreszcie zbliżymy się w sensie fizycznym?” Nie reagowałam, więc pan Hůlka zaczął być bardziej bezpośredni: „Helenko, ja ci za to mogę zapłacić! Codziennie oddaję do skupu stare butelki, a kiedy zaoszczędzę odpowiednią sumę, wpadnę do ciebie do Pragi (mam prawie nowy motocykl) i urządzimy sobie wspaniały wieczór”.

I pewnego dnia o piątej rano ktoś zaczął wydzierać się pod moim oknem. Wyrzałam. Na chodniku motocykl, a obok facet w skórzanym płaszczu do ziemi. Szybko zrozumiałam, że mam gościa z Golčova Jeníkova. „Spoko, siostrzyczko, obronię cię”, uspokoił mnie brat, który wtedy jeszcze u mnie nocował, i poszedł rozmówić się po męsku z panem Hůlką.

Za jakiś czas w skrzynce znalazłam kopertę ze zdjęciem nagiego mężczyzny trzymającego się za genitalia. Z tyłu była pieczętka: „Ślužby Komunalne Miasta Golčova Jeniko-

va”. No, tak... Złote lata sześćdziesiąte minęły, a nadeszły zdecydowanie mniej przyjemne lata siedemdziesiąte.

Rano rozległ się dzwonek - dwa razy krótko i raz długo. To był nasz rodzinny sygnał: braciszek pewnie wracał z imprezy. Na szczęście ostrzegł mnie szósty zmysł i zapytałam, kto tam.

- Otwierać! - zachrypiał obcy głos, a potem gość straszliwie zaczął walić czymś w drzwi, jakby pałą.

Pobiegłam do telefonu, ale ze strachu i niewyspania nie mogłam sobie przypomnieć numeru na milicję, więc zadzwoniłam do pani Kminkovej, która mieszkała naprzeciwko i sprzątała u nas.

- Dobrze, już dzwonię na milicję - obiecała przestraszona. - To okropne walenie słychać aż tutaj, niech pani wytrzyma! Niech się pani schowa pod łóżko!

Milicja przybyła za pięć dwunasta i walenie ustało w jednej chwili, a w korytarzu usłyszałam zmęczony męski głos:

- A, pan Syřiště, stary znajomy. Bierzemy więc dowód rzeczowy i idziemy.

Długo uspokajałyśmy się z panią Kminkovą przy kawie.

- A wie pani, Helenko, co to jest ten dowód rzeczowy?  
- zapytała sąsiadka i zaraz odpowiedziała: - Wielgachny drewniany pal!

***Wszystko dusi się cudownie. Dodaję sól, pieprz, kilka kulek nowej przyprawy, cząbry, na który Bułgarzy mówią „czubrica”, i trzy duże ząbki czosnku pokrojone w paski. Uwaga, nie rozgniatać!***

Ten czosnek coś mi przypomniiał... Jak się tamten chłopak nazywał? Rudla? Otík? Zresztą wszystko jedno. Ważne, że się w nim zakochałam. Szaleńczo, jak umie się zakochać dwunastolatka. Poznałam go na obozie pionierskim w Křižanovicach. Niemal co wieczór płakałam z jego powodu w namiocie, a w dzień starałam się go poderwać na gitarę, chociaż znałam tylko trzy czy cztery akordy. „Tęsknie

huczy Niagara, tęsknie huczy w ciemną noc, zawodzi moja gitara, serce woła: «Na pomoc!»...” - zawodziłam w czasie ciszy poobiedniej, wyobrażając sobie, że siedzimy razem przy pełni księżyca na brzegu rzeki i to on śpiewa dla mnie tę piosenkę. Tylko że Rudla czy Otík w ogóle mnie nie zauważał. Miał czternaście lat, więc jakaś dwunastolatka musiała wydawać mu się dzieckiem.

Raz pani nauczycielka Svadlenková, kierowniczką obozu, dała nam zadanie: „Każdy z was przygotowuje prawdziwą traperską herbatę z owoców lasu i to, uwaga, na punkty. Tylko nie zbierajcie tych czerwonych pomidorków, które rosną za kuchnią, i nie pomylicie wilczej jagody z prawdziwymi jagodami. Możecie na przykład narwać liści malin albo uszczknąć końcówki młodych świerkowych gałązek, które pięknie pachną zalane wrzątkiem. Każdy z was musi też jakoś oryginalnie nazwać swój przepis, za to też są punkty. Próba smakowa za godzinę. Rozejść się!”

Podjęłam decyzję, że skoro na Rudlę czy Otíka nie działa gitara, poderwę go na herbatę. I kiedy wszyscy zajęci byli obcinaniem młodych świerkowych gałązek, ja wybrałam się na pole, gdzie rósł dziki czosnek. Natka czosnku pachniała cudownie, dla pewności dorzuciłam jednak jeszcze kilka niedojrzałych ząbków. Swoją herbatkę nazwałam Tajemnica miłości Heleny.

Godzinę później kubki krążyły z rąk do rąk i każdy musiał coś powiedzieć o każdym przepisie. Ostatnia napójów kosztowała nauczycielka i zapisywała liczbę punktów. Wszystkie herbaty smakowały tak samo, tylko moja była całkiem inna. Czekałam w napięciu, aż zawędruje do Rudli czy Otíka. „Cholera, a to co? Trutka na szczury?” - parsknął Rudla albo Otík. „Ja bym to nazwał Miłosna zupa czosnkowa Heleny!”

Wszyscy się śmiali. Gdyby tylko wiedział, że złamał mi serce, gnojek jeden...

*Wrzucam do tego sześć łyżek przecieru pomidorowego, zamykam garnek pokrywką i duszę...*

Nie lubię puszek z przecierem pomidorowym. Wycina człowiek otwieraczem wieczko, a kiedy stara się je potem podnieść nożem albo łyżką, zawsze zapaćka całą kuchnię i siebie. No, proszę, już mam plamę na bluzce.

Ciekawi mnie, jak by sobie poradził z tą konserwą Karel. Mam na myśli Gotta, rzecz jasna. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby otwierał jakąś puszkę. Jest cudownie niepraktyczny. Kiedy siadamy razem do stołu, to mogę być pewna, że zaraz powie z tą swoją dykcją nie do podrobienia: „I co ja teraz zrobię? Znowu się zachla-pałem cały...”. A kiedy będę skręcać się ze śmiechu, zapyta jeszcze zdesperowany: „Tobie też się tak zdarza czy tylko mnie?”.

Karel zachowuje się czasem jak dziecko. Mieliśmy raz koncert w Przerowie, po którym zaproszono nas na bankiet. Karel popijał piwo, wygłaszał swoje teorie o ogólnoświatowym spisku rządowym i co chwila spoglądał na zegarek, że niby musiał wracać jeszcze tej nocy do Pragi. Jego kierowca miał straszną ochotę na piwo, ale Karel mu powtarzał:

- Nie, Olda, zaraz jedziemy, mam mnóstwo rzeczy do zrobienia w domu, piwo zostaw sobie na kiedy indziej...

- Daj spokój - powiedziałam. - Jutro śpiewamy w Brnie, to kilka kilometrów stąd. Chyba nie pojedziesz teraz do Pragi, żeby rano tu wrócić?

Minęła dwunasta, potem pierwsza w nocy, a Karel stale siedział i perorował. O drugiej wreszcie namówiłam go, żeby nigdzie nie jechał. Zgodził się niechętnie, bo nie miał ze sobą nic do spania ani szczoteczki do zębów... Zadecydowałam za niego:

- To raz się prześpisz nago, świat się nie zawali, a szczotczkę i pastę kupisz w recepcji w hotelu.

- Masz rację - przyznał po chwili wahania. - Wiesz co, Olda? Możesz już teraz pić, ile chcesz.

O dziesiątej rano w moim pokoju zadzwonił telefon. Karel.



- Dzień dobry, słuchaj, muszę cię o coś spytać... - wyszeptał do słuchawki. - Stoję właśnie obok recepcji, gdzie kupiłem szczoteczkę i pastę. Ale mam problem: tej pasty w ogóle nie da się otworzyć. Ma taką plombę czy coś. Próbuję to otworzyć na tysiąc sposobów i nie udaje mi się za nic, a nie chcę się zbłaźnić przed dziewczynami z recepcji...

Z trudem powstrzymywałam śmiech.

- Słuchaj, Karel, masz tę zakrętkę od pasty? Widzisz tam taki dzióbek? To teraz musisz nadziać ten dzióbek na tę plombę, jak ją nazywasz...

- No nie mów - zdębiał. - To niemożliwe, żeby to było takie proste... Ale sama powiedz: czy nie mogli dołączyć do tego jakiejś instrukcji obsługi, żebym się nie czuł jak idiota?

To mnie rozwaliło. Rzuciłam się na łóżko i śmiałam do łez przez kilka minut.

*Mięso już ślicznie zmiękło. Wspaniale. A teraz finał. Dolewam do garnka szklankę czerwonego wina i dorzucam osiem liści laurowych. O, tak, w kawarnie musi być dużo wawrzynu. Za pięć, siedem minut będzie gotowe...*

„Tego nie wymyślisz, to musisz przećwiczyć”, mawia Karel, który miał mnóstwo przygód i umie zabawiać opowieściami o nich towarzystwo nawet przez całą noc. A mnie umie czasem rozbawić i bez opowiadania.

Kiedyś mieliśmy serię wspólnych koncertów dla rodaków w Australii i mieszkaliśmy z Karelem, jego partnerką Ivaną oraz moim mężem Martinem w jednym apartamencie. Wstałam raz rano i widzę, że Karel grzebie coś w przedpokoju. Potargany i w samych majtkach stoi z pogniecioną koszulą przy desce do prasowania i się wścieka.

- Puść mnie, sama to wyprasuję, ty się lepiej napij kawy - zaproponowałam.

- Co to za materiał! - Denerwował się po cichu, żeby nie zbudzić pozostałych. - Z czego oni to szyją, że wyprasować tego nie można?

Wzięłam żelazko do ręki. Było zimne.

- Przecież nie wsadziłeś wtyczki do kontaktu...
- Naprawdę? Nie wsadziłem?-zdziwił się szczerze Karol.
- Tego nie wymyślisz, to musisz przeciwwić.

... i *podam to z gotowanymi ziemniakami.*

## JÁ PŮJDU DÁL

JÁ NA TO MÁM A PŮJDU DÁL,  
I KDYŽ UŽ NENÍ MOC JÍT KAM,  
I KDYŽ MOC NENÍ O CO STÁT,  
JÁ MÁM STEJNĚ SÍLU VSTÁT,  
JÁ MÁM STEJNĚ SÍLU ŘÍCT:  
JÁ PŮJDU DÁL!

FREDERICK J. PETTEN, HANA SOROSOVÁ,  
„JÁ PŮJDU DÁL“

## JA PÓJDE DALEJ

MNIE NA TO STAĆ I PÓJDE DALEJ,  
CHOCIAŻ JUŻ NIE MA DOKĄD IŚĆ,  
CHOĆ NIE MA SIĘ JUŻ O CO BIĆ,  
JA JEDNAK SIĘ MAM, BY WSTAĆ,  
JA JEDNAK SIĘ MAM, BY RZEC:  
JA PÓJDE DALEJ!

## ZAKŁĘCIE „NEMORINO”

Do sali weszła pielęgniarka, otworzyła okno i wyjrzała.

- Jest dobrze - wyszeptwała jak spiskowiec albo gangster z tandetnego kryminału i wesoło puściła do mnie oko.

- Żadnych dziennikarzy na horyzoncie, żadnych fotografów. Pani już spakowana?

Od rana starałam się zebrać swoje rzeczy, ale jakoś mi to nie wychodziło. Do szpitala przyszłam z dwiema torbami, a wyjde już chyba z czterema. W ciągu tych kilku dni, kiedy leżałam na oddziale ginekologiczno-położniczym w szpitalu w Mělniku, Martin odwiedził mnie z pięć razy i za każdym razem przynosił mi coś do ubrania. Jakby się bał, że zamarznę tutaj w środku lata. Chociaż mój pokój do złudzenia przypomina... krematorium. Wszędzie mnóstwo kwiatów, niektóre już wprawdzie nieco zwiędły, ale żal mi było je wyrzucić. Dwa dni po operacji obchodziłam imieniny, a pielęgniarki nie nadązały z przyjmowaniem bukietów od znajomych i nieznanym.

- Przedwczoraj węszył u nas taki jeden z gazety. Niech sobie pani wyobrazi, że dostał się aż pod pani drzwi - relacjonowała siostra, dolewając wody do wazonów i wazoników. - Nawet się nie ukrywał, paradował po korytarzu z aparatem i miał na tyle bezczelności, że zapytał mnie, czy nie wiem, gdzie leży pani Vondráčková. Powiedziałam mu, żeby się stąd zabierał, a on wyciągnął z kieszeni pięć stów... - Spojrzała na mnie badawczo, co ja na to.

Uśmiechnęłam się i zrobiłam zaciekawioną minę.

- Jasne, że ich nie wzięłam - podsumowała swoją opowieść. -Ja hieną nie jestem. Ale zanim zdołałam go wyrzucić, zdążył sfotografować te drzwi - dodała z irytacją.

Prawdę powiedziawszy, nie sądziłam, że dziennikarze mnie tu wyniuchają. Zaskoczyło to też personel. Takiego zamieszania dawno tu nie było. Wokół szpitala bez przerwy krążyła czerwona skoda, a doktorzy i siostry musieli mieć wrażenie, że znaleźli się w jakimś filmie szpiegowskim. To miejsce poleciła mi koleżanka lekarka, która знаła tutejszego ordynatora i opowiadała mi z zachwytem, jakie będę mieć tu spokój, komfort i wygodę. Co do tego miała rację, oddział ginekologiczny wygląda wspaniale, jakby to był hotel. W pokojach meble z prawdziwego drewna - żadnych stalowych szafek czy metalowych łóżek jak w lazarecie czy obozie.

Kiedy przyjechałam do Mělníka na pierwsze badanie

- a wyniki nie były dobre i dwa dni chodziłam z duszą na ramieniu - wierzyłam, że będę mieć tu spokój. Gdy jednak potem wychodziliśmy z Martinem z budynku, zaraz przyplątała się jakaś pani i zaczęła wykrzykiwać na cały głos: „Ach, pani Vondráčková, prawda, że to pani?!”. I zaraz mnie dobiła: „Bo po mężu panią poznałam”.

O mało się nie rozplakałam. Chwilę wcześniej lekarz poinformował mnie, że bez operacji się nie obędzie, a teraz jeszcze to. Martin chciał ją zabić wzrokiem, ale w końcu dal spokój. Już za moment jednak zdenerwował się nie na żarty. Obok krawężnika siedziała banda nastolatków, która od razu zaczęła skandować moje imię...

- My nikomu nie powiedzieliśmy, że pani tu jest - powiedziała siostra, jakby czytała w moich myślach. - To musiał być ktoś z zewnątrz. My umiemy milczeć jak grób.

- Wiem - pocieszyłam ją. - Może zostawię tu kwiaty? Nie zabiorę ich wszystkich, a żal je wyrzucić.

- To bardzo miło z pani strony. Dziewczyny się ucieszą - uśmiechnęła się i wyszła.

Z trudem podniosłam się z łóżka i podeszłam do lustra. Otworzyłam szeroko usta i wysunęłam język. Wyglądało na to, że migdalki są już w porządku. Spróbowałam wziąć

ton i zaśpiewać oktawę. Dźwięk, który wydobył się z mojego gardła, przeraził mnie. Niemal nie poznałam własnego głosu. Dolne tony miały chrypiącą barwę, jakbym paliła po czterdzieści papierosów dziennie, a dźwięczne wysokie zupełnie zanikły. Przyszedł mi na myśl profesor Karenin, który wiele lat temu uczył mnie śpiewać.

- Struny głosowe to mięsień jak każdy inny - mawiał z twardym rosyjskim akcentem, którego nie pozbył się pomimo wielu lat spędzonych w Czechach. - Jeśli nie będzie ich pani codziennie trenować, sflaczeją.

Jego metody nauczania początkowo wydawały mi się nudne, a nawet śmieszne. Uważałam już siebie za piosenkarkę, a on tymczasem kazał mi godzinę śpiewać w kółko: „Hmmm - mmm - mmmhmmm...”. Podobno po to, żeby jama nosowa i ustna odpowiednio rezonowały. A kiedy sądziłam już, że weźmiemy się wreszcie do jakiejś normalnej piosenki, rozkazał:

- A teraz niech pani zaśpiewa to: „nemorino - gongingon - nemorino - gongingon...”. I niech pani otwiera szerzej buzię. Każda głoska jest ważna!

Do dzisiaj widzę go oczami wyobraźni, jak siedzi przy pianinie, rozmarzony, lekko i z rozkoszą dotyka klawiszy, jakbyśmy uprawiali Bóg wie jaką sztukę, a ja terkoczę jak katarynka: „Liście lipy skrył listopad - liście lipy skrył listopad - Marzena noże ostrzyła - liście lipy skrył listopad...”.

Zadzwoniła komórka. Doczłapałam się do stolika nocnego, włożyłam okulary i spojrzałam na wyświetlacz. Jirka, mój brat! Nie wierzyłam własnym oczom! Kiedy ostatni raz do mnie dzwonił? Rok temu? Półtora?

- Halo - powiedziałam jakby nigdy nic.

- Cześć, to ja, Jirka... - zaczął niepewnie. - Przeczytałem.. w gazecie czytałem, że chora jesteś, leżysz w szpitalu, więc dzwonię... - jękał się i płątał. - Wszystko w porządku?

- Dzięki za troskę. Chyba wszystko będzie dobrze.

- To fajnie. To wracaj szybko do zdrowia. Cześć...

- Cześć - powiedziałam cicho i rzuciłam komórkę na koidrę.

Ta krótka rozmowa rozłożyła mnie na łopatki. Co takiego się stało, że zadzwonił? Może naprawdę się przełamał,

jak przepowiadała wróżka, albo dowiedział się z gazety, że jestem o krok od śmierci? Nawet bym się nie zdziwiła, gdyby coś takiego napisali! Żeby już stąd wreszcie wyjść!

Usiadłam do stołu, wyspałam do miski trochę miisli i wlałam jogurt. Właściwie nie miałam ochoty jeść, ale chciałam zająć czymś ręce, żeby nie myśleć o bracie i o tym wszystkim, co się między nami stało. Jedzenia miisli nauczyła mnie dawno temu mama. Jeszcze w czasach, kiedy zdrowe i obfite śniadanie oznaczało parówki z musztardą, bo „przecież w mięsie jest białko”. Mama wmuszała we mnie wtedy płatki owsiane z jabłkami, miodem, cytryną i jogurtem. Nie znosiłam ich, ale przyzwyczaiłam się. Dzisiaj jem już nawet kotlety z soi, na które wcześniej nie mogłam patrzeć.

Hmmm... mmm... - wzięłam głęboki ton. Najpierw mormorando z zamkniętymi ustami. Mmmhmmm... Mm-mhmmm... Już to zaczyna jakoś brzmieć. Nemorino... Gongingon... Nemorino... Podniosłam się, przespacerowałam do drzwi i z powrotem do okna... Może to śmieszna katarzynka, ale działa. Nemorino... Gongingon... Muszę przecież jakoś rozśpiewać to bolące gardło! Nemorino... Gongingon... Profesor Smoláková, do której do dziś chodzę na lekcje, twierdzi, że gdybym śpiewała w operze, mogłabym wykonywać i partie altowe, i sopranowe. Muszę się postarać. Liście lipy skrył listopad... Marzena noże ostrzyła... Nemorino...

Ktoś zapukał do drzwi. W szparze najpierw pojawiła się ręka z kwiatami, a potem cały Martin. Dał mi buziaka.

- Spakowana?

Zerknęłam na góry ubrań leżących na krzesłach, stole i łóżku i wzruszyłam tylko ramionami.

- Nie szkodzi, sam to spakuję i zniosę do samochodu. Ty nic ciężkiego nie podnoś. Siadaj i niczym się nie przejmuj.

Przysiadłam na łóżku i sięgnęłam do nocnego stolika po rzecz, której spakować nie zamierzałam - biały kamień mamy. Chciałam trzymać go w ręku, jak będę stąd wychodzić.

- Gongingon... Nemorino... - mruczałam półgłosem i obserwowałam kamyk pod światło.

Przypomniałam sobie, jak mama jeździła na obozy jogi i jak chodząc po wsiach, chórem wyśpiewywali na nich

przeciągłe „ooommm”... Wtedy mnie to śmieszyło, dzisiaj więcej już z tego rozumiem. Przecież ja właściwie robię teraz to samo. Nie maszeruję wprawdzie po lesie i nie mrużę „om”, ale siedzę na łóżku i powtarzam zakłęcie nemorino...

- Idziemy? - wybił mnie z zamyślenia Martin. - Rzeczy są już w samochodzie, wyniki odebrałem, kwiaty... Właśnie, co z kwiatami? Bierzesz?

- Zostawiamy je. Wezmę tylko te róże od ciebie.

Zanim opuściłam pokój definitywnie, urwałam dwa uschnięte liście bananowca i podlałam go. No to cześć! Poszliśmy.

Przy szklanych drzwiach w korytarzu odwróciłam się jeszcze i pomachałam pielęgniarce. Pokazała mi podniesiony kciuk. Kiedy dziękowałam personelowi, ordynator zastrzegł, że przy wychodzeniu ze szpitala nie mówi się „do widzenia”, tylko „żegnaj”. Wprawdzie czułam się tutaj jak w uzdrowisku, ale i tak wrócić bym tu nie chciała.

Martin postanowił, że wyjdziemy tylnymi drzwiami, dyskretnie. Głównego wejścia podobno bez przerwy pilnowała czerwona skoda z fotografem, ale z tyłu było chyba pusto.

Gongingon... Nemorino... Wyszliśmy na dwór, a ja ciągle mrużałam to zakłęcie, które pozwalało mi wrócić powoli do normalności. I ściszałam biały kamień mamy odganiający wszelkie zło. Wystawiłam twarz do słońca. Wreszcie do domu!

Kątem oka zauważyłam, jak ze srebrnego samochodu stojącego obok wysiada facet z aparatem i zaczyna cykać zdjęcia jak szalony.

- Witaj w normalnym życiu - wycedził sarkastycznie Martin i pomógł mi wsiąść do auta.

Naprzeciwko nas, za płotem przedszkola, coś się poruszyło. Błysnęły flesze. Ale w środku czułam się spokojna. Przynajmniej w tej chwili byłam pogodzona z całym światem.

Nemorino... Gongingon... Nemorino...



## JEN PÁR MOŘÍ

KDYŽ NA NÁS PŘÍJDOU CHVÍLE ZLÉ,  
MÁME SVŮJ ZPŮSOB, JAK JE SKRÝT,  
I KDYŽ VŠECHNO KOLEM BOUŘÍ,  
NA JEDNÉ VLNĚ MŮŽEM BÝT.

JOHN CAPEK, ADAM SUCHÝ, „JEN PÁR MOŘÍ“

## TYLKO KILKA MÓRZ

GDY NAS DOPADNĄ CHWILE ZŁE,  
MAMY SWÓJ SPOSÓB, JAK TO SKRYĆ,  
CHOCIAŻ SIĘ WSZYSTKO WOKÓŁ BURZY,  
NA JEDNEJ FALI CHCEMY BYĆ.

## TREMA

To ta królewna. - Mama wskazała na mnie i przytuliła córeczkę.

Dziewczynka popatrzyła w moją stronę nieśmiało, zrobiła krok do przodu, potem zaraz znowu do tyłu i wtuliła się w bluzkę mamusi.

- Co jest, Klárka? - kucnęła, spojrzała na mnie przepraszająco, szepcząc coś dziecku do ucha. Dobiegło mnie tylko kilka słów: - ...nie bój się, przecież to królewna Helena...

Cała trójka stała przed moim domem w Ritce już dobrych dwadzieścia minut. Mama, tata i blondyneczka, która mogła mieć jakieś dziewięć lat i bardziej przypominała królową niż ja. Zwróciłam na nich uwagę, kiedy pakowałam torby do samochodu. Przyszli pewnie po autograf.

Przyjeżdżają tutaj czasem takie rodziniki. Najczęściej popatrzą tylko na dom z daleka, zaczekają, czy nie wyjdę przypadkiem. Rzadziej ośmielają się na tyle, żeby zadzwonić i poprosić o podpisanie zdjęcia albo płyty. Przyzwyczaiłam się, nie przeszkadza mi to. Niektórzy się dziwią, że na dzwonku jest moje nazwisko, więc każdy - czy to kolekcjoner autografów, czy złodziej, czy zboczeniec - wie, gdzie iść. Ale spróbujcie żyć we wsi incognito. Jasne, gdybym tylko chciała, mogłabym ogrodzić dom wielkim murem, nazwać tę fortecę „Ranczo Neverland” albo „Willa Yilekula” i zainstalować wszędzie kamery. Patrzą niekiedy

ze zgorzeniem, ile w naszej wsi takich Neverlandów i Vilekul wyrosło. I zawsze, gdy przechodzę koło nich na spacerze z Liżą, zastanawiam się, co takiego straszliwego ci ludzie ukrywają, że muszą żyć za wysokim parkanem z cegieł.

- Boisz się mnie? - zwróciłam się do małej, która nadal wciskała buzię w bluzkę mamy.

- Proszę nam wybaczyć - odpowiedziała z zakłopotaniem mama - że panią zatrzymujemy, ale... Klára chciała panią poprosić... No, powiedz to sama... O co chcesz poprosić królownę Helenę?

- Ona by chciała podpisać tylko - wciął się tata i niecierpliwie wepchnął dziewczynce w rękę pamiętnik.

- Mogę zobaczyć? - Wyciągnęłam rękę.

Klára podała mi zeszytek, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem, i znowu przytuliła się do maminej bluzki.

Pamiętnik miał czerwoną aksamitną okładkę, a na pierwszej stronie kaligraficznie wypisaną dedykację: „Dzielną czeska dziewczyna nie płacze i losu nie przeklina. Dla Klárinki od babci”. A pod tym koślawy rysunek kotka w stylu ilustracji Heleny Zmatlíkovéj. Uśmiechnęłam się do siebie. Miałam kiedyś podobny pamiętnik, myślę, że na pierwszej stronie był nawet taki sam wierszyk, który już wtedy był staroświecki, rodem z dziewiętnastego wieku. Tylko że mnie nie wpisała go babcia, ale nasza pani ze szkoły, a zamiast kotka był chyba rysunek pucułowatego aniołka obejmującego szalającą. A mówią, że czasy się zmieniły! Pamiętniki jednak są takie same jak dawniej.

- Gdyby była pani taka miła... - odezwała się mama

- kilka stron dalej jest pani zdjęcie, gdyby mogła się pani pod nim podpisać...

Przekartkowałam pamiętnik i znalazłam swoją starą fotografię wyciętą z jakiegoś kolorowego magazynu. Widniejąc na niej jako szalenie smutna królowna, noszę czarną sukienkę z woalką i wyglądam... no, szalenie smutno. Na kolejnej stronie była naklejka i podpis: „Drogi Klárce wkleił na pamiątkę zły rysownik Vojtěch”. Więc jednak te pamiętniki trochę się zmieniły. Kiedyś trzeba było coś narysować niezależnie od tego, czy się umiało.

Podpisałam się pod fotografią - ale jako Helena, nie „królowna Helena”, bo moje królewskie panowanie dawno już się przecież skończyło. Mama podziękowała w imieniu córki i dodała:

- Nie chcielibyśmy pani zatrzymywać, ale czy Klárunia nie mogłaby zrobić sobie z panią zdjęcia?

- Ależ oczywiście - zgodziłam się i złapałam dziewczynkę za rękę. - Teraz już się mnie nie boisz?

Klára wreszcie odlepiła się od mamy. Trzymając ją za rękę, czułam jej drżenie i chciałam ją uspokoić - bo przecież była już duża i nie będzie mieć tremy przed żadną Vondrackową. Ale mała trzęsła się coraz bardziej, a ja się bałam, że zaraz zemdleje.

Jak tylko tata zrobił nam zdjęcie, uciekła ode mnie z powrotem do mamy i rozszlochala się.

- Bardzo dziękujemy i przepraszamy za kłopot - łagodził sytuację tata.

- Przyjemność po mojej stronie. Pozdrowienia dla babci  
- pomachałam i wsiałam do samochodu.

\*

Samolot odlatywał dopiero za trzy godziny, miałam więc mnóstwo czasu. Nieczęsto mi się to zdarza. Przed każdą podróżą wstaję wcześniej, żeby sprawdzić jeszcze raz wszystkie walizki i torby, ale i tak zawsze się wracam, bo zapominam najważniejszego. Zazwyczaj zostaje na pianinie na środku pokoju. I zazwyczaj jest to paszport, który wieczorem kładę na wierzchu, żeby w żadnym wypadku o nim nie zapomnieć.

Tym razem mam i paszport, i teksty piosenek, i discmana, i CD z podkładami muzycznymi... i więcej właściwie nie jest mi potrzebne. Jadę do Belgii tylko na trzy dni, cały czas będę siedzieć w studiu, więc suknie wieczorowe i te wszystkie eleganckie bambetle mogłam spokojnie zostawić w domu. Mam ten luksus, że nigdzie gnać nie muszę... A na dodatek wyjazdówka na Strakonice jest puściutka, chociaż zazwyczaj sięga się tu człowiek z tirami, które pró-

bują wyprzedzać na zapas, żeby zyskać na czasie, bo wiedzą, że zaraz staną na dobre na moście Barrandowskim albo na Smichowie.

Puściłam piosenkę „Já vítám déš” [Witam deszcz]. Była już nagrana, tylko mojego głosu w niej brakowało. Zaczęłam śpiewać:

Chmury nadciągają,  
barometr idzie w dół,  
wyjdź, dziewczyno, na deszcz,  
nie opieraj się mu...

Jak to dalej leci? Przecież uczyłam się tego wczoraj przez cały dzień. To zaskakujące, że melodie same wpadają mi do głowy, a z tekstami walczę długo. Ale nie z powodu wieku, zawsze tak miałam. Już kiedy uczyłam się roli królowny Heleny... Aha, ten refren to pamiętam:

Ja witam deszcz, alleluja!  
Ja witam deszcz, amen!

Nie mogłam się skoncentrować. Myślałam o tej małej, którą rodzice przywieźli pod mój dom, żeby zobaczyła swoją królowną. Dlaczego aż tak się bała? Już dawno zauważyłam, że nawet dorośli przychodzący do mnie po autograf odczuwają czasem tremę. Płaczą się i nie mogą powiedzieć, po co przyszli, więc tylko podsuwają mi pod nos papier i długopis.

Ale w tej małej było coś innego. To nie była zwykła trema, ale prawdziwy strach. Strach przed tym, że świat, w który wierzyła, nie istnieje. Dlaczego królowna Helena nie ma dwudziestu lat? Dlaczego nawet nie wygląda jak prawdziwa królowna? Dlaczego nie mieszka w jakimś zamku, tylko we wsi w środkowych Czechach? Dlaczego chodzi w dżinsach, jeździ samochodem, a nie kareta i dlaczego, na miły Bóg, sama wkłada do bagażnika walizkę i torby podróżne? To nie tak miało być!

Całkowicie to rozumiem i zupełnie się nie dziwię ani dziewczynce, ani jej lękowi.

Kiedy kręciliśmy film „Šíleně smutná princezna” [Szalenie smutna królowna], miałam podobne odczucia, a miałam już wtedy dwadzieścia, a nie dziewięć lat. Przeczytałam scenariusz i nie mogłam pozbyć się wrażenia, że wszyscy mnie tu oszukują. Znałam z książek mnóstwo królowien - smutnych, psotnych, złotowłosych, zaklętych - ale to były wyłącznie postacie z bajek. Prawdziwą królowną była dla mnie tylko Krasomila z „Dumnej królowny”. Jedyne prawdziwa królowna na całym świecie! Od dzieciństwa chciałam być taka jak ona: dostojna, krucha, piękna, dumna, wyleczona z dumy przez wielką miłość, szczęśliwa do końca życia... A w scenariuszu czytałam o zwykłej dziewczynie, której miejsce jest raczej w stajni niż w zamku. Żadna z niej smutna dama, tylko chłopczyca i urwiska, a na dodatek imię miała takie pospolite - Helena. A kiedy usłyszałam piosenki, które mieliśmy w tym filmie wykonać z Vaškem Neckářem, jeszcze bardziej wytrąciło mnie to z równowagi. Były zupełnie niebaśniowe. Ich jazzowe zabarwienie samo w sobie nie było takie złe, ale w porównaniu ze ścieżką muzyczną do „Dumnej królowny” nieromantyczne... Wydawały mi się skomplikowane, nie do zapamiętania i byłam przekonana, że się nie spodobają.

„Szalenie smutną królownę” kręciliśmy partiami, a ja nie umiałam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać w całości. Poza tym miałam wielką treść, że nie poradzę sobie z rolą, którą powierzył mi reżyser Bořivoj Zeman. Neckar w roli królewicza czuł się jak ryba w wodzie, a ja jak przed plutonem egzekucyjnym. Nie byłam po szkole aktorskiej, nie potrafiłam płakać na rozkaz, więc co chwila przybiegał do mnie charakteryzator i wpuszczał mi do oczu sztuczne łzy, które nie piekły, nie były słone, ale i nie bolały jak prawdziwe.

Wydawałam się samej sobie taka... mało bajkowa. A właściwie za mało bajkową uważałam całą opowieść. Trochę mnie tylko uspokajało, że przynajmniej sukienkę mam wspaniałą. Pożyczyłam ją później na festiwal w Rio de Janeiro, gdzie zasiadałam w jury. Błyszczałam w niej na przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej, a potem na see-

nie zapowiadałam Karela Gotta, który startował tam w konkursie.

Mimo to „Szalenie smutna królowa” przetrwała czterdzieści lat. Nie dała się odłożyć na półkę, chociaż kompozytor muzyki do niej, Jan Hammer, wyemigrował na Zachód, a jego nazwisko musiało zniknąć z listy twórców. I stał się jeszcze jeden cud: przesiąknięte jazzem i na swój sposób niełatwe piosenki ludzie śpiewają do dziś, uproszczone, po swojemu, ale śpiewają. Słyszałam raz, jak banda dorosłych facetów wykonywała jedną z nich chórem pod parasolem w ogródku restauracyjnym.

Puściłam głośniejszy odtwarzacz:

Mówię: większe krople i tylko gęstwina,  
Jestem wyschnięta jak pustynia!

Brzmi to świetnie nawet w samochodzie...

- Dzień dobry, co podać?
- Poproszę wodę. Niegazowaną.

Kelner w restauracji na lotnisku Ruzyně nie poddał się tak od razu:

- Już się robi. Wodę. I coś jeszcze? Dobrze, tylko wodę.

Może mnie pamiętał i wiedział, że czasem lubię napić się wina musującego przed startem. Tylko że tym razem muszę mieć trzeźwą głowę. Koło południa będę w Brukseli i chcę od razu wejść do studia. Czyli za jakieś cztery godziny stanę przed mikrofonem, a do tego czasu mam jeszcze mnóstwo roboty.

Rozłożyłam na stoliku teksty piosenek z notatkami, w których tylko ja się orientuję. Kelner przyniósł wodę i dyskretnie rzucił okiem na papiery. Pewnie sobie pomyślał, że na stare lata zostałam kryptologiem. Nad tymi moimi kreskami, numerkami i skrótami kręcą głową z niedowierzaniem także producenci i reżyserzy dźwiękowi. Ja jednak ten pozorny chaos nazywam gruntownym przygotowaniem.

Zanim w wieku siedemnastu lat po raz pierwszy weszłam do studia nagrań, tata poświęcił godziny na próby ze mną. Uważał, że byłby to wstyd dla całej rodziny, gdybym ostatecznie okazała się nieprzygotowana. Rozpisał mi więc moją partię i kazał przy pianinie uczyć się melodii do skutku. Potem wspólnie wymyślaliśmy jakieś ozdobniki i zawijasy, których nie da się raczej zapisać nutami. Notowałam je właśnie za pomocą tych skrótów, kropek, kresek i numerków. Tata nie dawał mi spokoju, dopóki nie wykonałam danej piosenki bezbłędnie co najmniej pięć razy z rzędu. Przyzwyczaiłam się z czasem do tego sposobu pracy i do dzisiaj dziękuję ojcu za tę szkołę. „Kiedy coś robisz, rób to porządnie!” - powtarzał często. Tylko że czasy się zmieniły i wchodzenie do studia z plikiem nut pod pachą jest trochę... niemodne. Piosenek uczę się więc najczęściej z nagrania demo albo w domu gram je sobie na pianinie do skutku, a trudniejsze fragmenty tylko zaznaczam w tekście.

Tak się wgłębiłam w notatki, że nawet nie zauważyłam, że śpiewam pod nosem. Przy stoliku obok siedzieli dwaj biznesmeni w granatowych garniturach. Mój śpiew wyrwał ich z dyskusji, ale chyba też i rozbawił, bo podnieśli obaj kciuki i z minami spiskowców pokiwali z uznaniem głowami.

Terminal nie jest dobrym miejscem do zakuwania. Lepiej do tego nadawał się pociąg, którym jeździłam do Bratysławy na próby musicalu „Hello, Dolly!”. Tam przynajmniej można było zaszyć się w przedziale, ponucić sobie, jak była taka potrzeba, i nikt cię nie słyszał. Poza tym, gdyby nie ten pospieszny, kto wie, czy kiedykolwiek nauczyłabym się roli Dolly. W domu tekst za nic nie chciał mi wejść do głowy. Dodatkowym utrudnieniem zaś było to, że moja postać mówiła po czesku, a nie po słowacku. Po dwóch tygodniach ostrego kucia nie pamiętałam więc ani słowa, a próby wydawały mi się niekończącymi się torturami. Wkrótce też zaczęło pobolewać mnie biodro i nawet chodzić nie mogłam, a co dopiero tańczyć. Po nocach śniło mi się, że kuleję, wchodząc na scenę, nie wiem, kiedy mam



zacząć swoją partię i co powiedzieć, a sala mnie wygwizduje... Wpadłam w panikę i podjęłam decyzję, że się poddam. Poszłam po próbie do reżysera Milana Łasicy i powiedziałam: „Mam wrażenie, Milan, że nie powinnam w tym grać. Tekst nie wchodzi mi do głowy, a jak już wejdzie, to go szybko zapominam. Może damy sobie spokój już teraz, kiedy jeszcze możesz znaleźć na moje miejsce kogoś innego?”. Milan po ojcowsku poklepał mnie po ramieniu: „Spokojnie, wszystko się ułoży”.

Przypomniałam sobie wtedy Bohuša Zahorskiego. Mądrego króla Dobromysła, który dawno, dawno temu tak samo zaklinał dwudziestoletnią królową Helenę, żeby się nie bała i nie wątpiła we własne siły. Dobromysła, który podczas przerwy w zdjęciach zabrał mnie do gospody, kupił mi oranżadę w proszku i zapewniał, że jestem wspaniała i że o mojej królowej ludzie długo będą pamiętać...

Zdjęłam słuchawki, spakowałam pomazane kartki i skierowałam się do kelnera.

- Poproszę rachunek.

-Już się robi... Jedna niegazowana, to będzie równe osiemdziesiąt dziewięć koron.

Wsiadłam do samolotu jako jedna z pierwszych. Usadziłam się obok okna, zanurzyłam w papierach i przestałam rozglądać dookoła.

Czuję w rymach echo moich snów,  
dzieciństwa ślad, dawnych piosenek,  
a ja odpływam.  
Już piąta wybiła...

- Dzień dobry, o, pardon - piskliwy głos z morawskim akcentem wyrwał mnie z zasłuchania.

Obok mnie usiedli dwaj faceci w granatowych garniturach.

- Uczy się pani tekstów? - zainteresował się ten o tu-

balnym głose, a jego kolega rzuci! mu niechętnie spojrzenie.

- O, tak, zawsze do ostatniej chwili... - stwierdziłam, chociaż nie powinnam tego mówić, a już na pewno uśmiechać się do niego, bo uznał, że mam ochotę na pogawędkę.

- Ja też wszystko robię na ostatnią chwilę. Przecież to jasne, że jak się człowiek spręży, to ze wszystkim zdąży...

- zaczął, a kolega zaraz szturchnął go łokciem i po brneńsku zagadał:

- Zostaw w spokoju panią Vondrackową. Nie rozumiesz, że wkuwa?

Drugi zamilkł na chwilę, ale długo to nie trwało:

- Pani też do Brukseli?

- Tak. - Po tej zwięzłej odpowiedzi czym prędzej włożyłam słuchawki i pogrążyłam się w pracy.

Samba!

Jak trąba powietrzna pruje  
ten rytm szalony...

Kątem oka zarejestrowałam jednak, że facet nie przestał mówić. Zamknęłam więc oczy.

Samba!

Żaden tygrys nie zaatakuje,  
kiedy jest złowiony.  
Hej, samba!

Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam niebiesko-złote pióro, którym wymachiwał mi przed nosem. Wyłączyłam discmana i usłyszałam ostatnie słowa monologu, jaki prowadził ze sobą od dłuższej chwili, nie zauważwszy, że go nie słucham.

- ...superowo by było, gdyby była pani taka dobra i tu, na bilecie...

- Przepraszam, nie słyszałam, co pan mówił. - Wciąż jeszcze byłam przyjaźnie nastawiona.

Biznesmen wytrzeszczył oczy i zaczął się jękać:

- Py-pytałem, czy-czy mogłaby pani podpisać mi się na bilecie...

- Oczywiście. - Wzięłam pióro do ręki. Usłyszałam, jak ten drugi piszczy:

- Żenadę odstawiasz, stary. Zostaw panią Vondračkovą w spokoju...

Podpisałam i sądziłam, że to załatwi sprawę, ale biznesmen ciągnął wątek:

- To pióro podpisze dzisiaj półmilionowy kontrakt. W euro, rzecz jasna. Lubi pani pióra? To jest waterman Edson Saphire Blue, kosztuje dwadzieścia osiem patyków...

- Daj już spokój, Juro - znowu syknął ten drugi i spróbował zmienić temat: - Ciekawe, kiedy dadzą coś do żarcia? Kiedy leciałem poprzednio do Kijowa, dali tyle, co kot napłakał...

- To będzie pewnie z tysiąc euro - wrócił płynnie do tematu Juro.

- Oj, jak drogo - powiedziałam z wyraźną drwiną i puściłam discmana.

Oczywiste się stało, że niewiele się tu nauczę, ale przynajmniej wsłucham się w piosenkę, którą za kilka godzin będę nagrywać.

Jeszcze rok się nie kończy,  
ściemnia tylko się...

Myśli tymczasem same skierowały się w stronę faceta obok i jego cudownego pióra.

...jeszcze słów mi wystarczy,  
by wspierać cię...

Ja z nim o wiecznych piórach nie pogadam, ale z Jiřim Korném rozumiałyby się świetnie. Tamten uwielbia pióra.

Ćwiczyliśmy raz numer do telewizyjnego sylwestra, a ponieważ zazwyczaj takie programy kręci się w środku lata, próba miała się odbyć u nas na tarasie. Jirka przyjechał ubrany jak na plażę - w białych spodenkach i koszulce. Już

w drzwiach zwróciłam mu uwagę, że na koszulce ma plamę w kształcie wielkiego niebieskiego goździka.

- Pewnie pióro mi się wylało.

Miał rację, bo plama robiła się coraz większa.

- Rozbieraj się - poleciłam. - Spróbuję to wyczyścić, zanim zaschnie. No, jasne, spodenki też ściągnij, przecież atrament cieknie ci po nogawkach.

To było w salonie. Jirka rozebrał się z wyraźnym ociąganiem, a ja zmusiłam go do zejścia do pralni. Miałam tam komplet buteleczek z diabełkiem na etykiecie do prania wszystkiego, kupionych kiedyś w Niemczech pod wpływem reklamy „Nasz Diabełek wszystko potrafi!”. Szukałam odpowiedniej: ta do plam z krwi, tamta z mleka, ta znowu z białego wina, następna z jagód, a Jirka tymczasem nerwowo przestępował z nogi na nogę, bo słysząc było, że Hellmut, mój ówczesny mąż, szuka czegoś w sąsiednim pomieszczeniu i sytuacja w jednej chwili mogła się stać niezręczna.

Potem staliśmy nad wanną, obserwując, jak Diabełek do plam z atramentu usuwa z sykiem niebieskie zacieki z ubrania. Wreszcie Jirka zapytał bezradnie:

- No, dobra, a co teraz? Mam tańczyć w samych slipach?

- Nie w samych, włóż jeszcze buty do stepowania - doradziłam, a on rzeczywiście posłuchał mojej rady.

Wyszliśmy na taras.

To była specyficzna próba. Specyficznie musiała też wyglądać z punktu widzenia Hellmuta, który usłyszał magnetofon na werandzie i przyszedł podpatrzeć, co robimy. Jak zobaczył Jirkę w slipach i butach z podkówkami, rzucił mu takie spojrzeństwo...

-Jirka się zamoczył... To znaczy pióro mu wylało...

- jękałam się z nerwów.

- Tak myślałam. - Hellmut pokiwał głową i dodał po czesku z czystym praskim akcentem: - Czuj się jak w domu, Jirko, jak w domu...

Kiedy przypomniałam sobie tę scenę, musiałam wybuchnąć śmiechem. Straciłam orientację, gdzie jestem.

Tymczasem skończyła się piosenka i dobiegły mnie słowa niezłomnego biznesmena:

- .. ale to jeszcze nic, w Monachium to mi proponowali watermana z osiemnastokaratowego złota, ale chcieli za niego osiem i pół tysiąca... Euro, rzecz jasna. Głupi to ja nie jestem, na bazarze w Brnie można to mieć za dwieście czterdzieści patyków, to i tak zresztą dużo, bo większość ludzkości myśli, że to podróba, a potem muszą to odkręcać, że ja i podroby...

- Zostaw panią Vondrackową w spokoju... - powtarzał jak mantrę drugi, a ja ku zaskoczeniu obydwu oznajmiłam:

- Ja i tak wolę długopisy.

\*

Ten dom jest wprawdzie dość duży, ale niespecjalnie zwraca uwagę. Przeszlibyście obok i nawet byście się nie zorientowali, że w środku mieści się słynne brukselskie studio nagrań. Jedno z najlepszych, jakie znam. W Belgii nagrałam już trzy płyty i dopiero tutaj przekonałam się, że cuda się zdarzają. W Czechach zadreślałam zawsze i siebie, i dźwiękowców, którzy na moje narzekania, że źle słyszę, a nagranie wyszło płaskie, odpowiadali, że lepiej być nie może. A mój tata słuchał tego potem w radiu i się wściekał: „Znowu muzyka cię zagłusza, znowu ciebie nie słyhać!”. Czasami nawet się o to kłóciliśmy. I zawsze stawało na tym, że wyciągał argument: „A jak mi wyjaśnisz to, że Gotta słyhać, że zrozumieć go można? Czy on nagrywa w innych studiach niż ty?”.

Oczywiście, że przed 1989 rokiem korzystaliśmy z Karem z tych samych studiów, ale jego nagrania były lepsze niż moje. Przynajmniej zdaniem ojca, ale i ja czasem przyznawałam mu rację. Właściwie pojęcia nie mam, jak Karel nagrywa. Szukam w pamięci i nie przypominam sobie, żebyśmy spotkali się kiedykolwiek w studiu przy jednym mikrofonie. Nagraliśmy tyle duetów, ale za każdym razem oddzielnie, a potem się je montowało. No tak, przez te wszystkie lata nigdy nie zdołaliśmy znaleźć na to czasu...

W Brukseli czekał już na mnie Stof - wybitny muzyk, a przede wszystkim geniusz dźwiękowy. U niego cuda są na porządku dziennym. Na poczekaniu. Jeszcze nie zdążyłam odebrać bagaży, a już chciał zaczynać.

- Wolałabym pójść najpierw do hotelu - zgasłam jego entuzjazm. - I muszę się rozśpiewać.

Rzucił okiem najpierw na mnie, potem na zegarek i wyszczerzył zęby w uśmiechu:

- Faktycznie nigdzie się nam nie spieszy. Będiesz gotowa za godzinę?

W hotelu nawet nie wypakowałam rzeczy. Zdamę to zrobić wieczorem. Dzisiaj chcę nagrać dwie, może trzy piosenki nawet. Miałam jeszcze chwilę, więc usiadłam na łóżku i zaczęłam się rozśpiewywać. Mmm... Nemorino... Gongigon... Nemorino... Byłam zadowolona ze swojego głosu, choć miałam prawo być nieco zachrypnięta: na dworze był upał, w samolocie i w pokoju hotelowym działała klimatyzacja, a szybkie zmiany temperatury otoczenia nie działają korzystnie na struny głosowe. Dobrze, że nie jestem aż tak na nie wrażliwa. Taki Gott na przykład poleciałby od razu do recepcji z groźbą, że jeśli natychmiast klimatyzacja nie zostanie wyłączona, on wyprowadza się do innego hotelu...

Ja witam deszcz, alleluja!

Ja witam deszcz, amen!

Ale znam też piosenkarzy, którzy z zasady się nie rozśpiewują. Taka Marta Kubišová na przykład. Albo Waldemar Matuška. Ten staje przed mikrofonem, zaczyna i leci. Zawsze gdy w studiu czy na scenie nie czuję się najlepiej, myślę o nim. Może Walda nie zdaje sobie z tego sprawy, ale to on uczył mnie, jak nie bać się publiczności.

Byłam niedoświadczoną siedemnastolatką, kiedy dyrygent orkiestry Radia Czechosłowackiego i mój guru Josef Vobruba załatwił mi pierwszy prawdziwy występ. Dwie noce nie mogłam przez to zasnąć. Miałam zaśpiewać na targach w Libercu jedną piosenkę, duet z Waldemarem Ma-

tušką „Už nejsem dítě” [Nie jestem już dzieckiem]. A było to w czasach, kiedy on był już gwiazdą. Zastępowałam wtedy nie mniejszą gwiazdę, Evę Pilarovą, aktualnie figurującą na indeksie.

Wierzyłam niby w siebie, ale pamiętałam jeszcze bardzo dobrze, jak niedawno nagrałam dla radia jedną piosenkę z jej repertuaru jota w jotę tak samo, bez szczypty własnej inwencji, a Eva była na mnie wściekła. I miała rację - ale to zrozumiałam dużo później. Przed moim pierwszym występem najbardziej jednak zamartwiałam się tym, co mam na siebie włożyć i czy wyjść na scenę w szpilkach. Ostatecznie zostawiłam je w domu, ponieważ uznałam, że będę wtedy wyższa od mojego partnera. Kupiłam więc botki na płaskim obcasie, zrobiłam na szydełku bluzeczkę, mama uszyła mi na szybko plisowaną spódniczkę, na głowę wsadziła słomkowy kapelusz i wysłała w wielki świat.

Walda o Vondráčkově) usłyszał wtedy po raz pierwszy, ale niemiły dla mnie nie był. Wręcz przeciwnie, bardzo przyjacielski. Dał mi radę, którą kierowałam się potem jeszcze wiele razy w życiu: „Jak będziesz mieć tremę, złap mnie za rękę”.

Próba wypadła jako tako, ale kiedy trzeba było iść na całość, żołądek podniósł mi się do gardła i wyglądało na to, że nie wydobędę z siebie ani słowa. I nie pomagało zupełnie nawet to, że Walda zapewniał mnie, iż o kant dupy potłuk taki występ, że to nic poważnego. Nie poznawałam własnego głosu, tak mi się trząsał.

Nie jestem już dziecicę  
i wiem, co robię,  
kiedy mówię: kocham cię,  
żyć bez ciebie nie mogę...

I to zakończenie: „Jestem twojaaaaa...”.

Ten ostatni ton zdawał się nie mieć końca. Głos mi drżał, śmiesznie wibrował... i nagle poczułam w swojej dłoni dłoń Waldemara. Ścisła! mnie z całej siły: wytrzymaj, dziewczycy-

no, wytrzymaj do końca. I wtedy mój głos zaczął brzmieć coraz czyściej i czyściej, a ja czułam, jak opada ze mnie trema...

Zerknęłam na zegarek. Stof już na mnie czeka. Spakowałam notatki i wyszłam na rozpalone brukselskie ulice z przekonaniem, że zanim słońce zajdzie, nagrania będą gotowe.

- Dobrze się słyszysz? - Stof siedział przy mikserze.

- Świetnie nawet! - Z kciuka i palca wskazującego zrobiłam oczko.

W słuchawkach usłyszałam muzykę. Spojrzałam na kartkę, odliczyłam w duchu cztery takty i zaczęłam:

Jeszcze rok się nie kończy,  
ściemnia tylko się,  
jeszcze słów mi wystarczy,  
by wspierać cię...

- Zatrzymaj, proszę cię. Mam wrażenie, że nierówno weszłam.

W moich oczach Stof wyczytał zwątpienie, ale pokręcił głową. Oprócz niego w studiu siedzieli jeszcze producent Stano Šimor i gitarzysta Charlie Blažek. Wszyscy kręcili głowami.

- Nie powinnam tego nagrać od nowa? - upierałam się przy swoim. - Puść mi to jeszcze raz.

Kiedy jestem w studiu, nie chcę niepotrzebnie przeciągać sprawy, ale nie zgadzam się też na umieszczenie na płycie piosenek, z których nie jestem zadowolona w stu procentach. Dzisiaj istnieją już wprawdzie narzędzia, dzięki którym wszystko da się poprawić, ale ja jestem tradycjonalistką. Nie wierzę w technikę w muzyce. Nagrywam najchętniej cały utwór na raz, bez cięć, z naturalną gradacją i klimatem.

Wciąż pamiętam, jak kiedyś, czterdzieści lat temu nagrywałam swoją pierwszą prawdziwą piosenkę „Rzeka Czer-



wona”. Choć przygotowywałam się do tego starannie pod nadzorem tatusia, to wystarczyło, że zamknęły się za mną drzwi studia, a zaczęłam się trząść jak osika.

„Rzekę Czerwoną” wybrał osobiście Josef Vobruba, który miał rękę do hitów i nie wstydził się pracować z taką początkującą piosenkareczką jak ja. Postawił mnie przed mikrofonem, technik dał mi słuchawki, a ja zaczęłam. Nieczysto jak diabli.

Pod tą skałą, gdzie rzeka się wiję,  
Gdzie w słońcu czerwone lśnią kamienie...

Odśpiewałam zaledwie pierwszą zwrotkę, kiedy Vobruba mnie zatrzymał. Technicy ze studia patrzyli na mnie dziwnie, ja chciałam się ze wstydu zapaść pod ziemię, że przeze mnie tracą czas, ale mój guru był delikatny: „Świetnie, Helenko, naprawdę świetnie. A teraz spróbujemy jeszcze raz, już bez tremy, zgoda? Niczego się nie bój, zamknij oczy i wyobraź sobie, że stoisz nad brzegiem Kolorado, śpiewasz tylko dla siebie i nikt ciebie nie słyszy”. Spróbowałam więc śpiewać z zamkniętymi oczami, ale i tak nie mogłam pozbyć się obrazu techników patrzących na mnie z lekką drwiną.

Nagrałam to za trzecim czy czwartym podejściem, a kiedy Vobruba mnie chwalił, że takiego tempa nie wytrzymują nawet doświadczone piosenkarki, nie wierzyłam mu ani trochę. Zaśpiewać dobrze za czwartym razem - co to za zwycięstwo? Gdybym zaśpiewała to od razu, bez jednego cięcia... Wtedy uważałam, że dopóki mi się to nie uda, dopóty nie będę prawdziwą piosenkarką.

- Uwaga, druga próba - usłyszałam głos Stofa z reżyserki.
- Druga i ostatnia - odparłam.

\*

W Brukseli wszystkie utwory nagrałam w trzy dni i czekał mnie wolny weekend. Martin wysłał mi SMS-a, żebyśmy wybrali się na wieś na ryby.

Czekałam na samolot do Pragi, błąkałam się bez celu po hali odlotów i w końcu zatrzymałam się przed kioskiem z prasą. Kiedyś przywoziłam z zagranicznych wojaży fury kolorowych magazynów, teraz nie chce mi się niczego nawet do samolotu kupować. „Pijak Hasselhoff rozrabia!”

- krzyczał tytuł na pierwszej stronie jakiegoś niemieckiego czy austriackiego brukowca, a obok była fotka faceta, którego miałam zaszczyt poznać kilka lat wcześniej. Wtedy gazety prześcigały się w drukowaniu jego wspaniałych zdjęć z pobytu w Pradze. Teraz patrzyła na mnie wyniszczona hulaszczym życiem ponura twarz. Kupiłam i zagłębiłam się w lekturze:

***Kariera amerykańskiego aktora Davida Hasselhoffa (54) le-gła w gruzach! Sympatyczny bohater serialu „Słoneczny patrol” rzucił wszystko dla alkoholu! Telewizje ani producenci płyt nie chcą już podpisywać z nim umów...***

No i proszę... Kiedy kilka lat temu zadzwonili do mnie z Universalu, czy nie chciałabym zaśpiewać z Hasselhoffem, nie zastanawiałam się długo. Znałam go z serialu, gdzie jako odważny ratownik Mitch Buchannon ganiał po plaży w czerwonych majtkach i dyrygował gromadką podwładnych wyglądających raczej na modelki, i byłam ciekawa, jaki okaże się w rzeczywistości. Poza tym cieszyłam się, że stanę przy mikrofonie obok hollywoodzkiej gwiazdy. Pojęcia nie miałam, że Hasselhoff razem ze swoim duetem More Than Words Can Say jeździ po świecie, swoją partię ma już nagraną dawno, a w każdym kraju wybiera miejscową gwiazdę, która dogrywa swoją połowę. Oczywiście w języku macierzystym, żeby było narodowo i kosmopolitycznie zarazem.

Hollywoodzka gwiazda przybyła do Pragi na dwa dni. Przeczynałam, że czeka mnie udreka. Pierwszego dnia mieliśmy się poznać i trochę się sobie nawzajem przyjrzeć. Zostałam więc zaproszona na uroczystą premierę albumu Hasselhoffa do ówczesnej restauracji Planet Hollywood na Przykopach. Tylko że rano miałam mieć próbę z zespołem Golem, której odwołać już nie było sposobu, a przyzna-

cie, że wybrać się na spotkanie z takim Hasselhoffem prosto z sali prób, nieuczesa i nieumalowana, przecież nie mogłam. Zadzwołam więc do swojego wizażysty Zdenka Fencla, żeby on coś wymyślił. Postanowił, że przyjedzie i ufarbuje mi włosy... w trakcie próby.

Wczesnie rano pojechałam więc na Smíchov, gdzie czekali już na mnie muzycy oraz Zdenda ze swoim cudownym kufierkiem fryzjerskim. Kiedy śpiewałam, nałożył mi farbę i owinął głowę folią. Chłopaki z zespołu musieli przeżywać katusze, bo - po pierwsze - to musiał być straszny widok, a po drugie - śmierdziało tak, że prawie nie dało się oddychać. Potem katusze przeżywał Zdenda, bo próba się przeciągała, a pod folią zachodziły reakcje chemiczne, które należało przerwać we właściwym czasie, chyba że chciałyby być łysa. W końcu Zdeněk nie wytrzymał: „Nie chcę się wtrącać, ale jeśli Helena nie zmyje zaraz farby, to Mitch Buchannon bardzo się wieczorem zdziwi”.

Wtedy okazało się, że w budynku nie ma ani ciepłej, ani zimnej wody, więc wskoczyliśmy do samochodu i mi-giem pognaliśmy do nas, do Řitki. W końcu Zdenda umył mi w domu włosy, podciął końcówki, nakręcił na olbrzymie wałki i już wyglądało na to, że zdążymy na czas, gdy zadzwonił telefon. To byli ludzie z radia z pytaniem, czy pamiętam, że obiecałam im godzinny wywiad, i z informacją, że zaraz wchodzimy na antenę.

Do radia wpadliśmy w ostatniej chwili. Wszyscy zdziwili się niezmiernie, że mam na głowie wałki i że zabrałam ze sobą wizażystę, który z miejsca zaczął rozglądać się za kontaktem, żeby podłączyć się z suszarką. Po wywiadzie w tempie ekspresowym wysuszył mi włosy i pognaliśmy do restauracji, gdzie już na nas czekano.

Ta szalona jazda po Pradze była jak żywcem wyjęta z komedii o Jasiu Fasoli, który rano zasnął, nie zdążył więc przed wyjściem do pracy zdjąć piżamy, ogolić się ani umyć zębów, dlatego wszystko to robił w samochodzie. Z tą różnicą, że mnie obsługiwał Zdenda. Zanim dojechaliśmy do Planet Hollywood, zdołał mnie umalować, a nawet przebrać w pantofelki na wysokim obcasie.

David Hasselhoff, który z pewnością mojego nazwiska w życiu nie słyszał, spojrział na mnie z zainteresowaniem, ale nie pogadaliśmy sobie. Rzucił tylko kilka grzecznościowych zwrotów typu „Co słyszać?” albo „To wspaniale!”.

Następnego dnia rano było nagranie. Hasselhoff wpadł do studia, uśmiechał się miło, ale wyglądało na to, że mało go to wszystko obchodzi. Dopiero gdy zaczęłam śpiewać, zerknął na mnie uważniej i trochę cieplej. Po drodze na Hradczany, gdzie kręciliśmy klip, chwalił mnie już pod niebiosa, a w końcu wyciągnął zdjęcie ładnej kobiety z dwiema dziewczynkami.

- Popatrz, to moja żona Pamela. Też jest blondynką, jak ty. Trochę jesteście podobne.

- Masz ładne córeczki - odwdzięczyłam się.

- Jedna ma na imię Taylor-Ann, a druga - Hayley Amber. - Palcem pieszczotliwie pogładził buzie na zdjęciu.

- Tak je kocham, a w ogóle nie mam dla nich czasu... - Rozmarzył się, zamilkł na chwilę, a potem zapytał: - Co powinienem przywieźć im z Pragi? Jak myślisz, co im się może spodobać?

Zaczęłam się zastanawiać, jakie pamiątki kupują u nas turyści, ale przychodziły mi na myśl wyłącznie ohydne ruskie uszanki, matrioszki, półlitrowki ze Szwajkierem na etykiecie, koszulki z Kafką i szklane świecidelka z sylwetką Zamku Praskiego.

- Kup im laleczki z porcelany - powiedziałam w końcu.

- W czeskich strojach ludowych.

Ten pomysł wyraźnie przypadł mu do gustu.

- Tak, laleczki, laleczki z porcelany - powtarzał uszczęśliwiony. - Porcelanowych laleczek moje córeczki nie mają, spodobają im się... Kupię je na Starym Mieście, prawda? Piękne to wasze Stare Miasto. Kupię na Starym Mieście laleczki z porcelany dla moich skarbów...

Wyglądał wtedy na szczęśliwego ojca i niemal w niczym nie przypominał tego beczelnego Mitcha z serialu. A już w ogóle nie wyglądał na kogoś, o kim za kilka lat będą pisać jako o skorym do bitki pijaczynie. Znowu wsadziłam nos w gazetę:

*„Kiedy David wyznał, że pije jak smok i porzuca rodzinę, byliśmy szokowani”, powiedział nam człowiek z bliskiego otoczenia piosenkarza. Najgorsze jednak miało dopiero nastąpić. W czasie przeciągającego się rozwodu wyszło bowiem na jaw, że Hasselhoff nieludzko dręczył swoją żonę Pamele (43) i często wpadał w furię przy córkach Taylor-Ann (16) i Hayley Amber (14). Teraz ma zakaz zbliżania się do żony, ale nie respektuje wyroku sądu. „Hasselhoff wyskoczył z auta i rzucił się na swoją żonę, jakby postradał zmysły. Wyzwalał ją od dziwek i narkomanek, a ona krzyczała, że jest pijany. To było straszne”, powiedział nam świadek ostatniego incydentu. Tej scenie przyglądały się obie córki niegdyś nierozłącznej pary.*

Kiedy wsiadałam do samolotu, zastanawiałam się, czy to w ogóle może być prawda. Znam mnóstwo muzyków i aktorów zniszczonych przez alkohol, ale... ale wciąż widzę ten pieśczołliwy gest Hasselhoffa, kiedy pokazywał mi zdjęcie córek. Przecież to mi się nie przyśniło!

Na lotnisku miał na mnie czekać Martin, ale nigdzie go nie widziałam. Przecież nie zapomniał, zawsze był punktualny... Chociaż - jak na mój gust - zbyt ufał nowoczesnym technologiom. Wszystkie terminy zapisywał w notesie elektronicznym, co już kilka razy napytało mu kłopotów. Mnie wystarczy długopis i zwykły notatnik - papier nigdy nie zawiedzie - a na koniec roku mogę go schować do szuflady z notesami z poprzednich lat, archiwum całego życia dzień po dniu. Martin nigdy już nie sprawdzi, co robił na przykład tego dnia trzy lata temu, bo swoją pamięć elektroniczną wymazał od tego czasu nieskończenie wiele razy. Albo zresetował.

Zadzwoiłam do niego.

- Jasne, że nie zapomniałem - przepraszał. - Po drodze był straszny wypadek, stałem w korkach, ale jestem już prawie na Smíchovie...

Prawie na Smíchovie... To oznacza, że przyjedzie najwcześniej za pół godziny. Lepiej by było zadzwonić po taksówkę.

- Daj mi godzinę, zgoda? - przekonywał mnie.

- Usiądź tymczasem gdzieś w barze i zamów kieliszek białego wina... Nie jesteś zmęczona?

Zmęczona byłam, ale to wino nie było złym pomysłem. Chociaż o wiele chętniej wypiłabym je w domu na tarasie z Martinem.

Usiadłam więc w barze w hali przylotów, włożyłam okulary i z nudów kartkowałam ten swój niemiecki czy austriacki magazyn. Raptem z drugiego końca stołu dobiegł mnie dziewczęcy chichot.

- Hej, patrz, Vondráčková!

Masz ci los. Do tego, że ludzie się na mnie gapią, już się przyzwyczaiłam, ale wolałabym nie wiedzieć, co mają do powiedzenia na mój temat. A najgorzej jest, kiedy zaczynają mnie oceniać. Jak właśnie teraz.

- Hej, ona nosi bryle! - Dziewczyna nawet nie starała się zniżyć głosu.

- To nie ona - zaprzeczyła druga. - Tamta by ich przy ludziach nie włożyła.

- Ale numer, stara Vondráčková w pinglach! - dołączył do nich trzeci głos.

Spojrzałam na nie zza okularów, żeby się przekonały, że wzrok mam może i słaby, ale słuch dobry. Były to trzy na oko osiemnastoletnie pannice w traperach, skórzanych kurtkach nabijanych ćwiekami, gwoździami i innych cudami. Całe twarze miały w kolczykach i różnych kółeczkach. Kiedy na nie spojrzałam, głupawo zachichotały, co zupełnie nie pasowało do ich wizerunku.

- Ile kosztuje kieliszek chardonnay? - zwróciłam się do kelnerki, która tymczasem do mnie podeszła.

Popatrzyła na mnie z przestrawieniem.

- Sto sześćdziesiąt dziewięć koron. Ale może pani płacić w euro.

- Kurna, to dopiero przypał - usłyszałam komentarz od baru. - Ona się pyta, po ile tu wino!

Przestałam zwracać na nie uwagę, ale przyznaję, że to trochę dziwne dopytywać się w barze tak wprost o ceny. Od pewnego czasu jednak wolę się spytać, niż przeżyć znowu takie straszne faux pas, jakie w podobnym lokalu spotkało mnie i Marylę Rodowicz.

Maryla... Maryla to kobieta demoniczna. Spontaniczna i zarazem eteryczna. Podejrzewam, że najchętniej zagłębia się w marzeniach, których nikt nie zna. Rozmawiam z nią na przykład i mam wrażenie, że w ogóle mnie nie słucha, a ona potem nagle wstaje od stołu i mówi: „Wiesz co? Dajmy już sobie spokój z tym gładzeniem i skoczmy na drinka”.

Raz we wrocławskim hotelu wyrwała mnie ze snu. Kręciliśmy coś dla polskiej telewizji z moim ówczesnym chłopakiem Ludkiem Svábenskim i wieczorem wykończeni padliśmy do łóżek. I kiedyś o północy zadzwoniła Maryla. Strasznie się zdziwiła, że już śpię, i zaczęła mnie namawiać, żebyśmy poszły w miasto, tylko my dwie, bez tego mojego, bo noc jeszcze młoda, a kto wie, kiedy się znowu spotkamy.

Wstałam, ubrałam się, umalowałam, a Maryla zabrała mnie na jakąś dyskotekę, gdzie zabawa trwała w najlepsze. Kilku facetów z miejsca nas rozpoznało i zaprosiło do tańca. Maryla, ze swoim niewyparzonym językiem, zbyła jednego, a biedaka to tak dobiło, że dał w pysk pierwszemu, który mu się pod rękę nawinał. Chwilę później lali się już wszyscy. Faceci pijani jak bele rozwalili chyba wszystkie stoły i krzesła, potem zaczęli tłuc szyby, a następnie didżeja. Ja przestraszyłam się nie na żarty, kiedy nad głową przeleciała mi butelka wódki. A Maryla siedziała spokojnie, popijając drinka przy barze, i kiedy nie było już nic do potłuczenia, oznajmiła: „Zbieramy się, tu nie mają już nam w co nalać”.

Maryla dużo w życiu przeszła, ale żaden karambol nie zdołał zgasić jej wewnętrznego ognia ani naruszyć tego wyniosłego spokoju, jaki ją charakteryzuje. Gdyby teraz siedziała tu ze mną na lotnisku, pewnie by powiedziała coś w stylu: „Heleno, twój misiaczek ma po prostu pecha. Posiedzimy więc tu sobie spokojnie i powiedz mu, że nie musi się już nigdzie spieszyć...”.

Maryla jest ponad sprawy przyziemne. Nie zastanawia się długo, co ma na siebie włożyć, czy nie ma kilka kilo za dużo albo ile co kosztuje. Umiałyby tu usiąść, pić wino za sto sześćdziesiąt koron kieliszek za kieliszkiem i nie zainteresować się w ogóle, czy ma przy sobie korony, euro, czy w ogóle jakiegokolwiek pieniądze. Jak niedawno w Krakowie. To był straszny niefart...

Umówiłyśmy się obie w hotelowej restauracji. Maryla czekała już tam ze swoim menedżerem. Zjedliśmy kolację, a Maryla wzięła się do zamawiania wina. Ja wybrałam białe. A ponieważ Maryla białego nie tknie, bo podobno jej żołądek go nie toleruje, zdecydowała się na butelkę czerwonego. Najlepszego, jakie tam mieli. Wypili je duszkiem razem z menedżerem, zamówiła więc następną butelkę, a kiedy kelner je przyniósł - pół godziny później, już lekko wstawiony - wyskoczyła na niego: „Pan jest szybki jak ślimak. Nie będziemy tyle czekać. Niech pan przyniesie od razu następną”.

Kelner zastrzegł, że to naprawdę cenne i wyjątkowe wino i nie jest pewien, czy mają takie zapasy, ale ostatecznie te dwie flaszki skądś wytrzasnął.

Gdy przyszła pora płacenia, Maryla rzuciła okiem na rachunek i uznała, że trzy tysiące złotych to jeszcze nie są takie wielkie pieniądze, chociaż wino chyba nie było warte takiej kasy. Kelner, już bardzo nietrzeźwy, poszedł gdzieś z tym rachunkiem, a potem wrócił i zaczął nieskładnie dukać:

- Przepra... przepraszam państwa... Ja się pomyliłem... Tam powinno być... jakby... jeszcze jedno... zero... na końcu.

- Tak więc trzydzieści tysięcy złotych? - Maryla była niewzruszona. Popatrzyła na mnie, na swojego menedżera i dodała: - A my mamy w ogóle tyle pieniędzy? Ja tyle przy sobie nie mam na pewno.

Okazało się, że tyłu nie ma też na karcie kredytowej menedżer Maryli. Widać było, że jest dość wkurzony, ale wstał i poszedł od kogoś pożyczyć. Zastrzegł jednak, że to może potrwać.

Siedziałam jak na szpilkach, a personel restauracji tak sował nas z zaciekawieniem, bo rozniosło się już, że te dwie



sławy nie mają czym zapłacić. Byłam straszliwie zażenowana, a Maryla udawała, że nic się nie stało. Zamówiła kawę po wiedeńsku z ogromną ilością bitej śmietany, gadała o muzyce i facetach, a do mnie powoli docierało, że takie wpadki to jej specjalność. Ze właściwie tego się od niej oczekuje. I że gdyby wypila trzy butelki wina, zapłaciła trzydzieści tysięcy złotych i wyszła, wszyscy w tym hotelu dziwiliby się, jakby zatrzymał się tu zespół Guns N'Roses, a Axl Rose nie wyrzuciłby przez okno telewizora.

Potem wrócił menedżer Maryli, cały wściekły i chętny do kłótni. Położył na stole trzydzieści tysięcy, a Maryla podsumowała:

- Ale nam się z tymi pieniędzmi udało...!

Wspomnienia przerwał mi dźwięk dzwonka. Martin.

- Jestem już na lotnisku. Przepraszam, że musiałaś tyle czekać.

Przywołałam kelnerkę, poprosiłam o rachunek, schowałam okulary do futerału i wstałam.

- Dzień dobry - usłyszałam dziewczęcy głos za plecami.

Stała za mną jedna z tych niewychowanych dziewczuch, które siedziały wcześniej przy barze i komentowały moje pingle. Po jej kumpelkach ani śladu. Była sama, a z jej zakolczykowanej twarzy zniknął ten bezczelny uśmiezek.

- Sorry, wielkie sorry za te teksty... To znaczy za to nasze gadanie. Przepraszam panią.

- Nic się nie stało - stwierdziłam, ale zaraz dodałam surowiej: - To, że mam na nosie szkła, nie znaczy jeszcze, że jestem głucha.

Dziewczyna zrobiła się czerwona jak burak. Zrobiła krok w tył, jakby najchętniej dała drapaką. Zauważyłam, że trzęsą jej się ręce, w których coś trzyma.

- Chciałabym panią poprosić, żeby mi się pani wpisała -wydusiła i podała mi... pamiętnik w czerwonej aksamitnej okładce!

Nigdy bym nie pomyślała, że może posiadać coś takiego!

- Ty się mnie boisz? - zapytałam, patrząc na jej drżące ręce, a dziewczyna zaczerwieniła się i wzruszyła ramionami.

Wzięłam od niej zeszyt i otworzyłam go na pierwszej stronie. Było w nim wykaligrafowane: „Dzielna czeska dziewczyna nie płacze i losu nie przeklina...”. A pod tym zdaniem średnio udany obrazek kotka. Uśmiechnęłam się do siebie.

- Gdyby była pani tak miła... - odezwała się ta niemiła.  
- Gdzieś dalej jest pani zdjęcie... Gdyby mogła się pani pod nim podpisać...

Przekartkowałam pamiętnik i natrafiłam na swoją starą fotkę wyciętą z gazety. Z czasów mojego szalenie smutnego królewskiego panowania...

-Jak masz na imię?

- Klára - odpowiedziała cicho i wyciągnęła z kieszeni piękne wieczne pióro, które tak do niej pasowało jak ten staromodny pamiętnik.

Napisałam: „Dla Kláry od Heleny Vondráčkovej”. Dziewczyna podziękowała i wyciągnęła rękę, chociaż powinna poczekać, aż ja to zrobię. Jeślibym zechciała.

Czułam, że drżą jej palce.

- Proszę się na nas nie gniewać. I do widzenia. I dziękuję pani... za wszystko - wygłosiła zaskakująco poważnym głosem.

Chwilę patrzyłam za nią. Dzielna czeska dziewczyna... Nagle przy sąsiednim stole ktoś powiedział na głos:

- Patrzcie, czy to nie ten stary Helci Vondráčkovej?

W tłumie zobaczyłam Martina.

- Nie nudziłaś się czasem?

- Nie nudziłam - zaprzeczyłam. - Ciągle mam się nad czym zastanawiać.

## PÍSEŇ ZÁZRAKŮ

CO ŽIVOT VZAL,  
MI ZPÁTKY DÁVÁ.  
STO SLUNCI, TISÍC ÚSMĚVŮ,  
KDYŽ RÁNO VSTÁVÁM,  
HŘEJ MĚ DÁL JAK LÁVA,  
ZPÍVÁM SI DO OBLAKŮ  
SVOU PÍSEŇ ZÁZRAKŮ...

STEFaan FERNANDE,  
RAPHAEL SCHILLEBEECKX  
- JOSEF „PEPSON“ SNĚTIVÝ,  
„PÍSEŇ ZÁZRAKŮ“

## PIOSENKA CUDÓW

CO ŻYCIE WZIĘŁO,  
ZNÓW MI DAJE,  
STO SŁOŃC, TYSIĄC UŚMIECHÓW,  
GDY RANO WSTAJĘ,  
GRZEJĄ MNIE NICZYM LAWA,  
OBŁOKOM W GÓRZE ŚPIEWAM  
SWOJĄ PIOSENKĘ CUDÓW...

## WYWIAD

*...A ostatnią historię poświęcam tym dziennikarzom, którzy mnie pytają w kółko o to samo...*

*Nigdy nie przyzwyczaję się do kłamstw, jakie wypisuje się O mnie i o moim mężu. Zawsze się dziwię, skąd się one biorą. I dlaczego cytuje się w wywiadach ze mną zdania, których nigdy nie wypowiedziałam. Ta historyjka to lekka parodia. Parodia tego, w jaki sposób może powstać wywiad. Główna bohaterka - dziennikarka Mira Szmira - w rzeczywistości nie istnieje. Choć... .. znam ją doskonale.*

Zalewam gorącą wodą dwie herbatki ziołowe i zastanawiam się, czy Mira Szmira i tym razem zapyta mnie o to samo co za każdym poprzednim. Ostatnio zaczęła na przykład od kretyńskiego pytania: „Co aktualnie słychać u Heleny Vondráčkové)?”. Wcześniejszy wywiad zresztą rozpoczęła również inteligentnie.

Szczerze powiedziawszy, strasznie pisze ta dziennikariczka, podczas rozmowy nie potrafi zadać ani jednego elokwentnego pytania, a potem dopisuje do odpowiedzi, co zdoła wymyślić. Jest autorką takich „słynnych” artykułów o mnie, jak: „Helena przechodzi kryzys!”, „Vondráčková urządziła premierę nowej płyty w zoo!” oraz „Heleno,

twój mąż ogląda się za innymi!”). W żadnym jednak nie napisała o tym, co obiecywał tytuł - na przykład ten o premierze w zoo opowiadał o moim siniaku na brodzie i o tym, skąd on się tam mógł wziąć.

Ale trzeba jej przyznać, że jest uparta, nawet zawzięta i nie daje się łatwo zbyć. I chyba tylko temu zawdzięcza to, że siedzi tu na tarasie i na tyle głośno sprawdza dyktafon, że aż w kuchni słychać:

- Raz, dwa, trzy, próba mikrofonu! Próba mikrofonu!

Żeby mnie tylko znowu nie zmuszała do pokazywania ogrodu i opowiadania o tym, co gdzie u mnie rośnie, bo to podobno „ogromnie interesuje czytelników”.

Postawiłam przed Szmirą filiżankę z herbatą, a ona aż się rozplynęła z zachwytu, jakby to było nie wiadomo co:

- Ależ pani Heleno, nie musiała pani... Po co tyle zachodu! Nie chciałam robić pani kłopotu, wzięłam coś do picia ze sobą - oznajmiła i wyciągnęła z reklamówki butelkę mineralnej.

Na swój sposób żal mi takich dziennikarzy. To typ nie-szczęśnika. Bez przerwy przypomina mi, że tak mnie lubi, że słucha moich piosenek od dzieciństwa, a zaraz potem narzeka, że musi pracować w kolorowym magazynie „dla kur domowych” zainteresowanych wyłącznie plotkami. Chyba nie jest złym człowiekiem, osobiście nigdy mnie nie skrzywdziła.

- Jaka wspaniała ta herbata, pani Helenko, jak pani to robi? - rozplywała się Szmira, siorbiąc. - To zioła, prawda? Z pani ogrodu, prawda? - Położyła przede mną mikrofon i stertę papierysk.

Ten rytualny taniec - raz wokół mojej herbaty, a innym razem wokół mojej kuchni „na zupełnie światowym poziomie” - nie wróży niczego dobrego. Poprzednio Szmira wychwalała moje petunie, a napisała: „Dom Vondráčkovej stanął na głowie”. Wydaje mi się czasem, że oni mają te teksty już przygotowane, gdy przychodzą do mnie, żeby mieć alibi, że nie pisali o mnie beze mnie.

- Możemy zacząć? - spytała Szmira i zerknęła do notatek. - A więc... Co aktualnie słychać u Ilony Csákovéj?

Na chwilę zapadła cisza. Potem zaczęłam się tak śmiać, że omal kubka nie wypuściłam z ręki. Szmira spojrzała na mnie z przerażeniem. Chyba nie zauważyła nawet, o co zapytała.

- O to już musi pani zapytać Ilony Csákovéj - odparłam, a Szmira zamrugła zmieszana.

- Powiedziała Csáková? To bardzo przepraszam, bardzo... Przed południem robiłam z nią wywiad, chyba jeszcze nie przestałam nim żyć.

Cała czerwona gorączkowo przerzucała notatki. Kiedy wreszcie znalazła kartkę, której szukała, odkaszlnęła jak mówca przed długim wystąpieniem.

- A więc... Co aktualnie słyhać... - zagryzła wargi, dobierając właściwe słowa - ...co aktualnie słyhać u Heleny Vondráčkovej, gdy za oknem takie piękne babie lato?

Co mam odpowiedzieć na tak kretyńskie pytanie? Albo mogę ją czymś zbyć, albo zarzucić informacjami o tym, że nagrywam płytę, jakie piosenki wybrałam i tak dalej, ale nie przyszła tu ani po jedno, ani po drugie. Ona chce plotek. Wali na ośle, mając nadzieję, że sama coś wygadam, wszystko jedno o czym, że dam jej jakiś punkt zaczepienia.

Brat Szmiry miał rację, kiedy nazwał ją taką blondyną wysoką. Bo takie entrée zrobi! jej ze cztery lata temu, gdy zadzwonił do mnie i z miejsca zaczął klepać: „Pamiętasz mnie? Mieszkalem przy tej samej ulicy, bywałem u ciebie często w domu, od rana do nocy przesiadywałem, płyty mi pożyczalaś...”. A kiedy zaprzeczyłam, wyszło na jaw, że właściwie to dzwoni z powodu siostry, „takiej blondyny wysokiej, Miry Szmiry”, która znalazła pracę w brukowcu i dostała za zadanie przeprowadzić ze mną wywiad, ale nie śmie sama do mnie zadzwonić...

Teraz Mira Szmira siedzi naprzeciw mnie, to nasze czwarte czy piąte spotkanie, a speszona jest tak samo jak przy pierwszym. Zmęczona życiem kobieta. Może mieć zarówno trzydzieści pięć, jak i czterdzieści pięć lat, wyfiokowana, z długimi czerwonymi paznokciami i kołnierzem z fioletowego futerka. Pyta, co aktualnie słyhać u mnie,

gdy za oknem takie piękne babie lato, a ja opowiadam o nowej płycie, chociaż mam przeczucie, że nawet słowem o tym nie wspomni w tekście. Ale próbuję. Bo może nastąpi cud i któregoś dnia zaczniesz wreszcie pisać o mojej pracy, a nie moim życiu.

- Ma pani trochę zachrypnięty głos - zauważyła ze współczuciem. - Nie przeziębiała się pani czasem?

- Biorę proszki - machnęłam ręką. - Wczoraj bolało mnie gardło i głowa nawet, ale to nic, pojutrze znowu będę śpiewać.

Szmira zapuściła żurawia w swoje papierzyska i oparła brodę na ręce, jakby rozmyślała.

- Wie pani co? Zróbmy ten wywiad raz inaczej. Niech to będzie taki krzyżowy ogień pytań. Pytanie - odpowiedź, co pani na to? Żeby było inaczej, niż to zazwyczaj teraz bywa...

Pokiwałam głową bez jakiegokolwiek entuzjazmu, a Szmira przeczytała pierwsze przygotowane pytanie:

- Czy chciałaby pani mieć długi?

- Czy bym chciała? - zapytałam zdumiona. - Zna pani kogoś, kto chce mieć długi? Długi to nieciekawa prawda...

- Dobrze, dobrze - trąkotała bezładnie. - Jedziemy dalej. Ostatnie nieprzyjemne przeżycie?

Pogrzebałam w pamięci. Nic naprawdę nieprzyjemnego ostatnio mnie nie spotkało.

-Może... niedawno jechaliśmy samochodem na północne Morawy i stuknęła nas ciężarówka - przypominałam sobie w końcu. - To rzeczywiście nie było przyjemne. Nikomu nic się wprawdzie nie stało, ale kiedy sobie wyobrażę, co mogło...

- Super, lecimy dalej. Niech będzie jak na kozetce u psychoanalityka - paplała Szmira i przewracała kartki. - To pytanie wyrzucimy... Na to już odpowiedź mamy...

I już było widać, że znowu jest bezradna. A więc po krzyżowym ogniu pytań co? Bo taki wywiad wymaga nie lada refleksu, Miro Szmiro...

- A jak... jak... jak... - jąkała się i nerwowo przeglądała

notatki. W końcu spróbowała improwizować: - Jak się pani leczy, kiedy jest pani przeziębiona?

- Piję herbatki, mówię na nie herbatki głupawki. Ale bez żadnych dodatków, właśnie takie jak teraz pani pije.

Szmira zajrzała do swojego kubka, napiła się i jakby to był haust inspiracji, wypaliła:

- Kiedy ostatni raz się pani bała?

- Kiedy Martin zamówił dla mnie w prezencie skok ze spadochronem.

- Skakała pani sama? - Szmira była przerażona.

- Razem z instruktorem. Ale przyznaję, bałam się nie na żarty. Na szczęście instruktor miał poczucie humoru. Śmiał się, że to nic takiego, że teraz już nic innego mi nie pozostaje, niż tylko wyskoczyć z samolotu...

Szmira pokręciła głową z uznaniem.

- Boi się pani jesiennej de... deprec... - Podniosła kartkę do oczu. - Aa, depresji. Boi się pani jesiennej depresji? Jakie trudne słowo, przepraszam...

- Jesiennej depresji? - powtórzyłam zupełnie bez entuzjazmu. - Tego ja się nie boję.

- Aha, nie boi się pani. - Szmira podrapała się po nosie.

- A gdzie się pani przed nią skrywa?

- Uciekam na wieś, gdzie mamy hausbot. Tam mnie nikt i nic nie znajdzie. - Byłam już zirytowana i zaczęłam żałować, że znowu dałam się namówić na taki głupi wywiad, ale Szmira nagle się ożywiła:

- To pani ma hausbot? Prawdziwy dom pływający? Niech mi pani coś opowie. To mnie interesuje.

Hausbot ją interesuje... Co ja mam jej o tym opowiedzieć? Ze się na wodzie kiwa?

- A co dokładnie panią interesuje?

- No, co tam na nim pani robi i takie tam...

- Odpoczywamy tam po prostu z mężem. Martin kupił motorówkę... Nagle polubił łowienie ryb. A ja w tym czasie siedzę w domu i szyję firanki. Na przykład. Jeszcze nie wszystko tam urządziliśmy.

Nie rozumiałam dlaczego, ale Szmira była usatysfakcjonowana rozmową, bo wyłączyła dyktafon. Jaki wywiad



może wyjść z takiego gadania? Dobrze, że przynajmniej czasu mi za dużo nie zabrała.

Kiedy odprowadzałam ją do drzwi, opowiadała, że to będzie tekst zupełnie innego kalibru i że natychmiast jedzie pisać, dopóki czuje jeszcze na języku smak mojej wspaniałej herbatki ziołowej. Nagle zaczęło jej się spieszyć, ale za furtką zajrzała jeszcze do naszego kosza na śmieci, z zainteresowaniem przejrzała jego zawartość, a potem wrzuciła do niego butelkę po mineralnej. Sądziła, że tego nie widzę.

\*

Kilka dni później Martin przyniósł do domu gazetę i z wściekłością rzucił ją na stół. Zobaczyłam tytuł: „Vondráčková - rozwód?!” - a pod tekstem skrót „msz”. Mira Szmira! Co tym razem napisała?!

*Boska Helena jest w desperacji! Spotyka ją nieszczęście za nieszczęściem! Finansowo leży na łopatkach, a niedawno musiała nawet walczyć o życie! W nocy spać nie może przez migrenę i ze strachu przed komornikami! Ostrzą sobie zęby na resztki jej majątku, który wyprowadził jej mąż Martin Michal.*

*„Biorę proszki” - przyznała redakcji piosenkarka, której konto przez kilka ostatnich miesięcy poważnie się uszczupliło. „Długi to nieciekawa sprawa”.*

*Pechowy okres zaczął się od wypadku samochodowego na północnych Morawach. W samochód Heleny stuknęła ciężarówka i choć nikomu nic się nie stało, to piosenkarka ma ten wypadek stale przed oczami. „Taki szok może u niektórych ludzi trwać długo, a artyści to zazwyczaj ludzie bardzo wrażliwi” - potwierdził redakcji psycholog.*

*Od tego czasu Helenę męczą bóle głowy, a ulgi szuka w ziołach o właściwościach psychotropowych. „Piję herbatki, mówię na nie herbatki głupawki”.*

*Herbatka głupawka przynosi podobno ulgę przy migrenach, ale czy pomoże w rozsypującym się małżeństwie? Klótnie w luksusowej willi w Ritce są już na porządku dziennym, o czym wiemy ze źródła zbliżonego do redakcji. Podczas jednej szczególnie*

*gwałtownej Martin Michal wykrzyczał Helenie, że najlepiej by było, aby wyskoczyła z samolotu. „Powiedział, że teraz już nic innego mi nie pozostaje” - piosenkarka ze smutkiem kiwa głową.*

*Na domiar złego do domu w kitce zaczynają pukać komornicy. „Tego ja się nie boję”- odważnie wyznaje Helena, ale głos jej się łamie. „Uciekam na wies', gdzie mamy hausbot. Tam mnie nikt i nic nie znajdzie”.*

*Ciężko żyć w nieustannym stresie, więc nic dziwnego, że niedawnym papużkom nierozłączkom grozi rozwód. Para częściowo mieszka już osobno i chodzą słuchy, że Martin znalazł sobie kochankę. „Nagle polubił łowienie ryb. A ja w tym czasie siedzę w domu i szyję firanki” - przyznaje nieszczęśliwa artystka.*

*Helena stara się odkreślić grubą kreską swoje dotychczasowe życie. Kosz na śmieci przed jej domem pełen jest po brzegi podartych na strzępy listów i miłosnych wyznań od zakochanego niegdyś męża.*

*Otoczenie Heleny odgradziło się murem milczenia. Jej koleżanka, piosenkarka Jitka Zelenková, nie odebrała komórki i w ten sposób odmówiła nam komentarza.*

*Heleno, nie daj się! Trzymamy za ciebie kciuki!*

- No, czy ja nie powinnam dać jej za to po gębie?
- Z obrzydzeniem rzuciłam magazyn na kanapę.
- Raczej podać do sądu - zripostował Martin i poszedł spakować wędkę, bo po południu wybieraliśmy się na wies'.

\*

Kilka dni później wpadłam na Mirę Szmirę przed naszym domem, kiedy wychodziłam na spacer z psem. W jednej ręce trzymała kwiaty i czekoladki, a w drugiej swoją nieodłączną butelkę z wodą mineralną.

- Pani Heleno, przyszłam panią przeprosić - wciskała mi bukiet i czekoladki. - Bardzo mi przykro z powodu tego artykułu. Zdecydowałam się złożyć wypowiedzenie w redakcji...

- To już pani sprawa - przerwałam ostro. - A to proszę sobie zabrać.

Opuściła głowę.

- Ja to pani wytłumaczę, to nie tak, jak pani myśli... Ja napisałam zupełnie inny tekst, naprawdę piękny, ale redaktorki, te stare cholery, go przerobiły...

- Wie pani co? Proszę już do mnie nigdy, przenigdy nie przychodzić i przekazać w redakcji, że nie udzielię wam już nigdy żadnego wywiadu.

Szmira zrobiła załamana minę, otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale potem bez słowa odwróciła się na pięcie i odeszła. Patrzyłam za nią, czy znajdzie w sobie tyle odwagi, żeby spojrzeć choć raz za siebie.

I widzę nagle, że Szmira zatrzymuje się przed śmietnikiem naszego sąsiada, byłego ministra obrony narodowej, podnosi wieko i wrzuca do niego bukiet oraz butelkę. A zza płotu wybiega za nią sąsiad, wyciąga butelkę ze śmieci i krzyczy:

- Panienko, niech pani to sobie zabiera! My tu segregujemy śmieci!

I Szmira wraca po butelkę jak niepyszna.

Zatrzymuje się na końcu ulicy, zerka, czy tamten tego nie widzi, i triumfalnie wrzuca butelkę do innego ogrodu.

## MOJE ŻYCIE W DATACH

1947 - 24 czerwca, przychodzę na świat w Pradze, ale chrzest odbywa się w kościele Świętego Marcina w Slatifanach; dostaję imiona Helena Karla

Lata 50. - wychowuję się w Slatiňanach pod Chrudimem; mam starszą o dziesięć lat siostrę Zdenę (z pierwszego małżeństwa mamy) i młodszego o cztery lata brata Jifiego; gram na fortepianie, tańczę i śpiewam, jestem członkiem zespołu tanecznego, występuję w teatryku amatorskim Vrchlický, dojeżdżam do Pardubic na lekcje jazdy figurowej na lodzie, uczę się niemieckiego, angielskiego i francuskiego

1964 - 27 kwietnia, zwyciężam w konkursie „Szukamy nowych talentów”, po trzech miesiącach nagrywam piosenkę „Rzeka Czerwona”

1965 - w gimnazjum w Chrudimiu składam egzaminy maturalne; nie zdaję na żadne studia, chociaż wcześniej chciałam pójść na filologię bądź muzykę; zaczynam pracę w teatrze Rokoko; śpiewam piosenkę Petuli Clark „Down Town”, do której czeski tekst napisał Jiří Štáidl, nadając jej tytuł „Pátá” [Piąta]; dostaję pierwszego, a może i ostatniego Złotego Słowika w życiu; chodzę na lekcje śpiewu do profesora Karenina

1966 - Jiří Štáidl pisze tekst do piosenki Dusty Springfield „I Only Want To Be With You” i tak rodzi się mój wielki hit „Chytila jsem na pasece motýlka” [Złapałam motylka na polanie]; dostaję srebrną Bratysławską Lirę za duet z Martą Kubisovą „Oh, Baby, Baby”

1967 - latem kręcę razem z Václavem Neckářem baśń filmową „Šíleně smutná princezna” [Szalenie smutna królowa]; w listopadzie lecę do Rio de Janeiro z młodym wówczas kompozytorem Karem Svobodą na festiwal Złoty Kogut, gdzie śpiewam jego kompozycję „Vzdálený hlas” [Głos z oddali] i zostaję miss imprezy

1968 - z Martą Kubišovou i Vaškem Neckářem prezentujemy się na MIDEM w Cannes, gdzie odnosimy ogromny sukces; dostajemy propozycję miesięcznych występów w paryskiej Olympii i w kwietniu rzeczywiście tam wyjeżdżamy; w czasie sierpniowej okupacji Czechosłowacji przebywam na urlopie w Rumunii ze swoim ówczesnym partnerem życiowym, tekściarzem Zdeňkiem Rytířem; od 1 listopada trio Marta-Vašek-Helena zmienia nazwę na Golden Kids, duchowym ojcem zespołu jest kompozytor i producent Boban Ondráček; pod koniec listopada, znów po roku, lecę na festiwal w Rio de Janeiro; tym razem zasiadam w jury, a w konkursie udział bierze Karel Gott z piosenką Karela Svobody „Lady Carneval”; przeprowadzam się do mieszkania na praskim Zizkowie na ulicy Přemyslovskiej

1969 - wychodzi moja pierwsza płyta długogrająca, składająca się z wydanych wcześniej singli, która nosi tytuł „Růže kvetou dál” [A róże wciąż kwitną] będący nawiązaniem do znanej piosenki Gilberta Bécauda; czeski tekst napisał Ivo Fischer

1970 - 3 lutego rozpada się trio Golden Kids; Marta dostaje zakaz występów, który potrwa niemal dwadzieścia lat; 25 marca wysyła nam list, żebyśmy z Vaškem kontynuowali karierę bez niej; wychodzi mój pierwszy regularny LP „Ostrov Heleny Vondráčkovéj” [Wyspa Heleny Vondráčkovéj], na który Marta zdążyła jeszcze nagrać chórki; z piosenką Bobana Ondráčka „Ostrov pokladů” [Wyspa skarbów] wylatuję do Tokio na festiwal Yamaha, gdzie dostaję nagrodę Hitashi

1971 - chodzę na lekcje stepowania do tancerza Franka Towna; mam pierwszy samodzielny program koncertowy „Helena '71”; jadę na gościnne występy do Związku Radzieckiego, dostaję propozycje koncertów w Rumunii, Grecji, Bułgarii, Szwecji...

1972 - na scenie towarzyszy mi zespół Strýci, którego szef Luděk Švábenský jest moim partnerem życiowym; jadę na długie tournée po ZSRR, a stamtąd wybieram się w trasę koncertową

do Japonii, skąd przywożę sobie pierwszego walkmana; wychodzi mój czeski album „Helena! Helena! Helena!” i jednocześnie pierwsza płyta po angielsku „Isle of Helena”

1973 - do kin wchodzi film „Noc na Karlštejně” [Noc w Karlsztynie], w którym wykonuję piosenkę „Lásko má, já stůftu” [Choruję z miłości]

1974 - nagrywam hit piosenkarki soul Roberta Flack „Killing Me Softly”, do którego czeski tekst napisał Zdeněk Borovec - „Dvě malá křídla” [Dwa skrzydełka] niebawem staną się jedną z najbardziej znanych kompozycji w moim repertuarze

1975 - cały marzec występuję na wystawie w brazylijskim Sao Paulo, Brazylijczyków za serce chwytają piosenka „Archimède” („Archimedes”; w oryginale nosi tytuł „Jesus Cristo”, a w repertuarze miał ją Roberto Carlos), w której gram na kongach; „Archimedes” niebawem stanie się hitem w NRD; kolejna duża trasa po Związku Radzieckim; w filmie „Romance za korunu” [Romanca za koronę] gram samą siebie

1976 - zaczynam chodzić na lekcje śpiewu do profesor Smólakovej-Svolinskiej; chociaż mam mezzosopran, zauważam, że radzę sobie nieźle z partiami altowymi i sopranowymi; na festiwalu w Stambule otrzymuję nagrodę publiczności, a brytyjski magazyn „Musie Week” uznaje mnie za Gwiazdę Roku

1977 - koncertuję często we wschodnich Niemczech i w Polsce; w Montrealu poznaję producenta Jeana-Yves’a Hardy’ego, który trzy lata później zorganizuje mi tournée po wielkich salach koncertowych Kanady; z Ludkiem Sobotą gram w filmie „Jen ho nechte, ať se boji” [Zostawcie go, a niech się boi]; na festiwalu w Sopocie dostaję Grand Prix za piosenkę „Malovaný džbánku” [Malowany dzbanek], a w oko wpada mi młodszy o siedem lat niemiecki gitarzysta basowy Hellmut Sickel, który po kilku miesiącach wreszcie odważy się do mnie odezwać i zaczniemy się spotykać

1978 - latem jestem gościem XI Światowego Festiwalu Młodzieży w Hawanie; wychodzi mój album „Paprsky” [Promienie], na którym czasem ku rozpacz moich fanatycznych wielbicieli chyba zbyt wyraźnie zaczynam flirtować z jazzem

1979 - kończę współpracę z grupą Strýci; później kilkakrotnie będę zmieniać muzyków towarzyszących, a najczęściej będę wy-

stępować z Bacilami i Orkiestrą Gustava Broma, poza tym przez wiele lat z Jiřim Kornern

1980 - wychodzi moja siódma już płyta długogrająca „Múzy” (w angielskiej wersji: „Musie”), a fani, którzy w odniesieniu do moich poprzednich projektów miewali mieszane uczucia, znów są zachwyceni; w moim repertuarze pojawia się następny hit - piosenka „The Winner Takes It All” grupy ABBA, którą na język czeski przełożył Zdeněk Borovec i zatytułował „A ty se ptáš, co já” [A ty pytasz, co u mnie]

1982 - 5 maja dostaję tytuł Zasłużonej Artystki, a razem ze mną otrzymują go także aktorki Luděk Munzar, Stella Zázvorková i Ota Sklenčka oraz kompozytor Jaromir Vejvoda; wychodzi mój album „Sbližení” [Zbliżenie], za piosenkę tytułową otrzymuję srebrną Bratysławską Lirę w kategorii utworu obcojęzycznego

1983 - 28 kwietnia na zamku w Strażnicy na Morawach wychodzę za mąż za Hellmuta Sickela, ślub kościelny bierzemy na brneńskich Husovicach; przez wiele lat w paszporcie i dowodzie osobistym będę mieć wpisane nazwisko Helena Sickelová, przez co dojdzie do wielu nieporozumień; wychodzi singiel z piosenką „Sladké mámení” [Słodkie złudzenia], jeden z moich największych hitów, które zyskały popularność dzięki filmowi „S tebou mě baví svět” [Z tobą świat jest ciekawy]

1984 - ukazuje się moja płyta „Ode mně k tobě” [Ode mnie do ciebie] z kompozycją „Čas je proti nám” [Czas jest przeciwko nam], która stała się hitem lat 80.

1985 - wydaję album „Sprint” uważany za kolejny przełom w karierze; zaczyna się moja regularna współpraca z grupą Bacily; powstaje cieszący się powodzeniem program koncertowy „Velká neonová láska” [Wielka miłość neonowa]

1986 - 26 kwietnia, w dniu wybuchu elektrowni atomowej w Czarnobylu, przeprowadzamy się z Hellmutem do domu w Řitce, gdzie mieszkam do dziś

1987 - smutny okres; w Nowy Rok umiera syn mojej siostry Zdeny; w rankingu Złoty Słowik spadam aż na dziesiątą pozycję

1988 - w trakcie nagrania audycji „Milionová Helena” [Milionowa Helena] odbieram od wydawnictwa Supraphon złotą płytę za milion sprzedanych egzemplarzy płyt gramofonowych; wychodzi LP „Skandál” [Skandal], który rok później ukaże się w formie

CD i będzie prawdopodobnie pierwszą czeską płytą tego typu; 30 września mój mąż Hellmut emigruje do Niemiec zachodnich, ale kilka miesięcy po aksamitnej rewolucji wraca

1989 - w Związku Radzieckim kręcę musical „Žar”, który nigdy nie zostanie ukończony; w grudniu Vašek Neckář organizuje dwa koncerty w Teatrze Muzycznym na Karlínie w Pradze i zaprasza jako gości mnie i Martę Kubisovą - śpiewamy razem po raz pierwszy od dwudziestu lat

1992 - od czerwca występuję w roli Fantiny w musicalu „Něždnicy”, który zapoczątkował modę na ten gatunek teatralny w Czechach

1993 - prezentuję się publiczności w nowym image'u jako dama w sukni wieczorowej; po czesku i angielsku wychodzi „Broadway Album”, na którym śpiewam znane musicalowe szlagiery; mimo że niektórzy krytycy radzą oddać mnie na złom, 5 maja koncertuję w Teatrze na Vinohradach z programem „S Helenou na Broadway”, bilety zostały wyprzedane całkowicie, a ja otrzymałam owacje na stojąco; Supraphon wręcza mi platynową płytę za cztery i pół miliona sprzedanych krążków

1994 - 3 listopada, wskrzeszamy Golden Kids i z Martą oraz Vaškem znowu występujemy w wypełnionej po brzegi Lucernie, w której nasze trio dwadzieścia pięć lat wcześniej dało swój ostatni koncert

2000 - ten rok przewrócił moje życie do góry nogami; na indonezyjskiej wyspie Bali poznaję mojego dzisiejszego męża Martina Michala; w czerwcu umiera moja mama; 29 września występuję w Carnegie Hall jako gość specjalny Karela Gotta; ukazuje się mój album „Vodopád” [Wodospad] z piosenką „Dlouhá noc” [Długa noc] napisaną przez Michala Davida, która stała się przebojem roku 2001; zmieniam image, nobliwa dama w sukni wieczorowej definitywnie odchodzi w przeszłość

2001 - w październiku Jan Rejžek w „Lidových Novinách” wspomina, że moje nazwisko figuruje na liście tych, którzy w 1977 roku podpisali Antykartę, i że na pewno do dziś nie straciłam związków z mafią sterującą w przeszłości czeskim show-biznesem; rozkręca się karuzela nieprzyjemnych sporów sądowych; wydaję album „Helena 2002”, za który dostaję złotą i platynową płytę; 13 grudnia biorę rozwód z Hellmutem, który niedługo potem przeprowadzi się do Ber-



lina; na horyzoncie pojawia się rozłam z moim tatą i bratem Jiřím; z Karelem Gottem, Peterem Dvorskim i Evą Urbanouą jedziemy na wielkie tournee, które skończy się dopiero w następnym roku

2002 - w marcu Akademia Muzyki Popularnej przyznaje mi tytuł Piosenkarki Roku; 29 października mój partner Marun Michał prosi mnie o rękę; przed Bożym Narodzeniem wyjeżdżam z Karelem Gottem na tournee po wielkich halach koncertowych; ukazuje się mój album „Platinová Helena” [Płatynowa Helena], który zyskuje status podwójnej platynowej płyty

2003 - pod koniec stycznia występuję w Teatrze Narodowym podczas ceremonii ku czci Václava Havla, śpiewam piosenkę „V loučení je přislib návratů” [Pożegnanie zapowiada powrót]; 22 lutego na zamku Karlštejn biorę ślub z Martinem, świadkami są Zuzana Baudyšová i Petr Salava; w prasie brukowej zaczynają się mnożyć obraźliwe artykuły o mnie i moim mężu i niektóre z nich skutkują wniesieniem przez nas sprawy do sądu; od września wracam do obsady musicalu „Nędznicy”; w filmie Zdeňka Troški „Kameňák 2” [Zgrywy 2] gram rolę lekarza psychiatry

2004 - w maju wychodzi moje pierwsze DVD pod tytułem „Přelety” [Przeloty]

2005 - występuję gościnnie w czeskiej wersji musicalu „Cats”; 14 czerwca ponownie śpiewam z Karelem Gottem w Carnegie Hall, tym razem jednak już nie jako gość; koncert został podzielony, jedna część była moja, druga - Karela; 18 października obchodzę czterdziestolecie kariery muzycznej, podczas gali pod tytułem „Holka od Červený řeky” [Dziewczyna znad Rzeki Czerwonej] spotykam się na scenie z Vaškem Neckářem, Martą Kubišou, Karelem Gottem, Jirką Kornem, Hanką Zagorou i Łucką Bilą; w listopadzie kończę książkę „Wspominam i niczego nie żałuję”

2006 - w październiku wydaję album „Zastav se” (...a poslouchej)” [Zatrzymaj się (... i posłuchaj)]; ukazuje się jednocześnie drugie rozszerzone wydanie moich wspomnień

Tytuł oryginału  
VZPOMÍNÁM A NIČEHO NELITUJI

Copyright © Helena Vondráčková, 2006

Copyright © Jan Hlaváč, 2006

Copyright © Daranus, s.r.o., 2006

All rights reserved

Projekt okładki  
Sylwia Grządźka, Jacek Szewczyk

Zdjęcie na okładce  
IMAGO/EAST NEWS

Zdjęcia w tekście  
Agencja BE&W  
Agencja SE/ EAST NEWS  
IMAGO/EAST NEWS

Redaktor prowadzący  
Renata Smolińska

Redakcja  
Renata Bubrowiecka

Korekta  
Anna Sidor

Łamanie  
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-007-7

Warszawa 2009

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
Drukarnia Naukowo-Techniczna  
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA  
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Bardzo mi żal, że nie mogłam być z matką w jej ostatnich chwilach i że moje relacje z bratem tak się skomplikowały. I że nie mam trójki dzieci, jak to sobie kiedyś wyobrażałam. Ale poza tym... niczego nie żałuję.

Helena

# HELENA VONDRÁČKOVÁ

(ur. 24 czerwca 1947 roku w Pradze) – wielka gwiazda czeskiej estrady, piosenkarka, aktorka i prezenterka telewizyjna. Koncertowała na całym świecie, sprzedano ponad 200 milionów egzemplarzy jej płyt, co plasuje ją w czołówce światowych gwiazd muzyki (jest na 32. miejscu). Dwukrotnie wystąpiła w Carnegie Hall w Nowym Jorku, a krytyk „The New York Timesa” nazwał ją „drugą Barbrą Streisand”.

W 1964 roku wygrała konkurs „Szukamy nowych talentów”, na którym wykonała piosenkę Gershwina „The Man I Love”. Rok później zdobyła nagrodę Złotego Słowika na festiwalu w Sopocie i od tego momentu jej kariera zaczęła dynamicznie się rozwijać.

VONDRÁČKOVÁ otrzymała wiele prestiżowych wyróżnień w Czechach (wcześniej Czechosłowacji) oraz innych krajach świata. Włączyła do swojego repertuaru światowe standardy. Śpiewa w wielu stylach i gatunkach muzycznych. Ma czterooktawowy głos z bardzo wysokim C. Śpiewa po czesku, angielsku, niemiecku, polsku, rosyjsku, francusku i japońsku.

Cena 32 zł

ISBN 978-83-7648-007-7



9 788376 480077

 www.proszynski.pl

Patronat medialny

**Fakt**

**GWIAZDY**  
\* Piątkowy magazyn FAKTU \*

**onet.pl**

RADIO 103 FM  
jedyną **KOLOR** dla pewnych kobiet

*Ali-Baba*